KSIĄŻĘ

TEJŻE AUTORKI:

LODOWE POLA (KOBIETY). Powieść. Nakł. Tow. Wydawn. w Warszawie, 1927. Wyd. 3.
KOTECZKA, CZYLI BIAŁE TULIPANY. Nowele. Nakład Księgarni Polskiej A. Połonieckiego. Lwów, 1909 (wyczerpane).
RÓWIEŚNICE. Powieść. Nakład Kasy Prac. i P. W. Pomocników Księgarskich. Warszawa, 1911. Wyd. 2 (wyczerpane).
NARCYZA. Powieść. Spółka Nakł. „Książka". Kraków, 1911. Wyd. 2 (wyczerpane).
LUSTRA. Nowele. Spółka Nakł. „Książka". Kraków, 1913 (wyczerpane).
WĘŻE I RÓŻE. Powieść. Spółka Nakł. „Książka". Kraków, 1914 (wyczerpane).
MOJE ZWIERZĘTA. Opowiadania. Księgarnia Powszechna. Warszawa, 1915.
TAJEMNICE KRWI. Nakładem autorki. Warszawa, 1917.
HRABIA EMIL. Romans nowoczesny. Nakł. Tow. Wyd. Warszawa, 1922. Wyd. 2.
CHARAKTERY. Tow. Wydawn. „Ignis". Warszawa, 1922.
DOM NAD ŁĄKAMI. Powieść. W. Czarski. Warszawa, 1925.
MAŁŻEŃSTWO. Nowele. Bibljoteka Dzieł Wyborowych. Warszawa, 1925.
ROMANS TERESY HENNERT. Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1927. Wyd. 2.
CHOUCAS. Powieść internacjonalna. Gebethner i Wolff. Warszawa, 1927.
KSIĘGA O PRZYJACIOŁACH (wespół z J. M. Wielopolską). Gebethner i Wolff. Warszawa, 1927.
NIEDOBRA MIŁOŚĆ. Romans prowincjonalny. Gebethner i Wolff. Warszawa, 1928.

ZOFJA NAŁKOWSKA

KSIĄŻĘ

POWIEŚĆ

WYDANIE TRZECIE

NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

1929

CZĘŚĆ PIERWSZA

Kiedy z drzew wysokich spadają liście umierające, lubię cicho i wytwornie marzyć o mojem życiu.

Życie moje nie jest złe, chociaż niema w niem dobra. I nie jest smutne, chociaż — och, zupełnie niema w niem szczęścia. Jest ładne.

Gdy w dni jesienne, ozłocone zmęczonem słońcem, życie moje odsuwa się nieco ode mnie, pozostaje mi marzenie o niem, chłodna, oderwana myśl.

I wtedy na świat cały patrzę przez nią, jak przez seledynową zasłonę. Ludzie, gdy mówią ze sobą, układają się w grupy logiczne i piękne, jak myśl — i to, co dzieje się wokoło, wyciąga się w nieskończoną perspektywę tej myśli, jak wielka aleja filarów marmurowych. I uczucia moje za myślą idą długim szeregiem, jak powolne, z pochylonemi czołami, z rękami na piersiach skrzyżowanemi — niewolnice.

Pamiętam jedno, pamiętam cudne zdarzenie, prawdziwe zdarzenie z mojego życia.

Na brzegu błękitnego i głębokiego, jak oczy zamyślonej kobiety, morza nieskończoności — siedziało Piękno. Rzeczywistość, bardziej urocza od złudy, zesłała na nie sen.

I we śnie przyszły do Piękna ogniwa jego smutnych rozmyślań o szczęściu niezamąconem i samotnem, o uroczej monotonji boskiego zrównoważenia, o pocałunkach nieurodzonych, — o tęsknotach nieziszczalnych, o zenitach ekstatycznych zachwytów nad sobą, — przyszły nieskończenie długim korowodem — i rzekły:

— Znużone już jesteśmy pięknością naszego nieistnienia. Daj nam byt piękniejszy od tego, że nie istniejemy.

I Piękno rozdało między nie barwne szaty życia. Ubrały się w nie i odeszły. A Piękno zapomniało o swoim śnie.

Tak dusze nasze ubrały się w nasze ciała.

Od tego zdarzenia nadewszystko pokochałam siebie. Zrozumiałam bowiem prawdę, że miłość siebie — to najwyższa i najczystsza z miłości: to dusza moja kocha moje ciało, to marzenie o pięknie kocha swą rzeczywistość.

Cenię ogromnie wszystkie swoje zalety, ale nieskończenie więcej — swoje wady.

Jestem próżna i pretensjonalna bez granic. Zarozumiała jestem i nie potrafię zachwycać się szczerze nikim poza sobą. Nie jestem zazdrosna, lecz jestem zawistna. I to drugie jest gorsze. Zazdrość jest przejawem czysto biologicznej natury. W zawiści zaś jest coś, co poniża piękność duszy, wciąga ją w grę pasyj małych i głupich. Nie lubię kobiet piękniejszych ode mnie, choćby zupełnie nie wchodziły mi w drogę. Myśl, że nie jestem najładniejsza, wprost zatruwa mi życie.

Następnie — jestem zmysłowa bardzo — i to nie w sposób ładny — żywiołowo, młodzieńczo. Zmysłowość moja jest sztuczna, abstrakcyjna i nie szukająca wyrazów w życiu.

Czasami — we śnie — całują mię obcy, ładni ludzie. Zawsze jest jakieś tło piękne — gmachy kryształowe, ogrody o drzewach podniebnych i srebrnych fontannach, obce szumne miasta, krajobrazy dziwne. I te wrażenia są stokroć silniejsze, niż wszystkie, jakich doznawałam w życiu lub jakich wogóle byłabym w stanie doznać. I gdy w czasie dnia, po-

między ludźmi, przypomnę sobie taki sen, to oczy zamykam od blasku niewypowiedzianej, zabijającej rozkoszy. I wspomnienia takiego nie zamieniłabym na pieszczotę najpiękniejszego z ludzi, króla ziemskich kochanków.

Dlatego w życiu jestem dosyć niedostępna i chłodna w stosunku do mężczyzn. I nie dziwię się, że ascetyczni pustelnicy nie chcieli oddać swych kuszących halucynacyj za wlokący z sobą przesyt czar konkretnego życia.

Bezpożyteczność jest koroną artyzmu, najszczytniejszym przejawem piękna.

Podobno sztuka u ludów pierwotnych opierała się na względach praktycznych. Pierwszym motywem zdobienia ornamentacjami budowli była ochrona przed złością bóstw, zarazą czy uderzeniem piorunu. A dalej w wieki, w królewskim pochodzie szlakami kultury jedynym motywem sztuki staje się głupie, bezpożyteczne, kapryśne, czasami nawet w formach swych szkodzące ludziom, czyste, najpodnioślejsze piękno.

Julka jest to moja dawna, pierwsza prawie nauczycielka. Z biegiem lat różnica wieku się zatarła, tak, iż obecnie jesteśmy przyjaciółkami. Jest to jedna z niewielu, a może jedyna kobieta, która zyskała sobie prawo do mego zaufania.

Charakterystyczną cechą Julki jest dobroć, która w każdym innym zazwyczaj mię odstrasza, dobroć raczej natury fizjologicznej. Jest to bowiem brzydka, koścista, starzejąca się panna, która bardzo chciała mieć dziecko. Nie podobała się jednak żadnemu mężczyźnie z tych niezliczonych, którzy są na świecie, — i nikt się z nią nie ożenił. Jasne, złote jej marzenie o dziecku umarło — i wszystkie nieukojone instynkty matki przetopiły się w niej na chemicznie czystą dobroć — równie nieskończoną, jak smutną.

Julka ma proste włosy i ubiera się bardzo niedbale. Pod jej zbyt wysokiem, wypukłem czołem płoną cicho ekstatycznem ukochaniem ludzkości słodkie, szafirowe oczy.

Przyszłam o zmroku do jej chłodnego, sztywnego pokoju. Siedziała na oknie i przy ostatnich blaskach dnia czytała Donkiszota.

W milczeniu przytuliła mię do siebie. Wogóle nie lubię pocałunku kobiety, ale Julka stanowi wyjątek. Patrząc na nią, uczę się cenić estetykę mego życia i za to jestem jej wdzięczna. Przytem ona kocha mię bez granic i bez zastrzeżeń.

— Dawno nie byłaś — rzekła serdecznie, prawie bez wyrzutu. — Czy znów się bawisz?

— Cóż znowu. Dlaczego tak myślisz?... Doprawdy, złe masz o mnie pojęcie.

— A co robisz?

— Marzę, rozpamiętywam, czekam.

— Tęsknisz za mężem?

— Nie, ani trochę. Tak właśnie jest najlepiej.

Nie zdziwiła się. Nic nie wiedząc, rozumie wszystko.

— Nie pisz o tem do niego. Mógłby przyjechać.

Uśmiechnęłam się.

— Mylisz się — nie przyjechałby. Swoją drogą jednak nie napiszę mu tego.

Zamilkła i przez chwilę rozmyślała nad czemś. Potem rzekła:

— Nie wierzę, Alu, by — nawet pod kątem widzenia piękna — można było na życie patrzeć bez zgrozy. — Wracam w tej chwili z dziwnego świata — i życie tem bardziej wydaje mi się brzydkie. I nie rozumiem, jak można je kochać... Jakże śmiertelnie poetyczna i śmiertelnie smutna jest ta epopeja rozczarowań... Leopardi, gorzko ironizujący, jeszcze mniej tragicznym wydaje mi się od Cervantesa...

Wzięła książkę z okna.

— I jaka inna jest miłość tam; jaka słodycz wyszukana i podniosłość w uczuciu tego posępnego rycerza, co kochał niezrównaną — bo nieistniejącą — panią z Tobozo.

Julka zapaliła światło i zapytała:

— Chcesz może posłuchać, jak śpiewa Cardenio, zdradzony przez kochankę?

Zaczęła czytać:

Albo miłości braknie rozeznania,
Lub ma za wiele w sobie okrucieństwa,
Lub błąd mój nie jest powodem męczeństwa,
Które mi serce szponami rozrania.

Gdy miłość Bogiem — to rozum zabrania
Stawić przymiotom jego sprzeciwieństwa.
Bogu nieznane żadne okrucieństwa!
Któż więc nade mną dzierży moc karania?

Nie ty, kochana! Z DOBRA ZŁE NIE PŁYNIE,
ZE SŁOŃCA PIORUN NIGDY NIE WYSTRZELI
I z nieba piekło na ziemię nie schodzi.

Trzeba więc umrzeć, bo w strasznej godzinie,
Kiedy choroby ludzie nie pojęli,
To już ratunek chyba cud wyrodzi.

Julka wyglądała bardzo dziwacznie, deklamując z ekspresją i zapałem te żale. Na jej brzydkiej, gminnie wymodelowanej twarzy malował się smutek,

kosmyki prostych włosów wymownie chwiały się nad wypukłem czołem.

— Ze słońca piorun nigdy nie wystrzeli — powtórzyła. — Jakaż to cudna, jaka daleka od rzeczywistości wiara. Jam już widziała tyle zła, które wypłynęło z dobra — — takiego zła, z którem walczyć nawet nie wolno — bo z niego daleko gdzieś — znowu wypłynie dobro...

Kiedy tak patrzyłam na nią, wydała mi się ze swoją smutną twarzą i długą, kościstą figurą sama podobna do Donkiszota.

— Najświętszym obowiązkiem teraz jest wierzenie, że dobro właśnie jest tam u kresu.

Spytałam jej:

— Czemu nie mówisz mi dziś nic o sprawach swoich, Julko?

Nie odpowiadając, odwróciła głowę.

— Dlaczego nie chcesz mnie dopuścić do tego waszego świata, skoro ja chcę? Potrafiłabym się przystosować. A tak mię pociąga groza i urok tajemniczy tych rzeczy, które się stają pod powierzchnią ziemi. Jest w tem anachronizm jakiś, coś ze średniowiecza, z epoki ekstaz fanatycznych i religijnych prześladowań.

— Bo tak patrzeć na to nie wolno. Trzeba czuć w tem dzisiejszy dzień w blasku jutrzejszego, tętniące, krwawe życie.

— Ja przecież chcę służyć właśnie życiu.

— By służyć życiu, nie należy go kochać zbyt silnie. Zresztą — jesteś taka delikatna i wypieszczo-

na, jak egzotyczny kwiat — i nie umiałabyś patrzeć w oczy burzy i piorunom, padającym z tego słońca. Nazbyt jesteś artystką życia.

— Więc do tego koniecznie trzeba się zmienić? Julka uśmiechnęła się poprzez smutek swych oczu.

— Nie, śliczna lalko moja, pozostań zawsze artystką życia i nie patrz w te cienie. Chciałabym, żebyś zawsze była taka. Żeby ta okrutna, niszcząca fala nie wszystko z sobą zabrała.

Czyżbym zanadto kochała życie, czyżbym naprawdę zanadto kochała życie?... Tak zdaje ci się, dobra, brzydka, poetyczna Julko.

Nie można chyba kochać, tak gruntownie i zasadniczo pogardzając.

Wiem, że to nieciekawe i wogóle bardzo tanie, więc nigdy tego nie mówię przed ludźmi. Ale pogardzam życiem. I jest mi ono bezkreśnie puste i nudne.

Tak, tak — głęboko tam wstręt mam do tego wesołego tańca na zielonej, oblanej słońcem łące, — gdy wszędzie nad horyzontem czarne chmury, ciężkie chmury tajemnicy i śmierci. Widzę przecież to wszystko i rozumiem.

Ale od tych, co tańczą, wesoło dłońmi zakrywając przed dalą rozbawione oczy — hedonosofistów, — mniej jeszcze lubię tych, co do sakw żebraczych zbierają dobro życia, by się tam zamieniło w cnoty przezwyciężeń, w złote krążki, za które kupić można triumfy i zbawienie wieczne wszelkich odmian.

A od tych mniej jeszcze lubię takich, co z maską tragiczną na twarzy, w płaszczu proroków biją oszalałemi dłońmi w bramę kamienną wiedzy, za którą

kryje się tajemnica. — Poco krzyczą i złorzeczą — czyż zapomnieli, że — ach — o tyle łatwiej dostać się tam przez kruchą bramę śmierci?

A najmniej lubię tych rozsądnych i poważnych, co całą tę głupią komedję biorą na serjo, i myślą o ratunku ogólnym.

Pozostaje mi jedno: najładniej, jak można, znaleźć się w danych warunkach.

Pragnieniem mem jest, by linja, przeprowadzona przez moje życie, była równie wytworna, jak linja moich bioder.

— Chciałabym pani coś powiedzieć — rzekła dziś do mnie żona pewnego literata, pani Sępowska. — Trochę się boję być niedelikatna, ale tak nie chcę, by kobiety miały zawiązane oczy. A pani tak mało używa życia.

— Niech się pani nie lęka.

— Jeden pan — nazwiska pani nie wymienię — opowiadał memu mężowi, że mówił z pani mężem o pani. To było niedługo po ślubie — więc winszował mu takiej ładnej i takiej jednocześnie zupełnie pewnej żony — bo to bardzo rzadko razem się zdarza. A mąż pani miał tak się wyrazić: wierność cenna jest tylko w takiej kobiecie, którą ona coś kosztuje — zaś moja żona wierna będzie tylko dlatego, że ma słaby temperament. — Więc widzi pani, że pani nie ma dlaczego tylu rzeczy sobie odmawiać. Odkąd wyjechał pani mąż, nie bywa pani nigdzie, nawet u nas; ani razu nie widziałam pani w teatrze. To zły system. Przeciwnie, lepiej nawet będzie, jeżeli mąż pani choć na chwilę zaniepokoi się o swą własność...

Wysłuchałam wszystkiego bez najmniejszego wrażenia. — Pani jest bardzo dobra — rzekłam z półuśmiechem.

Sępowska zaniepokoiła się, czy nie ironizuję.

— Może się pani gniewa?

— Cóż za przypuszczenie... Przeciwnie, cenię pani życzliwość.

Właściwie i ja sama nie byłam pewna znaczenia mych słów. W każdym jednak razie nie rozgniewałam się na nią. I w każdym razie faktem jest, że raport ten jest dla mnie zupełnie bezużyteczny.

Przecież nie dla męża mego jestem taka, jaka jestem.

— A za propozycję i pamięć bardzo pani dziękuję — dodałam. — Owszem, wybierając się na koncert najbliższy, niechaj państwo i dla mnie bilet wezmą. Pójdę chętnie.

Urodziłam się na żonę, nie na kochankę. Odgadł to we mnie — jeszcze gdy miałam lat siedemnaście — człowiek, który w dwa miesiące po poznaniu mnie został moim mężem. Wszystkie cechy, jakie posiadałam, były mu potrzebne. Chciał mieć taki właśnie typ kobiety za żonę — dla ludzi, może w pewnym stopniu i dla siebie. I dlatego powiedziano, że mąż mój kochał mię. To nie była prawda.

Byliśmy z jednej sfery — ze wszystkich względów dla siebie odpowiedni. Związek nasz wydał się wielu osobom bardzo pożądany, a ślub był dla obu rodzin radosnem wydarzeniem. Fortuny nasze dały w połączeniu taką sumę właśnie, która pozwoliła znaleźć szerokie pole czynu wszystkim przepełniającym duszę męża mego pasjom ***businessmana***.

Mąż mój należy do typu, który nazywam ***demi***-inteligencją. Ma opinję bardzo rozumnego, racjonalnego i dowcipnego. W rzeczywistości posiada umysł lotny, powierzchowny, mało logiczny, zato obdarzony niesłychaną apodyktycznością sądu. Zewsząd chwyta syntezy, wysnuwa szalone, na niczem nie oparte wnioski, ale nie analizuje nigdy. Wszyst-

ko, co nie z jego świata, wydaje mu się dziecinne i zasługujące na drwiny. Wyobraźnia jego ma nadzwyczaj wyraźne granice, poza które nie może i zupełnie nie pragnie wykraczać. Stąd zrównoważenie i nieprawdopodobna pewność siebie. Jest to, dzięki temu, człowiek równy, obliczalny, bardzo miły towarzysko — jakkolwiek zbyt silnie reagujący na opozycję.

Ja nie spierałam się z nim nigdy — w części dlatego, że przeważnie miał rację, w części zaś, że nawet fałszywe twierdzenia stawiał z wdziękiem i tupetem. Zawsze zachwycony był moim rozsądkiem i uległością. Dumny był ze mnie i lubił się mną popisywać. Z mojej strony nic nie miałam przeciwko temu. Przytem nie narzucał mi się nigdy ze swojem towarzystwem; większą część dnia stale spędzał poza domem, a prócz tego wyjeżdżał często i na długo.

Taki pogodny stan rzeczy rozbił się w trzecim roku po ślubie o jakąś sprawę bardzo trywjalną i zwykłą. Przedtem odznaczałam się kulturalnym brakiem podejrzliwości i tolerancją, tym razem jednak mąż mój nieopatrznie wciągnął w grę moją ambicję. Wówczas rozentuzjazmowałam się nadzwyczajnie ideą rozwodu. Ale mąż wykazał mi, że jest rozsądnie i taktownie unikać rzeczy nazbyt konkretnych i jaskrawych. Jak zwykle, przyznałam mu rację, zwłaszcza wobec tego, że zaangażował się był właśnie świeżo w wielkiem zbiorowem przedsiębiorstwie na południowschodzie Rosji, co wymagało nietylko nierozdzielności naszych połączonych kapitałów, ale także i jego

stałej prawie obecności tam na miejscu. Wzamian za zachowanie pozorów małżeństwa zobowiązał się nie zachowywać zupełnie jego treści.

Cała owa tranzakcja nie została oczywiście podana do wiadomości ogólnej.

Jakkolwiek życie moje w pojęciu aktualnej i lokalnej moralności nie nosi na sobie żadnej plamy, jakkolwiek opieram się zawsze czarownym pokusom najpiękniejszej religji ciała — to jednak nie znam kobiety, którąby tak bardzo była poganką i wzgardzicielką różnicy między złem i dobrem. Gdybym żyła w czasach helleńskich, byłabym prawdopodobnie kapłanką w świątyni Afrodyty.

To, co w ludzkim kącie patrzenia na świat Bacon nazywa złudzeniem jaskini, ja nazwałabym chętnie złudzeniem świątyni. Patrzę na życie tak, by w tej projekcji musiało mi się wydać patetyczne, harmonijne, wytworne. Takiem jest ono zawsze, gdy na nie patrzę przez gotyckie witraże świątyni mego snu. Równie harmonijne, choć bardzo inne, wydawałoby mi się ono z świątyni Afrodyty, gdybym była Greczynką.

Moralność jest ładna i potrzebna. Chociaż nie wierzę w żadną jej metafizyczność, to jednak z punktu widzenia moralności właśnie — i wyłącznie — klasyfikuję ludzi.

Różnię się tem zasadniczo od Obojańskiej, dla której jedynem kryterjum jest w tym razie objektywny rozum.

Do pierwszej kategorji należą ludzie, którzy są moralni, ponieważ wierzą w postulaty moralności. Na drugim stopniu — ludzie postulaty te, jako przypadkowe i nie zawierające elementu konieczności, odrzucają, buntują się przeciw ciasnym więzom etyki, odwracają jej wartości i grzech wielki przekładają nad mizerną cnotę. W trzeciej fazie dopiero, która, jak każda synteza, jest częściowym powrotem do tezy, — człowiek jest moralny mimo to i dlatego, że nie uznaje kanonów etyki, jest moralny z łaski, z lenistwa — lub dla wytwornej gry.

W dzisiejszej Japonji mężczyzna w towarzyskiej rozmowie opowiada o przedślubnych wybrykach swej żony, chociaż znów brak wierności małżeńskiej poczytywany jest za zbrodnię. Cywilizujący się książęta plemion wschodnich przez całe życie starają się posiadać jedną tylko kobietę, by w ten sposób zaznaczyć odsunięcie się swe od stanu barbarzyńskich haremów. Gdy w młodzieńczych latach stracą żonę, *bon ton* nie pozwala żenić im się po raz wtóry. U wielu plemion dziewczęta zbierały sobie posag prostytucją, i posiadająca największą ilość kochanków dziewczyna najbardziej poszukiwana była na żonę. Podobnież obowiązującym, religijnym nawet obyczajem było wesołe, choć może niepraktyczne prawo *jus primae noctis.* W Judei kamienowano wszetecznice, w Helladzie składano im cześć.

U nas człowiek dobrze wychowany obowiązany jest wyzwać każdego, kto o żonie jego wyraża jakiś domysł uwłaczający, — i w obronie jej czci oddać

życie. Żona bowiem jest przedewszystkiem żywem naczyniem honoru swego męża — i zakwestjonowanie nietykalności owego naczynia w największym cyniku obudzi święte oburzenie. Jest to równie mądre i równie głupie, jak asceza owdowiałego księcia wschodniego lub gościnność nomada, nakazująca ofiarowanie wędrowcowi na czas gościny między innemi rzeczami także własnej żony.

Te nieubłagane prawa obyczajowe przez to, że przypominają charakterem swym epoki zamierzchłe, albo ludy egzotyczne, wydają mi się niebanalne — i ładne. I dlatego — wiedząc to wszystko, będąc świadoma całej sztuczności i przypadkowości dzisiejszych pojęć, wierna jestem memu mężowi, chociaż nie kocham go zupełnie. Cnota najcenniejsza wydaje mi się wtedy, gdy połączona jest z uświadomieniem jej głupoty, bezcelowości, bezpożyteczności. Bo znajdując się na owym trzecim stopniu stosunku do moralności, kocham piękność nieskończoną rzeczy bezpożytecznych i głupich.

Zwykle jest odwrotnie: kobiety nieuświadomione, religijne, skłonne do ekstaz mistycznych i ascetycznych — uważane są przez mężczyzn za najłatwiejsze do zdobycia. Chłodna myśl nie zabrała krwi ich temperamentowi.

Ja zaś jestem opanowana i ujarzmiona, jak w tamy ujęta, uregulowana rzeka. Fale życia zbyt głębokie, by ponad tamy wydostała się powódź.

I tak — kocham siebie za to wszystko, co we mnie piękne, dziwaczne, kapryśne, bezsensowne, nęcące. Za to wszystko zwłaszcza, co we mnie zupełnie bezpożyteczne — i co (jedyna nadzieja moja) — kiedyś tam, za ciasną krainą wszystkich horyzontów, bezmiernem bogactwem i fantastycznością piękna zwróci na siebie olśniony wzrok najpiękniejszego z bogów.

Takie jest moje marzenie miłości i pychy.

Dziś byłam z Sępowską i mężem jej na koncercie. Muzyka orkiestry wydała mi się przecudna. Prócz tego miałam ładną suknię i byłam po królewsku uczesana. W antraktach goniły mię półgłośne pochwały. Odwykłam już od tego, odurzył mię blask, przestwór, nastrój cicho triumfalny, miękki i radosny.

Niedaleko siedział wysoki, dobrze ubrany pan. Brwi pochylone, linja nosa prawidłowa, wyraźna. Czytał program.

— Jakto? nie wie pani kto to?

— Nie.

Sępowski zdziwił się.

— Zienowicz. Jest przecież od tygodnia w Warszawie.

— Ach, więc to jest on?

Ukradkiem, przelotnie spojrzałam nań przez binokle. I zdziwiłam się, że na ziemi możliwe jest aż tyle. Że jest kobieta, która była jego kochanką. Jest kobieta, która będzie jego żoną.

Gdy wychodziliśmy już, ujrzałam go zgóry, stojącego u stóp schodów, przez które przejść miałam. I zstępowałam powoli ku niemu po taflach marmuro-

wych, w jarzącym blasku świateł. I czułam na sobie pocałunki jego spojrzenia. Na szyi, piersiach, biodrach.

I przymknęłam dreszczem ciepłym przejęte powieki, jak wtedy, kiedy mi się przypomina mój sen.

Wracałam z samotnego i smutnego spaceru. Wdali — ponad tłumem — ujrzałam kołyszącą się, wydłużoną postać *quasi* kobiety w podłużnym męskim kapelusiku i burym saku. Z pod zmiętego rondka spojrzały na mnie szafirowe oczy Julki.

— Jaka śliczna jesteś! — powitała mię.

Była nadprogramowo wesoła. Szła żywo, stawiając ogromne kroki długiemi nogami. Włosy miała świeżo ostrzyżone, prawie *à fleur de peau*, głowę okrągłą, jak prawidłowa matematycznie kula. Wracała z lekcji i stos kajetów niosła pod pachą.

— Wiesz co, chodź dziś do mnie — rzekła. — Widzę, że jakieś smutne masz oczęta. Lalka wciąż się nudzi?

Skinęłam głową.

— To przyjdź. Mówiłaś, że ciekawa jesteś, jak wyglądają rewolucjoniści. Pokażę ci jednego — chcesz? Zresztą — mam cię prócz tego o jedną rzecz poprosić.

Pożegnałyśmy się.

Gdy przyszłam do niej wieczorem, nie było tam jeszcze nikogo. Zapytałam, co chciała mi powiedzieć. Zrobiła minę poważną.

— Kochana Alu — rzekła — dotąd nie mówiłam z tobą o tem, gdyż wogóle sprawy tego rodzaju — — Ale byłam o to tak proszona, że przyrzekłam. Jest mianowicie obecnie między nami człowiek, którego znałaś dawniej i pewno pamiętasz, bo — obchodziłaś go bardzo.

— Jan? — domyśliłam się odrazu.

Julka uważnie badała wrażenie. Nie zaczerwieniłam się zupełnie.

— Więc należy do was? — pytałam zdziwiona. — I on?

Julka przerwała:

— Tak, Jan. Mówiliśmy o tobie — dawno już. Chce się z tobą koniecznie zobaczyć. Wiem mniej więcej, co było między wami.

— Ach, Julko, cóż ja mu pomóc mogę — rzekłam niechętnie.

— Gdyby chodziło o pomoc, nie byłabym się podejmowała tego pośrednictwa. Teraz już nie potrzebujesz nic pomagać. Przez długi czas uważaliśmy go za straconego — obecnie jednak odrodził się zupełnie i zdołał opanować.

Z przykrością słuchałam jej słów.

— Nie lubię tego wspomnienia — rzekłam — gdyż psuje mi prostotę linji, którą przeprowadziłam przez moje życie.

Wstałam i zaczęłam chodzić po pokoju. Julka spojrzała na mnie poważnie.

— Ale chyba nie sam wzgląd na tę linję kazał ci być okrutną — zapytała po chwili z surowością nie rozumiejącej zła dobroci.

— Naturalnie, naturalnie. Nie kochałam go — i to był powód najważniejszy. Wspominać tylko nie lubię.

— Ale swego męża nie kochałaś jednak także...

— I wyszłam za niego. Tym razem jedynym motywem była owa linja...

Roześmiałam się. Na twarzy Julki był smutek.

— Więc nie chcesz go zobaczyć?

— Poco?

— Słuchaj, Alu, on tego pragnie tak bardzo... Inaczej nie mówiłabym ci przecież o tem...

Pomyślałam chwilę.

— No, dobrze. Wobec tego zresztą, że...

W tej chwili we drzwi zapukano zcicha.

Julka podniosła się i wyszła do przedpokoiku otworzyć. Przez chwilę słyszałam tylko szept. W słowach przybyłego mężczyzny brzmiał przyciszony opór. Wreszcie ów ktoś ustąpił. Chwilę pewną rozmawiali równiej.

Oczekiwałam z rezygnacją.

Drzwi do pokoju otworzyły się. Naprzód wszedł młody człowiek gigantycznej postaci o ponurem wejrzeniu, w ubraniu robotnika. Za nim dopiero Julka.

Gość ukłonił się nieuprzejmie i obrzucił mię wzrokiem, pełnym nieufności. Pierwszy — zanim Julka zdążyła go przedstawić — podał mi rękę. Mimowoli wymówiłam swe nazwisko. On — zamiast zrewanżo-

wać mi się w podobny sposób — powiedział: „dziękuję“.

— Towarzysz Bury — pośpieszyła ze spóźnionym komentarzem Julka.

Wszystko w sumie wydało mi się zupełnie zabawne. Przybysz zresztą w najmniejszym stopniu nie był bury, odznaczał się natomiast zarostem i włosami jasnego koloru. Epitet ten nie mógł również oznaczać analogji z niedźwiedziem, gdyż zwierzęciem, o jakiem pomyślałam w owym momencie, był raczej słoń.

Wbrew elementarnym przepisom *savoir-vivre'u*, zabraniającym rozmowy o nieznajomych wobec osoby trzeciej, zaczęli mówić z Julką o jakimś księciu.

— Przyjedzie na pewno przed końcem tego miesiąca — rzekł on.

— Jak to dobrze, jak to dobrze — cieszyła się Julka, trąc ręce. — Jużeśmy dawno nie mieli nic ciekawego...

— Och, książę zaraz wymyśli jaką sztukę, niema gadania...

Bury śmiał się i pokazywał ogromne zęby.

Przyglądałam mu się ze zdziwieniem. Nie umiałam zdać sobie sprawy, co mianowicie sprawia, że jest on taki szczególny. Twarz miał grubą, chropowatą, uśmiech prawie poczciwy, oczy maleńkie, wyrażające naprzemian to jakąś przebiegłą inteligencję, to bliską zwierzęcości tempotę, czoło cofnięte, niekształtną czaszkę.

Mówił teraz o jakichś książkach, które komuś zostały odniesione. Wysławiał się z trudnością, tak iż przez czas pewien brałam go za cudzoziemca. Lekko i hojnie sypał nazwiskami wielu powag naukowych, a używał zwrotów zupełnie niegramatycznych.

Rozmowa przeszła na kwestje polityczne, przyczem udało mi się dwukrotnie zabrać głos. Julka zdania swe wygłaszała łagodnie, tajemniczy pan zaś mówił tonem pewnym, surowym, nie dopuszczającym żadnej wątpliwości.

— Ależ o to idzie właśnie, o to idzie — wpadł nagle na Julkę ze szczególnym impetem — o tych spokojnych mieszkańców... Niech w całem mieście nastanie ciemność, niech nie mają pieczywa, żadnej wiadomości, zamknąć im wodę, zabrać wszystko. Wtedy głód i przerażenie wypędzi ich na ulicę, wtedy z musu przyłączą się, bo nie będą mogli wytrzymać bez zmiany... Będą woleli cokolwiek bądź, niż to, — nawet śmierć... O to idzie, by takich właśnie steroryzować i w ruch puścić...

Popatrzył na mnie przez chwilę przymrużonemi oczami.

— Każdemu może się podobać rewolucja zdaleka, przez okno... Bardzo to ładnie wygląda — poetycznie... Ale nie wolno tak... Niech zejdą, niech spróbują sami. Niech wybiorą jedno albo drugie, bo w środku będzie jeszcze najgorzej...

Roześmiał się ze złośliwością, zabawiony widocznie temi apokaliptycznemi rojeniami.

Gdy odchodził, znów w przedpokoju cicho rozmawiał z Julką.

— A cóż to za nieznośna bestja — rzekłam potem do Julki. — Wybacz, że mówię tak o tym bohaterze, ale doprawdy...

Julka uśmiechnęła się dobrotliwie.

— Nie dziwię ci się zupełnie, Alu. To prosty robotnik — dodała w formie okoliczności łagodzącej.

— Tak? Niemożliwe. Skądże wie tyle rozmaitych rzeczy?...

Julka brała z półki Don Kichota. Wiedziałam już, że grozi mi wysłuchanie paru wyjątków.

— O, oni wiele czytują — mówiła z roztargnieniem. — Zwłaszcza gdy los tak zrządzi, że mają do swego rozporządzenia dosyć czasu w więzieniu.

Pani Emilja Sępowska przyszła do mnie, zapraszając mię na wieczór dzisiejszy. Mąż jej zapoznał się w jednej redakcji z Zienowiczem — i specjalnie dla niego urządzili przyjęcie.

— Nie ma pani pojęcia, jaki to miły człowiek — zachęcała mię pani Emilja. — Kobiety przepadają za nim. I przytem taka sława. Jestem pewna, że będzie mu się pani podobała, gdyż lubi blondynki.

Przypomniał mi się nastrój owego koncertu — i obiecałam, że przyjdę na pewno.

Przyszedłszy dziś do Sępowskich, zastałam bardzo niewiele osób. Pani Emilja objaśniła mię poufnie, że Zienowicz nie lubi tłumu i bawić się umie tylko w gronie szczupłem i dobranem.

W liczbie gości znajdował się ładny i wykwintny starzec, znany przyrodnik, redaktor pisma naukowego, niejaki Obojański, człowiek bardzo światowy i zamożny — z żoną, kobietą najwyżej trzydziestoletnią, oryginalnie piękną, posępną i małomówną. Było dwóch publicystów, z tych jeden zupełnie sławny, poeta Owiński, jeden młody i zdolny malarz, jeden powieściopisarz dawniejszego typu i jeden młodszy, Urowiecki, człowiek bardzo delikatny i miły, wreszcie

dwóch jeszcze panów, nieznanych mi, niezbyt wyraźnie odcinających się od tła, oraz żona jednego z nich, kobieta wyraźnie nowoczesna.

Zienowicz siedział zasunięty nieco w róg kanapy z ręką portretowo o poręcz opartą. Gdy weszłam do salonu, powstał wolniej od reszty mężczyzn, tak, iż zdążyłam zauważyć jego pozę.

Jak zwykle — z senną, prawie niedbałą uprzejmością przywitałam się ze wszystkimi. Na Zienowicza nie rzuciłam ani jednego niekoniecznego spojrzenia i usiadłam w innej stronie salonu, nie patrząc na nikogo, jakby nie wiedząc, że goni za mną wiele oczu. Po drodze zadzwoniłam *face à main* o słup kamienny, dźwigający stylowy wazon, i zrzuciłam biodrem na ziemię zeszyt jakiegoś pisma — w części przez roztargnienie, w części przez świadomość, że popełnianie zręcznych niezręczności stanowi we mnie wdzięk zupełnie szczególny. Oczywiście nie zmieszałam się ani trochę — a jeden z niewyraźnych panów, skorzystawszy z podniesienia gazety, natychmiast zaczął mię emablować.

Bardzo ciekawa byłam Zienowicza i pragnęłam mu się podobać. Przez przewrotność tylko siadłam daleko — dlatego, że on właśnie był ogniskiem rozmowy i uwagi.

Cicha i nikła z początku, po kwadransie uczyniłam wkoło siebie gwar i szum. Kilku mężczyzn odstąpiło od portretowej kanapy Zienowicza i zgrupowało się koło mnie. Nie pamiętam, dzięki jakiej

asocjacji opowiadać zaczęłam treść ślicznego romansu japońskiego pod tytułem „Sześć parawanów".

Gdy już Misawo i Sakitsi mieli się wreszcie po wielu złych przypadkach połączyć węzłem małżeńskim, Zienowicz podniósł się, zamienił parę słów po drodze z panią Obojańską, królewskim gestem pogładził lewą rękę Owińskiego, coś doń mruknąwszy — i z ledwie dostrzegalnym półuśmiechem na twarzy zatrzymał się przy mnie — niby dla posłuchania rozmowy.

Zamilkłam natychmiast. Po chwili zwróciłam się do siedzącej niedaleko pani Emilji z półgłośnem zapytaniem o zdrowie jej małego syna.

Zienowicz usunął się nieco, powiedział coś Urowieckiemu o technice scenicznej Stanisławskiego, nie doczekał się odpowiedzi — i zupełnie niespodziewanie usiadł na małem krześle tuż obok mnie.

— Pozwoli pani? — zapytał już po dokonanym fakcie.

Skinęłam głową, błądząc jednak spojrzeniem po jasno-zielonej kotarze drzwi — bez żadnej rzeczywistej potrzeby.

— Bardzo wiele słyszałem o pani przed poznaniem jej — rzekł gładko, ale z tonem pewnego zuchwalstwa.

Przesunęłam po nim spojrzenie niewidzące.

— Gdybym nie pamiętała, że mówię z poetą, mogłabym słowa pańskie uważać za nieuprzejmość. W naszym świecie bowiem najbardziej szanowane są kobiety, o których najmniej się słyszy.

— Skoro jednak słyszy się rzeczy dobre — —

Nie odpowiedziałam nic, ani zapytałam o bliższe szczegóły. Z półuśmiechem przyglądałam się zmrużonemi oczami złotym ogniwkom łańcucha, na którym prawie do ziemi spuszczały się moje binokle.

Zienowicz milczał przez chwilę. Wreszcie zaczął znowu:

— Mówiono mi, że pani należy do kobiet bardzo oryginalnych i silnych, żądnych władzy, kapryśnych i nad wyraz niebezpiecznych. Taka sława każdej kobiecie musi być miła.

Odpowiedziałam chłodno:

— Cała oryginalność moja na tem tylko polega niestety, że sława taka byłaby dla mnie niemiła właśnie —

— Ach — tak?

— Pocieszam się jednak myślą, że był to błędny sąd o mnie jakiejś pojedyńczej osoby tylko.

— Ten, kto mi mówił o pani, nie mógł się mylić — wtrącił.

— Nie zapytuję pana, kto to był — rzekłam, nie słysząc jego słów. Domyślałam się, że będzie to Sępowska, mąż jej lub ktoś inny, równie mało ciekawy.

— Jeszcze jeden dowód, że pani jednak jest bardzo oryginalna.

— Mianowicie?

— Będąc kobietą, nie jest pani ciekawa.

Odwróciłam głowę z lekkim gestem niezadowolenia. Och — nazbyt już proste to wszystko.

Z pism Zienowicza jednak inaczej go sobie wyobrażałam. Mądrości było w nich niewiele, dużo jednak talentu i kultury. Zwłaszcza rozczarował mię wobec wrażenia, jakie uczynił na mnie w czasie koncertu. Milczałam.

Zienowicz pochylił się i wziął w rękę moje binokle. Nie zareagowałam na to żadnym ruchem.

— Pani ma krótki wzrok? — zapytał, oglądając ładne odrobienie szyldkretu.

W milczeniu skinęłam głową.

Zienowicz niczem niezrażony — prawił dalej:

— Jakiś autor francuski mówi, że krótkowzroczność jest w kobiecie wielkim wdziękiem. W tem zmrużeniu rzęs jest pewne zalęknienie i zarazem harde, królewskie odgraniczenie się od świata.

Mówiąc, Zienowicz nie przestawał bawić się i obracać w ręku moich binokli. W miarę ruchów jego, łańcuszek od nich przesuwał się po mej odsłoniętej szyi i przenosił konkretnie jego dotknięcie na moje nerwy. Gdy sobie z tego zdałam sprawę — wbrew zwyczajowi zmieszałam się i zaczerwieniłam. W tym momencie pan Zienowicz osiągnął nade mną przewagę.

Przypomniałam sobie, że mówiono mi o nim jako o nieporównanym wirtuozie miłości.

— Ach — to królewskie odgraniczenie na nic niestety się nie przydaje — powiedziałam niby posępnie.

— Czemu?

— Zuchwali ludzie zawsze znajdą drogę do obejścia wszelkich murów.

Odwróciłam głowę, kryjąc powstrzymywany uśmiech.

Zienowicz zrozumiał. Zamilkł na chwilę — ale nie puścił binokli. Zaczęło mnie to już niepokoić i złościć. Ściągnęłam brwi.

— Szczęśliwi, dla których drogą tą będzie droga łaski — powiedział wreszcie głosem aksamitnym, pochylając głowę z wdziękiem księcia wędrownego.

Zdziwiłam się. Nie było w nim teraz śladu zuchwalstwa. W tonie jego pięknego głosu zadźwięczała miękko prawie pokora.

Odzyskałam zupełnie pewność siebie.

— Przyjechał pan do naszego miasta na najciekawsze czasy —

— Tak pani sądzi? Ależ w tym kraju żyć nie można... To nie są miasta — wybaczy pani wyrażenie — to są szlachtuzy. I przytem — co za oświetlenie. Nie pojmuję, czemu socjaliści tak nienawidzą latarni. Kiedy wjeżdżałem do miasta, pryncypalne ulice wyglądały jak mroczne tunele — —

— Naprawdę nie podoba się panu to bohaterskie usiłowanie ściągnięcia przemocą na ziemię nieśmiertelnie pięknych idei — ?

— Dla mnie, jako dla artysty, wszystko to jest w najwyższym stopniu wrogie. Tłum jest głównym wrogiem artyzmu — i chwila, w której zapanuje demokracja, będzie wyrokiem śmierci dla twórców. Sam słyszałem jednego z przywódców dzisiejszego ruchu, jak wygłosił zdanie, że dla socjalistów niepotrzebni są poeci i uczeni. — O uczonych nie gniewam się,

ale co do poetów — to trudno mi być do tyla objektywnym.

Rozmowa na ten temat stała się ogólna. Wszyscy solidarnie zgadzali się na to, iż sposób, w jaki pojmowana jest przez socjalistów walka ekonomiczna, prowadzi wprost do upadku kultury artystycznej. Obojański ze swej strony stanął też w obronie nauki, odsuwanej w czasach dzisiejszych na plan ostatni. Jest to według niego jedyna prawdziwa droga postępu.

Żona jego, która również nauką się zajmuje, zaoponowała w tem miejscu:

— Przecież sam socjalizm jest teorją ściśle naukową — rzekła.

— Tem gorzej, że socjaliści odpłacają uczonym taką niewdzięcznością — zażartował Zienowicz.

Przy kolacji Sępowska, dbająca zawsze w imię solidarności kobiecej, by każda z pań mogła jak najwięcej flirtować, posadziła obok mnie Zienowicza.

Pod koniec wieczoru stałam się miła, błyskotliwa, fantastyczna i do ostatnich granic roztargniona.

Sępowski pokazywał nam piękne wydanie *Franceski da Rimini* d'Annunzia. Patrząc na książkę przymrużonemi oczami przez szkła, pochyliłam się nisko. A potem, gdy nagle podniosłam głowę, koafjura moja musnęła twarz pochylonego obok mnie Zienowicza. I przy tem najdelikatniejszem dotknięciu przez całe ciało moje przebiegło drżenie lęku.

Podniosłam oczy. Po drugiej stronie stolika, przy którym oglądaliśmy książkę, stała Obojańska i patrzyła na nas. Na moment, krótszy od sekundy, spotkały się nasze oczy. We wzroku jej uchwyciłam coś, czego nie rozumiem — myśl posępną — chłodny jakiś obrachunek czy projekt.

Zdziwiłam się i zaniepokoiłam. Czyżby tę uczoną, wolnomyślną kobietę obchodziły takie rzeczy? Czyżby miała mi za złe — — ?

Odpowiedziałam zmrużeniem rzęs i bardzo delikatnem podniesieniem brwi wgórę.

Aby wogóle było coś, ludzie wymyślają rozmaite rzeczy. Powiedzą sobie „tak" — i uważają, że już w żaden sposób nie można powiedzieć „nie". Każdy ma jakieś coś — i dopiero w przeciwstawieniu do tego wszystko inne może mu się wydawać szare, smutne.

Dla mnie zaś w każdym „tak" kryje się „nie". I nie znam nic takiego, coby się było w stanie bezwzględnie przeciwstawić wszystkiemu.

Tęsknemi oczami patrzę wdal — i nic „takiego" nie widzę. Chłodne mam serce — i nigdy nie będę kochała — i nigdy przeto nie będę nieszczęśliwa. I będę wiodła przez całe moje życie ładną i banalną linję manjery. I będę odbijała w sobie sztucznie fałszywe światła chińskich latarni i ogni Bengalu — jak zimna, przezroczysta woda.

I będę smutnie, samotnie kochała piękno siebie.

Dziś spotkałam na ulicy panią Obojańską. Ubiera się tak efektownie, że zwraca uwagę przechodniów, co mi się nie podoba. Ponieważ znamy się bardzo mało, ledwie zamieniłyśmy ze sobą parę konwencjonalnych słów, — więc ukłoniłam się jej tylko. Ona jednak podeszła do mnie.

— Witam panią — rzekła, podając mi rękę i patrząc na mnie swemi poważnemi, surowemi niemal oczami złotego koloru. — Niech pani to nie dziwi, że panią zatrzymuję, chociaż tak mało się znamy. Podobała mi się pani bardzo — i z urody i z tego, co mi o pani opowiedziała Sępowska. A tak lubię poznawać nowe, ciekawe kobiety.

Wszystko mówiła bez uśmiechu, głosem pewnym i chłodnym.

— Zdziwienie moje byłoby bardzo miłe — rzekłam etykietalnie. — Ale tak rada jestem wyróżnieniu pani, że dziwić się nie miałam czasu. Jeżeli pani życzy sobie zapoznać się ze mną, to może odrazu złoży mi wizytę. Moje mieszkanie jest bardzo blisko.

Zrozumiała z tonu mych słów, że nie zbliżymy się łatwo — mimo to skorzystała z mego zaproszenia.

Przez pół godziny wiodłyśmy chłodną, obcą, bardzo ogólną rozmowę. Jest to kobieta, mogąca nadzwyczajnie zainteresować. Jej uroda i małżeństwo niedawne z człowiekiem niemal zgrzybiałym — wprost niepokoją dziwnym efektem. Przytem nie zachowuje się zupełnie, jak zwykle ładne żony starych mężów. W stosunku do mężczyzn jest niedostępna, nieuprzejma, dumna, odpychająca.

Mówi o sobie, niby zwierza się — ale widać, że kłamie — i ten ton kłamliwości podkreśla zupełnie świadomie. Z ponurym, groźnym prawie wyrazem w swych niezwykle pięknych oczach mówi, że jest bardzo szczęśliwa.

— Tak kocham naukę, że całkowicie zapełnia mi życie — powiedziała. A wiem, że jej serce niczego już kochać nie może.

Nie obchodzi jej sława, którą posiada już bezsprzecznie wobec tego, że niewiele kobiet u nas oddaje się nauce. Nie obchodzą ją względy mężczyzn. Kobiety lekceważy tak bardzo, że pewno nie porównywa się z niemi, ani rywalizować pragnie. A ubiera się strojnie i piętrzy kunsztownie brunatne swoje włosy chyba dla samej siebie tylko — bo przecież nie dla męża. Wygląda, jak jego najmłodsza córka — i z tego względu stanowią nawet wyjątkowo piękną parę.

Ze wszystkiego, co mówiła ze mną, odniosłam wrażenie, że obchodzę ją tyle właśnie, co *les neiges d'antan* ze starofrancuskiej piosenki. Poco przyszła do mnie — nie wiem zupełnie. Nie sądzę, aby nęciła ją gra — a wie przecież, że zbyt silne i wyraźne jesteśmy obie, by się nie przeciwstawić. Ja jestem zbyt ambitna i próżna, by uznać jej przewagę — a zbyt opanowana, by walczyć otwarcie. Jest bardzo inteligentna i rozumie to. Nie lubi mnie ani trochę, ponieważ prawdopodobnie nie lubi nic, nie podobam jej się, widzi we mnie kobietę bierną, cichą, pretensjonalną i pustą. Całą manjerę moją zna nawylot — i nie jest mnie ani trochę ciekawa. A usiłuje skokietować mię, wiedząc, że jednak poznam się na tem. Więc poco.

Będę u niej naturalnie. Nie mam żadnego motywu dla czynienia jej nieuprzejmości.

Używa niesmacznego zwyczaju drugorzędnych pisarek i aktorek, podpisuje się mianowicie złożonem z panieńskiego i obecnego nazwiskiem Dernowicz-Obojańska. O mężu swym zaś mówi: Obojański, albo nawet — pan Obojański.

Każdy ma swoje *credo* — wyraźne, nieugięte, nieuleczalne, każdy mówi co innego — i każdemu co innego trzeba odpowiadać. Jest to — jak sądzę — wyjątkowo nieekonomiczne.

Myślę o czasach, gdy drogą ewolucji stosunki towarzyskie tak się zautomatyzują, że dla utrzymania ich wystarczy zapamiętanie pewnej liczby gotowych, okrągłych zdań. Powstanie wówczas jeden stały dialog towarzyski, który bez zmiany powtarzać będzie można z każdym bez różnicy wieku i płci oraz przez cały ciąg roku, niezależnie od pór jego.

Wtedy możeby się życie działo. Bo teraz jest mówione.

Rewizytowałam dzisiaj panią Obojańską. Przyjęła mię w wielkim gabinecie, gdzie znajdował się też jej mąż i dwóch jeszcze panów.

Dziwnie rysuje się taka grupa na tle olbrzymich szaf bibljotecznych. Patrząc na przesuwającą się powoli między stosami ksiąg Obojańską, mam wrażenie, że się przeniosłam do Aleksandrji. Piękniejszej głowy i rozumniejszych oczu nie mogła mieć Hypatja. W tej oprawie ma postać mądrej, wyrocznej, kultem otoczonej wieszczbiarki. Gdy mówi, pochylają się przed nią siwe głowy. Bardzo dużo umie i przytem jest mądra. Mówią ogólnie, że pod względem samodzielności umysłowej prześciga męża: on jest erudytą i systematykiem, ona zaś podobno już wymyśliła coś nowego i otrzymała zagraniczne odznaczenie.

U siebie była dla mnie znacznie uprzejmiejsza, niż zwykle; nawet roześmiała się parę razy. Czas upłynął mi tam bardzo miło. Bardzo sympatyczny jest sam Obojański — nie dziwiłabym się, gdyby pani Janina naprawdę męża swego nieco kochała. A z zachowania ich możnaby wnosić coś podobnego. Widać, że on dumny jest z każdego jej słowa i gestu,

jej zaś sprawia to przyjemność. Gdy mówi do niego, jest poważna, ale łagodna i słodka. Wogóle ta kobieta zmienia się nadzwyczajnie, gwałtownemi nawrotami przechodzi od dumy do miękkości, od śmiechu do posępnej obojętności i zamyślonej powagi. Przewalają się w niej jakieś wielkie, przygaszone siły.

Mówiłam do Obojańskiego o moim kulcie bezpożyteczności. Umiejętnie udawał, że mu się to podoba i nawet, że go interesuje.

— Ideę tę — rzekł — ślicznie wyraża jedno przysłowie arabskie: „czyń dobro i wrzucaj je do morza“.

Czułam od pewnej chwili na sobie wzrok Obojańskiej. Obróciłam na nią oczy i w twarzy jej ze zdumieniem wyczytałam wyraz, zbliżony prawie do rzewności.

Natychmiast ściągnęła brwi i jej oczy Ateny ze słodkich stały się znowu sowie.

— Jak się pani u nas podoba? — zaskoczyła mię niespodzianem pytaniem, gdy Obojański zajął się dwoma pozostałymi panami.

— Bardzo — odrzekłam. — Tak oryginalnie i stylowo harmonizują się tu ludzie z oprawą. — Tylko — —

— Co? — zapytała.

— Właściwie — to nie zarzut. Tylko z mego punktu widzenia — tak mało jest tu życia...

— Ma pani słuszność — rzekła i uśmiechnęła się nawet. — Ale ja nie czuję już tego braku. Tak

wiele, tak bardzo wiele żyłam — więc mnie nie nęci — tamto —

Uczyniła ręką śliczny ruch, mający obejmować to wszystko, co znajdowało się poza murami i oknami jej ciemnego, poważnego domu.

Lubię zbierać u siebie ludzi według własnego wyboru i gustu i doprowadzać się do doskonałości w sztuce ładnego kłamania. Od wyjazdu męża musiałam z natury rzeczy przyjęcia te ograniczyć. Zapraszam tylko ludzi bliżej znajomych, prawie domowych, nowych znajomości staram się unikać.

Poszukiwana zazwyczaj literatura bywa u mnie reprezentowana bardzo nielicznie, gdyż wyznać muszę, że nie lubię tej rasy. Życie ludzi piszących jest odgięciem od literatury ich. Są mało indywidualni, szablonowi, leniwi towarzysko, nazbyt wypowiadają się w swych utworach.

Umiejętność towarzyska wymaga powołania. Istnieje pewien specjalny gatunek umysłowości, nadający się do towarzyskiej kultury. Potrzebna tu jest bystra pamięć, skłonność do uogólnień, łatwość w formułowaniu sądów (najlepiej warunkowych, nigdy apodyktycznych), oraz brak nieugiętych przekonań. Człowiek, posiadający te cechy, w towarzystwie wyda się mądrzejszy i ciekawszy od głębokiego myśliciela albo pisarza, ekspensującego się całkowicie na swą twórczość. Najsmutniejszem ze wszystkich, jakie potrafię

sobie wyobrazić, byłoby towarzystwo, składające się wyłącznie z ludzi rozumnych oraz dobrych obywateli.

Na dzisiaj, prócz Sępowskich, którzy często przychodzą, zaprosiłam też panią Obojańską. Zaproszenie przyjęła niemal skwapliwie, zato przez cały wieczór była chmurna i milcząca, a gości zebranych darzyła tak ekstraordynaryjnem lekceważeniem, że czułam się prawie urażona. Rozmawiałam z nią ja tylko lub Sępowska, gdyż wszystkich innych odstraszała swemi posępnemi oczami. Dwa czy trzy razy zabrała głos w ogólnej rozmowie — i wbrew recepcie mej wygłaszała twierdzenia tak żelazne, że aż chłodem powiało. Mężczyźni boją się jej, ale zarazem interesują się nią bardzo, ulegają mimowiednie czarowi jej niezwykłej natury. Zauważyłam paru, którzy nawet w rozmowie z inną kobietą usiłują zwrócić na siebie uwagę Obojańskiej i z pod oka śledzą efekt głośniej wypowiedzianych słów. Gdy pod koniec wieczoru okazała nieco przychylności memu sędziwemu wujowi Rosławskiemu, który poza którąś z wymaganych przeze mnie cech towarzyskich — niczem właściwie się nie odznacza, parę spojrzeń spoczęło na staruszku z odcieniem zazdrości.

Jeden z panów powiedział do sąsiada półgłosem:

— Mało jej starego męża — nawet flirty dobiera do siwej maści.

Mimo te fantastyczności, będę nadal zapraszała Obojańską, ponieważ jest ładna bardzo i nie chcę sama w sobie podej[…]wać motywów konkurencyjnych.

Prócz tego na zebraniu wczorajszem stała się jeszcze jedna rzecz.

Mianowicie Sępowscy bez zaproszenia mego i upoważnienia przyprowadzili ze sobą — Zienowicza. Uniewinniał się i tłumaczył — ale tak pragnął być u mnie. I przytem ośmieliła go pani Sępowska.

Witając go, zrobiłam trochę zdziwienia i zmieszania, chociaż zaraz złagodziłam to uprzejmością. Musiałam jednak zaznaczyć, że uważam za niestosowne, by podczas nieobecności męża, człowiek, mający podobną renomę między kobietami, odwiedzał mię, przychodził bez upoważnienia na zebranie, mające charakter prawie familijny.

Poświęcałam mu niewiele czasu, byłam zato bardziej uprzejma, niż u Sępowskich. Chciałam zatrzeć wrażenie zbytniej wesołości owego wieczora, którą mógł wziąć za ośmielenie go. Po raz pierwszy teraz dopiero powiedziałam mu coś miłego o jego utworach — ale etykietalnie i jakby z obowiązku gospodyni.

— Wiem także, że pan pisze wiersze — rzekłam — ale niestety — nie czytałam ani jednego.

— Czemu?

— Ach Boże — wstyd mi wyznać doprawdy. Zeszłym razem był pan tyle uprzejmy, że pan zauważył, jakobym była poetyczna. Otóż to jest zupełna nieprawda. Niech pan sobie wyobrazi, że ja czynię na sobie gwałt, by się zmusić do odczytania jakiejś poezji do samego końca. Wiersze nudzą mię niesłychanie i poezji nienawidzę z całego serca. Zmuszam

się do czytania tylko tych rzeczy, których wprost nie wypada nie czytać (tu była złośliwość, ponieważ utwory Zienowicza uważane są za takie powszechnie) — Słowackiego, Mickiewicza, Norwida — (złagodziłam cios po chwili)... Czytam — i nic nie rozumiem — albo myślę o książętach wędrownych — używam tego określenia zamiast migdałów niebieskich, które jest trywjalne. Czasami także jedna z pań znajomych czytuje mi jakieś stare rymy o kolorycie średniowiecznym, truwerskim lub zgoła sumiro-akkadzkim czy assyrobabilońskim. Bardzo lubię słuchać czytania poezji — bo traktuję to, jak muzykę. którą kocham nadewszystko. Niektóre dzisiejsze liryki znam jedynie z rautowych deklamacyj.

— A pan Zienowicz bardzo pięknie czyta swe poezje — rzekła Sępowska.

— Czy tak? — Gdybym się więc nie lękała trudzić pana — —

— Ach nie, pani mi wybaczy, nigdy nie deklamuję w liczniejszem towarzystwie. Jeżeli pani pozwoli, to powiem kiedy coś swojego — ale tylko pani... Dobrze?

Zmieszałam się tem pytaniem.

— Dobrze — wyrzekłam. Chciałam dodać: „może kiedy u państwa Sępowskich“ — ale opuściła mię zwykła śmiałość.

— Dziękuję — powiedział z ukłonem: widocznie wziął to za zaproszenie.

I rzeczywiście — dziś o godzinie drugiej w południe usłyszałam dzwonek — i wiedziałam odrazu,

że to on. Byłam zła — i zdecydowana nie przyjąć go.

Ale gdy pokojowa oddała mi jego kartę — znowu zabrakło mi odwagi i kazałam prosić.

Na szczęście była właśnie u mnie starsza siostra męża, kobieta sprytna i światowa. Poprosiłam ją, by asystowała przy tej wizycie, na co zgodziła się chętnie. Pod osłoną jej powagi uczyniłam z siebie coś w rodzaju surowej mniszki.

Nie poprosiłam go naturalnie o obiecaną deklamację, chłodem i powagą dając poznać, że wizyta ma być krótka.

Emilja była wprost zachwycona mem zachowaniem i po wyjściu Zienowicza, który w tej atmosferze nie wytrzymał dłużej, niż dwadzieścia minut, wyrażała mi radość z powodu posiadania tak cnotliwej bratowej.

Sądzę, że Zienowicz więcej nie przyjdzie — i trochę żałuję.

Dzisiaj na zebraniu u Sępowskich być nie chciałam, wiedząc, że spotkam tam Zienowicza. Ale przysłali po mnie już wieczorem po raz drugi — i poszłam.

Sam Sępowski niezbyt mię lubi, ale zawsze chce, bym u nich była, ponieważ — jak się wyraził — ozdabiam salon. Sępowska była tyle naiwna, że mi to powtórzyła. Naturalnie, że się nie obraziłam. Wolę to, niż gdyby mię lubił ten niemiły człowiek.

Przyszłam, gdy wszyscy byli już przy kolacji. Chcąc uczynić jak najmniej zamieszania, powitałam gości zebranych tylko ukłonem głowy i prędko zajęłam miejsce obok Sępowskiej, bardzo daleko od Zienowicza, który siedział między mężczyznami, trzymając się wobec kobiet stylu niedostępnego lwa.

Sępowska zmieszała się, tłumacząc, że przestali się już mnie spodziewać i przed chwilą właśnie zasiedli do stołu.

— Ach! — to ja raczej powinnam przeprosić państwa — ale przez dzień cały miałam silną migrenę.

Wymownie przesunęłam ręką po czole — ani trochę zresztą nie rozpalonem — poto tylko, by pokazać, iż rękę mam równie piękną, jak królowa Anglji, okrutna Elżbieta.

Byłam wyjątkowo ładnie ubrana, do czego zresztą obowiązuje mię rola, jaką mi wyznaczył Sępowski. Z gładko upiętemi, jasnemi, „jak świeże masło“, włosami wyglądałam tak, iż żadnej ze znajdujących się tam paru dam nie mogło przejść przez myśl nawet porównanie ze mną (Obojańskich nie było). Dzięki temu byłam też wyjątkowo pewna siebie i pozwalałam sobie na wszystko. Przez binokle obrzuciłam wzrokiem cały stół.

Obok mnie z prawej strony siedział jeden malarz, młody jeszcze, dosyć ładny, ale niewypowiedzianie nudny. Doszło mię kiedyś, że, zapytany o sąd, wyraził się o mnie: *„rococo“*. Postanowiłam go rozbroić i skokietować. Powiedziałam mu parę komplementów na temat jego zmanjerowanych studjów kobiecych. A gdy na skutek tego zaczął z nadzwyczajną pewnością siebie przyglądać mi się arogancko przez rzęsy przymrużone i mówić, że tak subtelnie odczuwam sztukę, palnęłam bez przygotowania:

— Ale poco pan maluje takie już wyjątkowo brzydkie kobiety? Przecież to czyste *rococo!*

I nie czekając odpowiedzi oszołomionego artysty, wtrąciłam się do rozmowy, prowadzonej w innym rogu stołu.

Na Zienowicza nie spojrzałam ani razu — i do końca wieczoru nie zamieniłam z nim ani słowa. Gdy wychodziłam, ukłonił mi się nisko. Pożegnałam go skinieniem głowy, nie podając mu ręki.

— Co pani robi z Zienowiczem? — spytała mię cicho Sępowska.— Jak można być tak zmienną i kapryśną?

Uśmiechnęłam się słodko i niewinnie.

— Pan Zienowicz? No — przecież nie mogę ciągle z nim rozmawiać. Gdy się jest, jak ja, słomianą wdową, nie można sobie pozwolić na więcej, niż jednowieczorowe flirty.

— Więc on się pani nie podoba?

— Ach — pani jest niedyskretna. Mówiłam pani już wszakże, że nie znoszę literatów — czyniąc oczywiście wyjątek dla męża pani —

Naopowiadawszy na wszystkie strony mnóstwo podobnych kłamstw, wróciłam do siebie zupełnie zadowolona.

Dzisiaj — w porze na wizytę najzupełniej nieodpowiedniej, zbyt późno mianowicie — przyszła Obojańska.

Ubrana była w aksamitną spódnicę i bluzkę ciemną z koronek. Była blada i oczy miała szeroko otwarte.

— Dobry wieczór!—rzekła, wę drzwiach już zdejmując kapelusz i rzucając go na fotel. — Wiem, że pani się dziwi, więc mówię odrazu: jestem dziś do ostatnich granic zdenerwowana. Mam wrażenie, że całe moje życie wywraca się do góry nogami... I — niech to pani da miarę, jak bezgranicznie, jak nieskończenie jestem samotna — w takiej chwili do pani jednej udać się mogę —

— Rzeczywiście. — Mimo to mogę być tylko dumna — —

— No — tak — — Otóż... A zwracam się do pani dzisiaj, chociaż wiem, że nie jest pani dobra — —

— Zdaje mi się, że obie znajdujemy się już — *jenseits*...

— O nie — ja *już* nie... I przyszłam dlatego, że pani za artystyczna, za delikatna jest na to, by być złą — a ja teraz boję się złości, małej złości

radosnej kobiet. Bo nie jestem silna, niezawsze jestem silna i pełna wiary. — — Pewien bardzo ładny pan wyraził się raz o mnie, że pełna jestem cichego a głębokiego samouwielbienia. Miał słuszność prawdopodobnie, pomylił się w tem tylko, że samouwielbienie to jest bardzo hałaśliwe. W każdej godzinie życia przeszywa mię tysiąc zwątpień — a im więcej jest w nich pogardy dla mnie, tem głośniej i huczniej wyśpiewuję wtedy hymny na własną cześć. W ten sposób zwalczam w sobie rzecz najbardziej zasadniczą i głęboką, rzecz najcichszą właśnie — moją trwogę, ostatnie echo trwogi, podejrzenie nieśmiałe: że wszystkie te skarby duchowe, którym palę kadzidła, są zbieranemi w cudzych domach śmieciami, przez pryzmat pychy oglądanemi jako złoto. — Na dnie samem — słaba jestem i pełna lęku — i wyznaję to właśnie pani. — Sępowska mówiła, że pani jest koronkowa. Ja lubię, żeby wszystko, co nie jest granitem, było koronkowe... I nie lękam się wydać na pastwę pani, chociaż pani tak gra wytrwale ten obojętny, zimny styl, nie boję się uśmiechu pani... Lubię nawet pani uśmiech — taki, kiedy się pani oczy zasłaniają jasnemi rzęsami — —

Na chwilę w głosie jej miękko załamało się prawie rozrzewnienie — to samo, które już raz zdziwiło mię w jej spojrzeniu.

Przerwałam jej zkolei, prosząc, by usiadła — ale nie posłuchała.

Stanęła przed lustrem długiem do ziemi i zaczęła rozpinać swe wielkie włosy, rzucając szpilki na

jasny dywan, jak do wody. W całej prześlicznej figurze jej czaiło się powstrzymywane drżenie.

— Pani jest dzieciak — pani ma dwadzieścia — tak, dwadzieścia jeden lat... Co to jest?... Ach — gdyby na nowo jeszcze raz to samo życie — — I pani udaje to wszystko — pani kocha życie, męża, chłopców, lubi bawić się, flirtować — i udaje pani taką wyrobioną, ***blasée***... Ale to nic, niech pani tak udaje, pani z tem ładnie. Zresztą — styl właśnie to jest wszystko, co pani posiada — —

Rzucała na ziemię wielkie szpilki druciane i szyldkretowe, półokrągłe grzebienie, zdobione złotem. Na plecy jej, wtył przegięte przez podniesienie rąk wgórę, opadł gruby węzeł włosów bronzowych, rozkręcił się, jak żywe zwierzę, i bujnem, ciepłem pasmem jedwabiu spłynął prawie do kolan.

— Ciężą mi, głowa mi pęka — objaśniła tonem objektywnym, półobracając się ku mnie.

Stała w cieniu, dosyć daleko od lampy i w tym półobrocie topazowe oczy jej błysnęły pod światło w sposób dziwaczny, niewypowiedziany. Dotąd nie widziałam tego u ludzi. Źrenica jej przez chwilę stała się zupełnie purpurowa i jasna, jak żarzące się węgle, później błysnęła czystem złotem. Tak błyszczą czasami tylko oczy zwierząt, oczy kota, gdy spojrzy z ciemnego pokoju. Przytem ręce miała podniesione i pławiące się we włosach. W krótkiem, ciemnem, matowem ubraniu, przepysznie zbudowana, ze swą południową twarzą, z rzeką włosów wzdłuż grzbietu i tym jasnym, przezroczystym w cieniu, czerwono-

złotym połyskiem oczu — wydała mi się w tym momencie tak niewymownie piękna, że bajeczność tej urody uderzyła mię, jak olśnienie.

Rozpuściwszy włosy, położyła się w kącie salonu na szezlongu, zdala ode mnie, z wyciągniętemi nogami.

— Pani powiem... Właśnie pani... Pani nie zrobi ocząt zdziwionych, pani nie powie: taka uczona, zarozumiała — a przecież — nie udało jej się... Pani — pani Alu... A czy pani wie, że ja nauki tej nienawidzę, że ja na całą tę uczoność pluję — pluję! Na sławę pluję! — Ach — pani jest dama, pani jest wytworna, panią szokuje trywjalne wyrażenie. — — Ale to przecież jest męka, to jest żywa krew... Nauka — nie, nic mi nie zabrała — ale nic nie dała... Bo przecież ja to tylko jako środek — —

...Ja strasznie kocham jednego człowieka — pani nie będzie stawiała głupich pytań, prawda? — ja strasznie, strasznie, ja do obłędu kocham jednego człowieka... Pani tego nie zrozumie: piętnaście lat. Piętnaście. — Teraz mam właśnie trzydziesty rok. Piętnaście lat kocham — i prócz tego żyję, czytam, ubieram się, poszłam sobie zamąż, całowałam tyle ust. Och — nie tak melodramatycznie, żeby „zapomnieć“ — tylko tak, jakoś zdawało mi się, że zapomnę — i tak wypadło... Życie już... Zresztą — mam temperament. Pani się nie pyta, czemu tak staro wyszłam zamąż — i to dobrze, bo ja naprawdę sama nie wiem, czemu... Tak jakoś... Dlatego właśnie, że już nie było do tego absolutnie żadnej przyczyny, absolutnie żadnej przyczyny — — —

Roześmiała się.

— Pani milczy — pani Alu — jak to dobrze. Jaka pani miła. Pani rozumie, czuje wszystko tym swoim malutkim łebkiem. — Ja jestem strasznie nieszczęśliwa — i pani się nie dziwi i nie żałuje — i nie będzie pani nikomu opowiadała. Pani nigdy nie myślała, że przyczyną tego nieszczęścia jest mąż stary — prawda? Pani rozumie, że co komu może szkodzić stary mąż? No — czyż to nie wszystko jedno, czy mój mąż jest prawdziwy czy sztuczny, czy jest człowiekiem czy sosną, czy wydzielony jest z przestrzeni pomarszczoną skórą, czy korą, czy sierścią, czy safjanem? Cóż mnie to może obchodzić — niech pani tylko sama pomyśli... Ja jestem nieszczęśliwa — bo tam jest cała nieskończoność poza mężem siwym, książkami, nauką, triumfami. Gdyby pani miała pojęcie, jak mi to wszystko jedno — nie, nie — jak ja strasznie tego wszystkiego nienawidzę! Dla niego przecież tylko — wszystko dla niego. Przez lata całe patrzyłam w małe szkło mikroskopu — jedno małe okrągłe szkiełko — bo myślałam, że tam gdzieś, daleko, w dawnej ziemi obiecanej, w dziwnym, mroźnym kraju moich dum — dojdzie go wieść — moc zdobyta odzew w nim obudzi... Ale nic — nic —

...Całe życie zamykania powiek, by nie patrzeć, — całe życie lęku, by nie zepsuć tamtego jednym ruchem niezręcznym. I ten ruch wiecznie hamowany — I to słowo na ustach zamarłe. — I tak mijają lata...

...Człowiek zły — obojętny — mądry. Wytworny i zimny, jak odłam lodu. A jednak... Przez tęczową

mgłę tych lat, bezmiary, pustynie, oceany wrażeń, męki rozkoszy, uciech, triumfów, odrętwień letargicznych, rosnącej i dziwiącej sławy, zwycięstw smutnych i radosnych, sielanek i rapsodów — wszystkiego, wszystkiego — czasami rzutem jednym wracam do tamtego, co mi się z pierwszym snem tak nierozłącznie związało. Wszystko to złudą było, ale jam wierzyła — i dzisiaj wierzę jeszcze, choć kłamstwem się stało — — — A gdy przypomnę sobie, mam plastyczną, malarską wizję młodości mojej — tego, co było przed całemi piętnastu laty, tego czegoś, co nie pomieści się w żadnej istniejącej na świecie formule — nietylko określeniu słownem, ale spojrzeniu, pomyśleniu, pojęciu, — tego czegoś, co jest w łące mokrej, jasno-zielonej, w muzyce, dochodzącej z drugiego pokoju, w nocy letniej, czarnej, aksamitnej, w narkotyzującej woni kwiatów, rosnących w głębi chłodnego lasu, w balkonie, wychodzącym na ogród z drzewami kwitnącemi, — czegoś nieskończenie innego od małżeństwa, zabaw, pocałunków, sławy — — —

Obojańska nagle wstała, przeszła przez pokój, zatrzymała się przy oknie, odwrócona ode mnie. Mówiła prędko i szorstko.

— I pani myśli, ładna, zakochana w sobie pani Alu — że ja tak dla pani... Że ja tutaj... Że ja naprawdę panią jestem zachwycona... — Parsknęła śmiechem. — Ależ pani sama obchodzi mię tyle właśnie, co...

— ***Les neiges d'antan*** — wtrąciłam z uprzejmym uśmiechem.

— Tak... *les neiges d'antan* — powtórzyła prawie jak w zamyśleniu, łagodnie, cicho. — Pani Alu — czy pani wie, poco ja przyszłam do pani, poco tu dziś jestem...

Skręciła się w sobie, jakby ją przejęła jakaś męka. Usiadła na ziemi, potem położyła się na dywanie, twarzą nadół.

— Dziecko — małe, dobre dziecko — mówiła dozupełnie miękko. — Bo ja lubię patrzeć na panią — na ten uśmiech delikatnemi wargami — i rzęsy jasne — coś tak podobnego... — No niech pani słucha, niechże pani słucha na miłość boską — i niech pani tylko nie zrobi nic niesmacznego. Pani Alu — ja kocham, ja kocham — nazwisko przez gardło przejść jej nie mogło — brata pani, ciotecznego brata pani — tam — na północy...

— Ros — — ławs — — ?

Zerwała się i usiadła na dywanie, zwracając się do mnie.

— Tylko niech pani nie mówi tego nazwiska! I niech się pani nie dziwi! Niech pani nie mówi tego nazwiska, bo ono jest takie moje, takie tylko moje, jak moje serce...

Przestała mówić — i tylko z pochyloną głową, w cieniu swych włosów przecudnych jęczała cicho przez usta zamknięte, jakby udręczeniem nad siły śmiertelnie zmęczona.

— Czytałam dzisiaj, że jest już w Berlinie i do kraju wróci za tydzień — rzekłam półgłosem.

— Właśnie, była wiadomość. Ja go nie widziałam równe sześć lat, pani Alu. Miałam w ten wieczór dwadzieścia cztery lata.

Obojańska siedziała dalej na ziemi i zębami przygryzała wargi.

— To strasznie boli, to strasznie boli — szepnęła. — I dłużej tak już nie będę mogła... Zawsze lękałam się — od dnia, kiedy coś takiego głupiego i sztucznego stanęło między nami... I nigdy nie dowiedziałam się, czy kochał mię kiedy — — Gdy go widziałam ostatni raz — przelotnie, przypadkowo — przed sześciu laty — był taki jeden, jeden tylko moment, że chciałam rzucić mu się w ramiona — już nie z namiętności ani sentymentu — tylko przez straszny patos tej miłości, by poznać najsilniejsze wstrząśnienie, jakiego doznać mogę w przeciągu czasu, zawartym między chwilą urodzenia się mego i chwilą mojej śmierci. I ten moment ostatni także minął. — Nie mogę tak już dłużej. Pani Alu — pani to zrobi koniecznie. Pani to zrobi, żeby on tu przyszedł, jak tylko przyjedzie. Taki bliski kuzyn — i przecież ojciec jego bywa u pani. Urządzi pani zebranie — i ja będę na niem. Prawda? Ja chcę, ja chcę koniecznie. Do Obojańskiego Rosławski nie przyjdzie — poszło im o coś, gdy wyjeżdżał na pierwszą wyprawę i — i mogłabym go wcale nie zobaczyć... Niech pani sobie wyobrazi — po tylu latach. Pani to zrobi. Spotkam go tu przypadkowo — i powiem mu, tym razem powiem, na pewno mu powiem — —

Gdy przyrzekłam jej uczynić, co chciała, zerwała się i radość dzika, gorączkowa zapaliła się w jej oczach. Chodziła po salonie prawie w skokach, jak pantera. Biła w ręce lub krzyżowała je na piersiach.

— Wierzę, sama nie wiem czemu — teraz już wierzę na pewno. Zdaje mi się, że stoję już na progu tej krainy szczęścia. Pani Alu — pani też pewno tak myśli. Przecież nie można przez całe życie nie zdobyć tego, co jest jedynym motywem i usprawiedliwieniem tego życia. Przecież nie można nie zdobyć tego, czego się pragnie nad siły własnej potęgi pragnienia. Przecież to niemożliwe — pani to rozumie — przecież ja mam piękność i myśl, i sławę. — Pani nawet nie wyobraża sobie, jakie ja mam prześliczne ciało — niemożliwe, by to wszystko miało być tak zupełnie bezpożyteczne, by to wszystko — choćby teraz dopiero — nie kupiło dla mnie szczęścia. Ja przeznaczenie w tem czułam od pierwszego zamienionego słowa, to było jasnowidzenie mego dzieciństwa.

Uniesienie jej wyczerpywało się. Stopniowo smutniała.

— Tyle lat — bez szczęścia. Jak żal... Treścią życia mojego był — a widziałam go przez godzin parę na długie lata... Jeden jedyny mit — na wszystkie dni. Jeden jedyny sen — i bez granic piękne marzenie. Meteor — blask — lot — dziw — Na wszystkie dni żywota.

Zakryła oczy obiema rękami i zaczęła płakać głośno i naiwnie, jak dziecko. Że sen jej życia był zawsze tylko snem.

Chwilę siedziałam cicho — zmieszana, lękając się obrazić ją jakiemiś słowami uspokojenia.

Potem wstałam, przyszłam do niej i przytuliłam głowę do jej ramienia.

— Taki śliczny jest pani mit — rzekłam miękko.

Opuściła ręce na kolana i przeciągle patrzyła w moje oczy. Kremowe powieki, delikatnie zaróżowione od płaczu, zesuwały się coraz węziej na promiennym blasku jej źrenic topazowych, które wpijały się we mnie poprzez mrok rzęs brunatnych, splątanych, wilgotnych jeszcze od łez, spojrzeniem niewymownej słodyczy i jarzmiącego upojenia.

— Czytała pani Louys'a „*Amie complaisante*"? — zapytała cicho.

— Może — — Tak — — rzekłam, czerwieniąc się w półmroku.

— Gdzie rówieśnica Selenis mówi do Bilitis: jestem Lykasem, zamknij tylko oczy... oto ramiona jego i usta...

Spuściłam głowę.

— Niechaj mi pani będzie dziś dobrą Selenis — szepnęła cicho, słodko i władnie, jak pokusa. — Tylko ja oczu nie zamknę, by widzieć pani rzęsy jasne i usta, podobne do jego — — —

Objęłam jej szyję rękami i całowałam ją delikatnie. A ona z odgiętą wtył głową, piersiami ocierając się o moje piersi, rozchylonemi wargami piła moje pocałunki, jak wodę życia.

Julka zabrała mię wczoraj do Daseckich, gdyż tam jedynie mogłam zobaczyć się z Janem bez tej zdecydowanej ostentacji, którą pociągnęłoby za sobą umówione i przygotowane spotkanie u Julki. Sama wolałam, by znajdowała się między nami większa przestrzeń oraz pewna liczba ludzi. Daseckich znałam dawniej, potem zapraszali mię często przez Julkę — zresztą to ludzie nie uważający na formy — więc choć zerwałam te stosunki od wyjścia zamąż, mogłam iść do nich śmiało, nie lękając się niestosowności.

Weszłam cicha, potulna, roztargniona — pamiętając, że ci ludzie mimo wszystko za złe mi mają to, co było z Janem. Kochają go tam prawie jak syna.

Kilka, czy może kilkanaście ciemno i źle ubranych osób, skupionych starannie w małym tak zwanym „saloneczku", jak wyraziła się Dyzia, dorosła córka państwa Daseckich. Na lampie, trzymanej przez żelaznego Hiszpana, abażur z czerwonej bibułki. Nastrój jest serdeczny, rodzinny, gdyż właśnie Jan jest z narzeczoną. Wieść o zaręczeniu się jego pozwoliła mi Julka usłyszeć dopiero tutaj, by zgnębić moją ambicję. Ten przejaw jej dobroci możnaby nazwać pedagogicznym.

Przyczaiłam się, jak mogłam, najniewinniej. Odzywałam się mało — poczciwie, nawet tkliwie skarżyłam na osamotnienie, w jakiem pozostaję po wyjeździe męża. Z Janem nie mówiłam, gdyż siedział daleko — przy narzeczonej. Nie patrzył na mnie, chociaż musiał wiedzieć, że przyszłam dzięki temu, co mi mówiła Julka. Wogóle był koło mnie nastrój triumfu i poskromienia złej i próżnej kobiety. Nawet w oczach narzeczonej Jana, suchej, seplenięcej, ostentacyjnie zakochanej, wyczytałam pobłażliwe rozczarowanie wraz z naiwną radością zwycięskiej rywalki. Rozmawiając, prowokacyjnie nachylała się ku głowie Jana, jakby chciała w ten sposób zadokumentować, że on jest jej.

Ten stan rzeczy potrafiłam utrzymać przez połowę wieczoru. Rozmowa wiodła się bardzo różnorodna. Zwłaszcza mocne uogólnienia wygłaszała pewna dama w okularach, z włosami bezwzględnie skręconemi z tyłu głowy w maleńki kłębuszek. Ponieważ w kwestjach, tyczących wydarzeń chwili ostatniej, używano charakterystycznego żargonu, spytałam Julki, czy należą do partji.

— Nie wszyscy. Przeważnie są to tak zwani sympatycy.

— Boże — i tacy antypatyczni — pomyślałam cicho.

Naogół są to ludzie inteligentni, jasno myślący, nadzwyczajnie jednostronni, świadomi celów, środków i sił, zrównoważeni umysłowo, choć uczuciowo zapalni — ale tak dalecy od estetyki, iż światło piękna

iść musiałoby ku nim przez całe lata, jak światło gwiazdy.

Gdy był jakiś zamęt, sama podeszłam do Jana i wymówiłam parę konwencjonalnych słów powinszowania dla obojga narzeczonych. On chłodno dziękował i popatrzył na mnie tak dziwnie zgaszonemi oczyma, że się zlękłam. Panienka natomiast odpowiadała mi szybko i uśmiechając się często, przyczem, zwracając się do mnie, nazywała swego narzeczonego „Jasiek“. Po chwili — chcąc zapewne okazać ufność we własne siły oraz miłość narzeczonego — odeszła niepostrzeżenie do panny Daseckiej i zaczęła ją prosić, by zaśpiewała. Tutaj bowiem, gdy tylko ludzie zbiorą się, obowiązkiem każdego jest pokazać wszystko, co umie; nie liczą się z tem, że o ile ktoś pragnie słuchać muzyki lub śpiewu, to pójdzie na koncert lub operę i ma to wszystko w lepszym gatunku, przychodząc zaś na prywatne zebranie okazuje tem samem, że chce tylko rozmowy. Osobiście niecierpię wszelkich produkcyj salonowych — i dlatego podobało mi się, gdy Zienowicz na mą zdawkową propozycję zadeklamowania odpowiedział odmownie.

Zostałam z Janem. Czułam w nim zaciętość dziwną, chłód prawie nieuprzejmy. Nie patrzył na mnie. Mówiliśmy dość ogólnie o rzeczach obojętnych.

— Bardzo, bardzo rada jestem — rzekłam, wracając do sprawy jego zaręczyn — i raz jeszcze winszuję serdecznie.

Przyglądając się twarzy jego, konstatowałam ze zdziwieniem, że tak bardzo się zmienił. Przed dwoma

laty było w nim jeszcze tyle młodzieńczości i jakiegoś nieśmiałego fanatycznego ognia. Teraz stał się spokojny, zrównoważony, świadomy celów — jak ci wszyscy tutaj. I jak u tych wszystkich, zdawało mi się, że jest w nim ton triumfu nade mną, łaskawego przebaczenia. To spostrzeżenie zirytowało mię.

— I nawet — wyznam — zazdroszczę panu miłości — powiedziałam.

Jan zmieszał się lekko.

— Pani to mówi? Wszakże i pani — — —

Uśmiechnęłam się łagodnie, z niewinnym wyrazem podnosząc brwi.

— Ach Boże — ja... Przecież ja ani przez chwilę nie kochałam mego męża — wówczas, gdy wychodziłam za niego...

Podniósł na mnie oczy, rozszerzone nagłem zdumieniem. Patrzył przez chwilę — i nagle zmienione rysy jego wyraziły taką bezgraniczną mękę, długo tłumioną, że zadrżało mi serce.

— Alu — wyszeptał — to prawda?!

Chciałam roześmiać się, ale nie mogłam.

— Pan będzie szczęśliwy, ależ pan będzie szczęśliwy — powtarzałam.

Zaczęto patrzeć na nas. Jan był zmieniony. Wtedy już roześmiałam się głośno i zemściłam za nastrój całego wieczoru. Mignęły mi w brzydkim tłumie nieco przelęknione oczy Julki.

— Byłoby mi bardzo miło ujrzeć oboje państwa u siebie — rzekłam jeszcze do Jana. — Należy mi się to, jako starej mężatce...

Przeszłam się po salonie z mym zwykłym, niedbałym, patrycjuszowskim gestem: szukając przyszłej żony Jana, przyłożyłam binokle do oczu, znalazłszy zaś — puściłam je z taką fantazją, że z łoskotem uderzyły w poręcz prymitywnego sprzętu, który tu zarozumiale nazywano krzesłem. Nietrzymany tren sukni szumnie wlókł się za mną, zawadzając o nogi owych sprzętów oraz spoczywających na nich dam i panów.

— Przyjdzie pani do mnie z panem Janem, prawda? — mówiłam słodko do szczęśliwej narzeczonej.

Ona straciła już pewność siebie.

— Owszem i owszem, proszę pani — rzekła.

Kręciłam się swobodnie po pokoju. Przerzuciłam nuty na pulpicie.

— Czemu pani nie śpiewa? — spytałam przez całą długość salonu panny Dyzi.

Podeszła do mnie.

— Dziś — jakoś — nie jestem przy głosie — tłumaczyła się z nieszczęśliwą minoderją.

— I ja także śpiewam — rzekłam.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że mimo swobody zewnętrznej, jestem bardzo zdenerwowana. Ogarnął mię nastrój męczący, ekstatyczny. Zapragnęłam nagle całą wolą swego kaprysu porwać ten racjonalny, obcy, nieprzyjazny tłum w inną stronę, narzucić mu przemocą podziw dla rzeczy ładnych i niepożytecznych, zelektryzować wizją złotego kraju, kraju, o którym opowiada *un poete ayant fait un voyage de rêve,* wizją jasnej gwiazdy miłości, gdzie nigdy nie

dzwoni godzina rozstania, gwiazdy miłości, gwiazdy upojenia.

Usiadłam przy fortepianie i, wbrew przekonaniom własnym, zaczęłam śpiewać — zanim nawet ktokolwiek zdążył mię o to poprosić. Mój lekki, dobrze wyszkolony, łatwo wyginający się głos — z pewnem zdumieniem odbijał się o nieładne ściany i obrazy. Byłam dziwnie podniecona — i w śpiewie mym, zwykle chłodnym, dźwięczało tym razem upojenie ekstatyczne.

On y entend le soir échanger sous les arbres
De fous baisers, troublants le calme de la nuit...
Auprès de l'eau glissant sur la fraîcheur de marbre
Les femmes font goûter leurs lèvres, comme un fruit.

C'est l'étoile d'amour,
C'est l'étoile d'ivresse —
Les amants, les maîtresses
Aiment la nuit, le jour...
Un poète m'a dit, qu'il était une étoile,
Où l'on aime toujours...

Gdy odwróciłam głowę i stojąc słuchałam pochwał Dyzi i paru innych pań, ujrzałam stojącego we drzwiach od przedpokoju nowego przybysza, który odbijał jaskrawo od całego zebrania, był przystojny, dobrze ubrany, i miał przez klapę ubrania przeciągniętą gałązkę konwalji. Czekał widocznie, aż skończę śpiewać — a teraz witał się ze wszystkimi.

— Skąd oni wytrzasnęli takiego szykownego chłopca? — mignęło mi w myśli, gdy pani Dasecka

z lekkim odcieniem dumy w głosie przedstawiała mi nieznajomego.

Ukłonił się i popatrzył na mnie przez krótką chwilę, nic nie mówiąc. Później stanął oparty jedną ręką o fortepian i o czemś wesoło rozmawiał z Janem, śmiejąc się półgłosem, serdecznie. Jan opanowywał się, uśmiechał i chociaż starszy od tamtego — wydawał się pełnym szacunku i zależności.

W salonie zrobiło się cicho i większość oczu zwrócona była na przybyłego. Nazywano go „książę", co — jak się wkrótce domyśliłam — było jego pseudonimem, który raz już słyszałam od Julki. On nie mieszał się zupełnie zwróconą uwagą, mówił wciąż z Janem, pochylony ku niemu, gestykulując okrągło, poruszając się i wyginając z wdziękiem, bezustannie, jakby nie umiejąc opanować wyrywającej się nazewnątrz młodzieńczej, pulsującej energji życia.

Odrazu usunął mię na drugi plan. Ale nie byłam zła. Sama patrzyłam z zaciekawieniem i uśmiechem w oczach.

Po chwili podeszła do nich Julka i zaczęła coś mówić poważnie. Z twarzy księcia z błyskawiczną szybkością znikł uśmiech. Zmarszczył brwi. Pomilczał chwilę — i później wyrzekł parę słów, których Jan i Julka wysłuchali w skupieniu, z oczami, wbitemi w jego oczy.

Wniesiono herbatę. Uczynił się gwar i ożywienie, w którem towarzystwo zrównało się i pomieszało zupełnie. Do końca wieczoru trwała ogólna rozmowa o wydarzeniach politycznych. Nowy znajomy mówił

płynnie, jasno i dosyć mądrze. Wydał mi się bardzo młody, sądzę jednak, że musi być starszy, niż wygląda.

Wracając do domu, zapytałam Julki, kto to jest.

— To wielki człowiek — rzekła poważnie i nie chciała się wdawać w bliższe określenia.

— Podobał mi się — taki żywy i młody — rzekłam. — Chciałabym go skokietować...

Julka roześmiała się.

— Także trafiłaś! To nie to, co Jan. Ten człowiek ani patrzy na kobiety...

Ta ostatnia wiadomość oraz przypomnienie Jana sprawiły, że się zachmurzyłam.

— Poco ty mię tam właściwie zabrałaś, Julko? — rzekłam. — Nic dobrego nie uczyniłam przyjściem swem na pewno —

— Ja sama teraz żałuję — rzekła ona.

Chwilę milczałyśmy.

— A narzeczona jego — czy także należy do was?

— Teresa. — Naturalnie! Gdybyś poznała ją bliżej, na pewno podobałaby ci się bardzo. Trudno wyobrazić sobie podobne zaparcie się siebie na korzyść sprawy. Niema w tej duszy ani cienia egoizmu —

— Poznam ją, gdyż pewnie przyjdzie do mnie.

Dziś w nocy toczyła się taka rozmowa:

— Malutkie moje serduszko, czy bardzo chciałobyś pokochać?

— Okropnie, ale to poprostu okropnie.

— A kogo?

— Jednego pana.

— Czy nie mojego męża?...

Serduszko parsknęło śmiechem.

— Wymyśliłaś... także!...

— Prawda. To głupi pomysł. Może więc pana Zienowicza?

— Jego lepiej nie...

— Jego nie?... A Jana?...

— Nie mogę: on kocha ciebie...

— No więc kogo?

— Jednego pana.

— Ładny czy brzydki?

— Nie wiem.

— Dobry czy zły?

— Nie wiem.

— Blondyn czy brunet?

— Nie wiem...

— Ach, głupiutkie serduszko, samo nie wiesz, kogobyś chciało kochać.

— Wiem.

— No to kogo?

Serduszko wybuchnęło płaczem. Małe, głupie — i takie biedne...

Jest we mnie pustka i nuda. Mam wrażenie, że mię osuszono sztucznie, jak jeziora holenderskie.

A ludzie mają tę zaletę, że jednak mówią. Mówią długo, niezmordowanie. Później myśli się o tem, co mówili, przypomina się różne wesołe głupstwa, uogólnienia, błędy gramatyczne... I w rezultacie można zasnąć.

Prawie wszyscy mówią źle. Najczęściej ten zwrot: „mądrzejszy, *jak* on", „mniejszy, *jak* tamten"... Nie mogę tego wprost słuchać — i przynajmniej doznaję silnego wrażenia. Przytem ludzie są tak niedyskretni, że pytają czasami, czy tęsknię za mężem. To także sprawia mi rozrywkę. Z takich względów ciągle potrzebuję towarzystwa.

Wszystko to zresztą jest okłamywaniem siebie. W rzeczywistości zaś rzecz przedstawia się, jak następuje:

Przed paru dniami przyjechał kuzyn mój, Rosławski. Wczoraj z papą swym złożył mi wizytę. Nie widziałam go bardzo długo i patrzyłam, jak na nowego znajomego. Patrzyłam z wyjątkową uwagą. I mimo szczerych chęci, nie znalazłam nic szczególnego. Ani trochę nie jest podobny do mitu o sobie.

Przez godzinę opowiadał bezbarwnie i sztywno wrażenia z odbytej wyprawy. Z jednakowym półuśmiechem mówił o śmierci jednego z towarzyszy, o obyczajach pingwinów, o niebezpieczeństwach żeglugi między lodami.

Właściwie jednak — nie o to mi idzie.

Otóż ponieważ przyjechał Rosławski, muszę dotrzymać przyrzeczenia, danego Obojańskiej — i we czwartek najbliższy urządzić niewielkie przyjęcie.

Na którem nie będzie Zienowicza.

To właśnie jest najważniejsze, to jest cały ów mój smutek. Bo nieprawdą jest naruralnie, by Zienowicz nic mnie nie obchodził. Przeciwnie — interesuje mnie i pociąga więcej, niż ktokolwiek. A nie był u mnie od czasu owej fatalnej wizyty z Emilją.

Jestem bardzo nieszczęśliwa, ponieważ okropnie chcę posłać mu zaproszenie, a wszystkie moje szlachetne instynkty burzą się przeciwko temu. Nadewszystko jestem ambitna, chociaż nigdy nie znać tego po mnie. I głównie z tego względu nie należę do kobiet „wyzwolonych". Parę razy w życiu widziałam, jak to wygląda. Dla kobiety ambitnej mniejszą ofiarą jest ulec mężczyźnie, niż dać mu poznać, że wolno mu o to się starać.

Z drugiej znów strony nie jestem w stanie dłużej nie widzieć Zienowicza. Do niepohamowanej złości doprowadza mię myśl, że z taką łatwością poddał się moim okrutnym wyrokom.

Korzystając z pogodnego, mroźnego dnia, wyszłam na spacer. Niskie, białe słońce wlało nieco elektryczności w moje nerwy. Opuściłam moją dzielnicę, gdzie spotykałam znajomych, i zaczęłam się błąkać w nieznanych prawie stronach, które wydają mi się zamieszkałe jakby przez inną zupełnie narodowość, prawie inny gatunek ludzki. Maleńkie, wąskie, wysokie kamieniczki, w których gnieździ się zduszone, zgarbione życie, jakgdyby staremi, zbyt ciasnemi formami zatrzymane w rozwoju.

Zamiast rozmyślań o naszej minionej świetności historycznej błąkały mi się po głowie pozbawione sensu spostrzeżenia i wnioski. Perswadowałam sobie mianowicie, że Zienowicz jest jedynym człowiekiem, którego — mną nawet będąc — kochać można. Bo jest w nim nurt jakiś, który nie szuka trywjalnych przejawów zewnętrznych w sztucznym demonizmie lub prowokacyjnej bohemji. To właśnie, że jest napozór tak bez zastrzeżeń podobny do wszystkich przeciętnych, kulturalnych ludzi, każe przypuszczać na pewno, że duszę ma odrębną i głębszą.

Na skutek tego ostatniego wniosku, dość słabo zresztą umotywowanego, wręczyłam napotkanemu po-

słańcowi kopertę, adresowaną do Zienowicza, zawierającą bilet z inwitacją na wieczór jutrzejszy. Po dokonaniu tego rękoczynu przyszła mi refleksja, że bilet ten, który nosiłam w ręcznej torebce już od czterech dni, przyniosłam w te okolice z dzielnicy znacznie bliższej mieszkania Zienowicza, że skutkiem tego posłaniec uczyni z tym biletem w pewnym stopniu drogę powrotną i że przeto jakaś określona suma energji w przestrzeni zostanie bezużytecznie zmarnowana.

Po tej refleksji przyszła druga: że wogóle niepotrzebnie pisałam do Zienowicza, który jest sławny, poszukiwany i względami kobiet zepsuty.

A po tej — trzecia: że nie można kochać człowieka, którego się z całej duszy niecierpi.

Jest to czarowny stosunek między mężczyzną i kobietą, którego nie psuje miłość. Jest w nim namiętność zakwefiona, niestępiona tkliwością, nieosłabiona zbliżeniem, jest wrogość, nie dopuszczająca odkrywania stron słabych, wzajemne hiperbolizowanie się, prowadzące do szczytów patosu.

I oto siedzę sama w domu mojego męża, nie kochająca go i nie kochana przez niego — i zabijam się tęsknotą upartą i bezsensowną za człowiekiem obcym mi i dalekim, którego nie kocham także. Jest to zabawne zarazem i nieznośne.

Nie jest mi smutno — och, nie. Chodzę sobie tak po tym domu, przypominam niektóre rzeczy, wącham białą, lubieżną tuberozę na długiej, okropnie długiej łodydze, którą mi przysłał przedwczoraj Zienowicz. Z dniem każdym bardziej pachnie. Stoi pijąca wodę czystą z szklanego przezroczystego wazonu formy wytwornej, zaokrąglonej, jak biodra kobiety, która nigdy nie miała dziecka. W wazonie tym ofiarował mi mąż mój kwiaty w dzień pierwszych mych urodzin z czasów narzeczeństwa. Dziś stoi w nim jedna tuberoza — i pachnie bardziej upajająco od wszystkich tamtych kwiatów. Spostrzeżenie to ma

pewne alegoryczne znaczenie: mianowicie cała epoka mej pseudomiłości, obejmująca narzeczeństwo i pożycie małżeńskie, nie dała mi tyle rozkoszy, co choćby ta jedna krótka chwila, gdy czułam na nagim karku ciepło ręki Zienowicza, przeniesione ogniwami złotego łańcucha — symbolu słodkiej niewoli, w którą mię brał, — i na powiekach spuszczonych chłód jego oczu, konstatujących efekt. W porównaniu tem jednak niema nic smutnego.

Ani też bolesna jest mi tęsknota za Zienowiczem. Całuję zmysłowe płatki tuberozy, z zamkniętemi oczami, wyobrażając sobie, że to są jego usta. I umieram z upojenia.

Bilet, który posłałam do niego, był aktem oddania mu się w niewolę. Wiedziałam o tem, gdy to pisałam. I już wtedy zdecydowałam się na wszystko to, co staje się obecnie.

Gdy przyszedł na wieczór ów — zachowywał się tak, jakby nic się nie zmieniło. Grał nawet pewne onieśmielenie i manifestował wyraźnie szacunek w ogromnej ilości i najpierwszego gatunku. Zato czasami w oczach jego, gdy patrzył na mnie, prężyła się leniwie taka zdumiewająca pewność siebie, że serduszko moje ziębło ze strachu.

Od tego wieczoru przychodzi często, co dni kilka i prowadzi ze mną „literackie“ rozmowy. Porozumiewamy się doskonale w dziedzinie kultu piękna zarówno, jak w dziedzinie gry życia. Ale w tem, co nas łączy, niema ani trochę przyjaźni. Chłodne słowa nasze oplata subtelna, złota siatka myśli niepo-

kojących, uśmiechających się nęcąco z poza zasłon o fałdach sztywnych, stylizowanych.

Pomimo rozumienia się nawskroś, zależność moja od tego człowieka jest tylko zmysłowej natury. Dlatego niewola moja kończy się z chwilą, gdy go niema.

Ale niewola słodka jest dla chwiejnej, delikatnej duszy kobiecej. Dlatego każdego dnia, gdy nie widzę Zienowicza, tęsknię za moją niewolą.

Poza moją pięknością i *celle* mojego życia najbardziej kocham na ziemi czar nieprzeparty zwodnej gry i słodszy jeszcze czar zapomnienia nawet o grze — dla płomieni ciała. Dla tej najwyższej i jedynie realnej rozkoszy, którą tak nieopatrznie natura dała człowiekowi, nie przypuszczając pewnie ani na chwilę, jak bardzo bezcenny dar ten przeciw niej samej się obróci.

Ludzie wcześniejszej formacji, bijący się o kraty zbyt prostych i łatwych przeciwstawień, lękają się czaru grzechu i w ekspjacjach znajdują wytchnienie po orgjach, w pogardzie życia opłatę za jego rozkosz.

Ja zaś za dobrze wychowana, za inteligentna, za wytworna jestem, by po gorszych od pocałunków spojrzeniach Zienowicza czuć niesmak — ową zresztą najłagodniejszą formę „żalu za grzechy". Niechaj sentymentalne mieszczki spowiadają się dla otrzymania rozgrzeszenia. Moje rozgrzeszenie jest w tem, że grzeszę ja.

I nie potrzeba mi pokuty. Grzech jest dla mnie sam w sobie pokutą największą.

Poszłam ku oknu otworzyć lufcik. Zatrzymałam się w wąskiem przejściu między storą, żardynjerą, grzbietem szezlongu i słupem białym, na którym stoi palma.

Zienowicz w milczeniu stąpał za mną i stanął, gdy ja stanęłam — w ten sposób, że zupełnie zamknął mi odwrót. Z zewnątrz mogło to wyglądać, że pragnie mi pomóc.

Długo otwierałam lufcik. Zrobiło mi się nagle duszno, ciasno, gorąco. Mroźne tchnienie zimowej nocy, wdzierając się w ciepłą atmosferę pokoju, paliło mi piersi.

Nie mogłam wykręcić się na tej przestrzeni, bałam się właściwie. Musiałabym w takim razie poprosić go wyraźnie, by się usunął — spotkać z jego oczami — i wtedy stałoby się na pewno to nowe, konkretne, wtedy ja sama wolałabym raczej schować się w jego rękach obejmujących, niż męczyć się dłużej tą walką nerwów, przechodzącą już moje siły.

Mąciły mi się myśli. Stałam tak — bez ruchu, zamierając wprost z oczekiwania, pełnego męki i rozkoszy. Była cisza i natężała się do takich granic, że byłabym krzyknęła, by się to jakoś skończyło wreszcie. Chociaż dotąd zapanować umiałam nad każdą sytuacją,

Zienowicz zmógł mię — i nie skorzystał ze zwycięstwa. Po chwili cofnął się o krok i rzekł chłodno.

— Czemu pani trudzi się sama? Byłbym przecież otworzył, gdybym wiedział, o co pani idzie —

Odsunęłam z nad głowy kotarę i wyszłam z pośród kwiatów. Ze spuszczonemi oczami ominęłam go, czując na całej swej postaci spojrzenia jego, jak ślizgające się języki ognia.

I kiedy w nocy myślę o tem, przejmuje mię rozkosz niewypowiedziana. I żal mi prawie, żem w ten wieczór nie dała powiek mych oczu trwożnych jego słodkim, władnym pocałunkom.

A w czasie dnia staję czasami u okna — w tem samem miejscu — między kwiatami — i doznaję fizycznego niemal przypomnienia tamtej chwili... Powieki spadają mi same na oczy, obłąkane marzeniem. Odwracam się już tym razem, ręce wyciągam sama — i całuję chłodne, gładkie liście więzionych roślin, wargami gorącemi obejmuję chłodne, gładkie liście więzionych roślin —

Rozmawiałam dziś z jednym ze znajomych panów, wolnomyślnym i racjonalnym. O różnych rzeczach, o miłości i postępie — także. Między innemi na moje teoryjki wyraził się tak:

— W przyszłości będzie panowała wolna miłość, a nawet wolna chuć. Ale zabawy w tem być nie może.

W takim stanie rzeczy byłabym już oddawna kochanką Zienowicza, co byłoby przecież równie nieprzyzwoicie, jak nierozsądnie. A cała ta urocza pochyłość, wiodąca, jak do otchłani — do tego, co może nie jest w rzeczywistości nawet — pasterską doliną?...

Dla mnie najcenniejsza będzie wolna gra.

A przecież nie jestem zła, skoro nie wierzę w zło.

Gdy rozmawiałam z Zienowiczem, przyszedł niespodzianie Jan. Nie widziałam go od wieczoru u Daseckich.

Przywitałam go życzliwie, niemal serdecznie, co trochę zdziwiło Zienowicza.

— Czemu jednak nie z narzeczoną według obietnicy? — zapytałam.

Jan nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko, jakby reagując na pozbawioną treści uprzejmość — i jednocześnie pobladł.

Popatrzyłam nań uważnie — i nagle serce zabiło mi z przerażenia, a do oczu podstąpiły łzy. Zrozumiałam.

Był bardzo krótko i widocznie męczył się rozmową. Gdy odchodził, odprowadziłam go do przedpokoju, chcąc wynagrodzić mu to nieostrożne pytanie.

— Boże, Boże — dlaczego pan to zrobił, panie Janie? — mówiłam półgłosem.

— To nic, tak jest lepiej — odpowiedział.

Stał przez chwilę w milczeniu, nie żegnając się jeszcze. Byłam bliska płaczu, myśląc o tej nieładnej kobiecie, w której nie było „cienia egoizmu", tylko zaparcie się i poświęcenie, i która z taką naiwną miłością mówiła „Jasiek". Po raz pierwszy uczułam cóś dziwnie przykrego i gorzkiego, co pewno nazywa się wyrzutami sumienia.

— Właściwie przyszedłem do pani z interesem — rzekł Jan. — Towarzyszka Julja mówiła mi, że pani pragnęłaby czemś się zająć, pracować z nami. Ona jest temu przeciwna — właśnie ze względu na panią, twierdzi, że jest to wprost sprzeczne z naturą i teorjami życiowemi pani. Ja sądziłbym inaczej. Z natury jest pani szlachetnym człowiekiem, tylko środowisko, w którem pani żyje, demoralizuje panią w najwyższym stopniu. Trudno zgodzić się, by zmarnować się miała taka subtelna i czująca, taka cudna dusza, jak pani — —

— Julka rzeczywiście myli się — przerwałam. — Tamte rzeczy pociągają mię oddawna — i nie mimo to, że jestem jaka jestem, ale dlatego...

— Skoro pani chce coś robić, to właśnie w chwili obecnej potrzeba nam kogoś takiego. Robota naturalnie będzie odpowiednia. Jest pani teraz zajęta, więc szczegóły potem opowiem. Dam pani tylko adres.

Wręczył mi zapisaną hieroglifami kartkę i objaśnił ich znaczenie.

— Była pani dotąd tak starannie izolowana od wszystkiego, co w życiu jest wielkie i tragiczne, że wrażliwość pani w tym kierunku stępieć mogła. Ale to zmieni się tak łatwo, tak łatwo zapomni pani wszystko, czem pani teraz żyje — —

Pomyślałam sobie, że nic właściwie zapominać nie potrzebuję nato, by poznać te nowe światy, że

mam siły na jedno i na drugie — ale nie powiedziałam tego. Nawet podziękowałam mu serdecznie, że ułatwił mi drogę w tamtą stronę.

Gdy powróciłam do salonu, Zienowicz siedział pochylony nad albumem i oglądał niezliczone moje fotografje.

— Przepraszam uprzejmie, że zostawiłam pana przez tę chwilę samego — rzekłam.

— Och, niechaj się pani mną nie krępuje — powiedział salonowym tonem. I nagle zupełnie zmieniając głos, spytał ostro:

— Ten człowiek obchodzi panią blisko — prawda?

Zmieszałam się tą napaścią.

— Nie w ten sposób, jak pan sądzi — rzekłam miękko. — Tylko jest to typ tak szlachetny i ofiarny —

— Odrazu poznałem w nim działacza — przerwał. — Wszyscy ci ludzie mają wspólne cechy: niegustowne ubranie i brak talentów towarzyskich. Nie pojmuję, co pani może mieć z nimi wspólnego — i to, że pani ich zna — psuje mi panią. Czyż pani rzeczywiście bierze na serjo tych panów, którzy, nic nie robiąc przez cały dzień — walczą jak lwy rozżarte właśnie o ośmiogodzinny dzień roboczy? I jeszcze dumni są z tego, że nie dla siebie walczą, lecz dla innych.

Roześmiał się, usiadł nieco bliżej i łagodniejszym już głosem mówił.

— Pani powinna zawsze pozostać tem, czem pani jest dzisiaj — to jest estetką. — Niczem mniej

i niczem więcej. Niechaj się pani stara nie kultywować w sobie żadnych innych uczuć poza intuicją piękna — dobrze.

Nie zwracał uwagi na moje milczenie, biorąc je prawdopodobnie za zgodę. Przez chwilę przyglądał mi się.

— Pośród mężczyzn przyjęte jest nazywać panią: dogaressa. To zupełnie złe określenie. Złoto pani włosów nie ma tycjanowskiego, południowego gorąca — raczej pewną spłowiałość kultury północnej. Pani jest dama. I niczem innem być niech się pani nie stara.

Obojańska także nazywała mię damą. Jakie to szczególne, że ludzie, zarówno Jan, jak Zienowicz i Obojańska, jak Julka — wszyscy widzą we mnie tylko fragment.

I ten wieczór przyszedł także — wbrew wszelkim przewidywaniom i obliczeniom.

Przyjęłam Zienowicza w nowej sukni. Gdy powitałam go, przesunął się spojrzeniem po mej postaci — wedle zwyczaju — od stóp do głowy. Zatrzymał wzrok na broszy, którą przypiętą miałam do stanika.

— Jaka piękna — rzekł. — Czy bardzo stara?

Skinęłam głową.

— Po jakiejś prababce jeszcze z rodziny męża —

— Chciałbym obejrzeć — można?

Pochylił się na krześle i wyciągnął rękę.

Nie patrząc nań, widziałam uśmiech pewności na delikatnych wargach, pewności, że zmieszam się i złamię. Pobladłam z gniewu na myśl, że cieszyć się będzie mem zalęknieniem.

— Proszę — rzekłam zuchwale.

Uczułam na piersi dotknięcie lekkie jego palców, niby walczących z zapięciem broszy. Każdego innego kazałabym w podobnym wypadku wyrzucić za drzwi, przy nim bałam się oddychać. Byłam trochę odwrócona, miałam oczy spokojne i brwi ściągnięte, ale usta mi drżały. Powolny, ciemny rumieniec męki występował mi na policzki.

Gdybym była w owym momencie wyczuła w nim jedno załamanie woli i spokoju, jeden odcień tego trwożnego zuchwalstwa, które daje mężczyźnie poryw krwi — umiałabym przeciwstawić mu chłód i nierozumienie, a nawet niezadowolenie. Ale Zienowicz był zupełnie spokojny, nie stracił ani na chwilę panowania nad sobą, którego ja już nie miałam.

Usuwałam się niepostrzeżenie przed jego dotknięciem, ale nie miałam odwagi ręką odepchnąć jego ręki.

Świadomość zalała mi ogromna, przezroczysta fala, jakby dokądś wyraźnie dążąca. Nagle opuściła mię wszelka siła. Rękami zakryłam oczy i w poczuciu, że tak właśnie być powinno, rzekłam z wysiłkiem:

— Och Boże — dlaczego pan mię tak męczy?

Przez chwilę słyszałam tylko łomot pulsów w skroniach. A później głos jego — tuż nad ustami:

— Pani mnie kocha —

I te słowa jego odkryły mi nagle prawdę prostą i oczywistą, której jednak dotąd nawet nie podejrzewałam. — Tak — to właśnie jest miłość. Że też ja dotąd nie domyśliłam się tego — —

Pozwoliłam mu całować usta i dłonią atłasową gładzić mię po karku. Drżałam i wiłam mu się w rękach — napół przytomna z rozkoszy i lęku.

Odkrycie, uczynione przez Zienowicza, wydaje mi się wprost genjalne w swej oczywistości i prostocie.

Kochałam Zienowicza już dawno — od chwili, gdy Sępowski pokazał mi go na koncercie. Ten śliczny człowiek uczynił na mnie największe wrażenie ze wszystkich mężczyzn, jakich dotąd spotkałam. A nie przyszło mi na myśl, że to jest miłość — ponieważ do dnia wczorajszego jeszcze zupełnie inaczej ją sobie wyobrażałam. W tej sferze drzemały we mnie jeszcze wszystkie najwcześniejsze sny dzieciństwa. Marzyłam o namiętności, co chodzi krawędzią przepaści i oczami ekstatycznemi patrzy w trójkątne oko tajemnicy. I czekałam na miłość taką, nie widząc ślicznego szczęścia tuż koło siebie, nie czując, że ociera się o mnie delikatną pieszczotą zwierzęcia, dyskretnie przypominającego o swojej obecności.

Piękne jest szczęście moje — i ma jasny uśmiech bóstw helleńskich na wargach.

Siedziałam skulona i nędzna obok żelaznego łóżka, na którem leżał człowiek. W powietrzu unosiła się woń obca, potworna, jadowita woń śmierci. W wibrujących przed mym wzrokiem zmęczonym deseniach mroku bieliła się twarz chuda z czarnemi jamami oczu zamkniętych, podobna do fantastycznych rzeźb średniowiecznych, z tragicznie wygiętą linją ust, ze stygmatem śmiertelnego udręczenia.

Było dawno po północy. Budził się już po raz trzeci. Z powracającą przytomnością w jamach ocznych zakołysały się niespokojnie jasne, szklące się źrenice.

Zaraz pochyliłam się nad nim. Poczułam żar, bijący od tego przesyconego bolesnością ciała.

— Jestem, jestem — rzekłam prędko, cicho i delikatnie, by ani przez chwilę nie myślał, że jest sam. — Jestem i nie śpię wcale.

Nad głęboko leżącemi w jamach gałkami ocznemi powoli zesunęły się cienkie powieki, zostawiając dwa wąskie paski świadomości na martwej szarości twarzy. Gładziłam go po suchej ręce, by czuł, że jestem naprawdę.

Lampa, stojąca na ziemi, tuż za łóżkiem, rozmieszczała po ścianach i niskim suficie dziwaczne

cienie, sztywne i niezmienne. Tylna krawędź łóżka rozbijała tę norę na dwie części, jedną pogrążoną w ciemności, drugą oblaną od dołu światłem żółtawem. Z pod łóżka drewnianego, na którem leżał chory, szło światło jaskrawe od kontrastów i falą opływało me stopy z brzegiem sukni, prawie do kolan. Z uwagą patrzyłam na mój błyszczący, wąski, wydłużony trzewik, oparty leniwie obcasem o brudną w świetle podłogę z niemalowanych, pozadzieranych desek, gęsto usypaną rozmaitemi śmieciami.

Główny motyw, który kierował Janem przy wyznaczeniu mi prawie na sam początek tego właśnie zajęcia, był — jak sądzę — natury pedagogicznej. Rozmyślałam o tem, przypominając sobie wszystko, co opowiadał mi o tym człowieku, w wieczór poprzedzający ową noc. Byłam teraz sam na sam z bohaterem, przeciwstawiałam swą nędzę ozdobną jego tragicznej, złamanej mocy. Rozważałam różnicę dziwaczną i potworną, która kładła między mną i nim całą przepaść niezrozumienia, podziwu, prawie trwogi. Usiłowałam wyobrazić sobie, jako rzeczywistość, fakt straszny. że ten człowiek, na którego patrzę tak zbliska, życie swe — równie jedyne i niepowrócone, jak moje — przepędzał w tym ciemnym, smutnym, ohydnym pokoju, że chodził zawsze po tej brudnej, chropowatej podłodze i spał w tem samem łóżku, że o te ściany wstrętne i zaklęsły sufit obijały się jego wolne, cudne, nieskończone myśli. Usiłowałam zrozumieć, że to, co dla mnie było smutną przygodą, osłodzoną aktem czynionej ulgi, jedną godziną tragiczną w dłu-

giem, jasnem życiu,— to samo dla tego wielkiego człowieka było codziennemi, fatalnie koniecznemi warunkami istnienia. I ogarniało mię zdziwienie dziecinne tych ludzi, którzy wiedzieli już dawno, ale zobaczyli jako rzeczywistość konkretną — pierwszy raz. I przerażenie: że takie życie także kończy się śmiercią i może w niem nie być nic, nic — poza smutkiem, męką i pragnieniem — nic — aż do śmierci.

W ciszy rozbrzmiał nagle krzyk ostry, chrapliwy. Chory skręcił się na łóżku, jakby chciał dostać nóg swych i zerwać opasujące je bandaże.

— Boli, boli! — krzyczał, jakby bardziej z przerażenia niż z bólu. — Boli — psiakrew! Och!

— Przestanie — nie powinno boleć — szeptałam, łagodnie przytrzymując go za ręce. — Nie można — moi drodzy — —

— Boli — co za męka! Jaka straszna ta noc! Wiem przecież, co mię jutro czeka — —

— Może nie będzie potrzeba, może nie będzie potrzeba — mówiłam, sama drżąc ze strachu.

Opanował się jednem wytężeniem woli, zamilkł, brwi zmarszczył i ponuremi oczami patrzył nieruchomo wgórę. Miałam wrażenie, że idzie do mnie odeń prąd zimnej niechęci. Wyraźne było, że krępował się właśnie moją obecnością — po wykrzywieniu ust i brwiach zmarszczonych widać było, że ból nie ustał jeszcze, ból złowrogi, który miał wpłynąć na okrutną decyzję lekarzy.

Pod wpływem tego spostrzeżenia poczułam się nagle winna.

— Przeszło – prawda? — spytałam niemal z pokorą.

Prawie niedostrzegalnie skinął głową, nie odrywając spojrzenia od sufitu. Po chwili odezwał się niespodzianie, cedząc wyrazy z ironją, pomimo osłabienia:

— Wam pewnie, towarzyszko, przyjemność sprawia spełnianie uczynku chrześcijańskiego. Taka ekspjacja musi smakować — gdy się jest przesyconą radościami życia — —

Nic nie odpowiedziałam. Po chwili mówił znowu:

— Całe życie nędzy, trosk, ponurości i smutku. Poto tylko, by zrównoważyć w przestrzeni radość i rozkosze waszych dni i nocy. Wszystkie bramy życia zamknięte. Niema pieniędzy na sztukę, ani czasu na literaturę, nie wolno marzyć. O teatrze wie się ze sprawozdań dziennikarskich, o muzyce z katarynek. A później zarzucacie społecznikom, że niepotrzebna im jest sztuka, że nie mają zmysłu piękna. Bo walczą o to, by sztuka, nauka i życie samo dostępne się stało dla wszystkich — wtedy, gdy wy słuchacie koncertów, bywacie w salonach sztuki lub teatrach. Walczą poto, by później tak, jak ja — —

Znów skręcił się na łóżku. Spróbowałam przytrzymać go za ręce, poprawić poduszkę.

— Nie można, nie można się ruszać — rzekłam mężnie, opanowując tchórzostwo.

Usłuchał. Położył się spokojnie, ale rzucił na mnie parę posępnych spojrzeń.

— Bawi was ta rola — prawda? — zaczął znów. — Pokonywać w sobie wstręt i niesmak w imię modnej idei — to tak efektownie... Później można już nie czuć żadnych wyrzutów sumienia. — A przytem interesujące jest też poznać i takie strony życia.

Poważnie i spokojnie powiedziałam:

— Jeżeli to, co mówicie, słuszne jest w stosunku do pierwszego motywu, jaki mię pomiędzy was sprowadził, to jednak już w obecnej chwili niesprawiedliwe są wasze zarzuty. Nie łatwe współczucie jest we mnie, ale rzeczywiste zrozumienie krzywdy i bólu.

Zaprzeczył mi z uporem fanatyka.

— Nie można pojąć krzywdy, jeżeli się jej samemu nie doznało.

— Można — jeżeli się samemu krzywdziło. — — Nie powinniście odtrącać tych, co szczerze do was przychodzą —

Popatrzył na mnie łagodniej.

— To nie zaczynajcie od aktów miłosierdzia — powiedział. — Nie tkliwości potrzeba tu, lecz twardości, buntu, nienawiści. Idźcie do fabryk, na przedmieścia, gdzie każdy kamień bruku krwią jest polany gdzie w zaułkach, w najstraszliwszych norach cuchnie nędza, zbrodnia, rozpacz. Poznajcie takie życie, popatrzcie oko w oko tej krzywdzie — a dotychczasowe formy waszego życia wydadzą wam się potworne, dzikie, godne zatraty. Powinniście znienawidzieć radość, piękno, przepych. Urągowiskiem powinien wam się wydać blask dnia i święto wiosny — —

Słów tych słuchałam ze smutkiem, trwogą i zniechęceniem, jak poganie klasyczni musieli słuchać fanatycznych nauk pierwszych mnichów i ascetów. Żal mi się zrobiło mego wolnego, niezależnego, helleńskiego świata.

Z bladą, złowrogą szarością rana przychodziła reakcja. Chory nie mówił już nic, tylko jęczał półgłosem. Stawał się bardziej przytomny, chłodniejszy.

Gdy stało się już jasno, przyszła Julka. W sieni powiedziała mi cicho:

— Wszystko już urządzone. Można go będzie o dziesiątej przewieźć do szpitala.

Serce skurczyło mi się nagle.

— Więc już na pewno?

— Ach, naturalnie, niema nawet mowy, żeby się dało uniknąć. Odrazu powiedział przecież, że trzeba amputować obie.

Gdyśmy weszły do pokoju, chory leżał cicho w jakiemś dziwnem, głębokiem zamyśleniu. Widocznie nie cierpiał już tak bardzo. Patrzyłam nań zupełnie innemi oczami. Nie chciałam jeszcze odejść. Usiadłam na dawnem miejscu, a Julka naprzeciwko — w głębokiem milczeniu.

Chory miał spojrzenie utkwione nieruchomo w suficie, jakby z natężoną uwagą. Po długiej chwili zwrócił na mnie swe zmęczone źrenice — i znowu patrzył — nieruchomo, dręcząco.

Zdawało mi się, że nie wytrzymam ani chwili dłużej. Zimny dreszcz przechodził mi wzdłuż ramion i grzbietu.

— Możebyście starali się zasnąć jeszcze — szepnęłam.

— Nie mogę — odrzekł cicho.

Nagle na jego ustach smutnych zadrżał uśmiech dziwnej jasności. Wyciągnął do mnie swą chudą rękę i powiedział.

— Dziękuję —

A potem jeszcze:

— Przepraszam was bardzo... Ale tak się męczyłem...

Popatrzył na nadchodzący dzień. Potem zamknął oczy i leżał cicho z ręką w mojej ręce. A moja ptasia dusza drżała ze zdumienia i skruchy, gdy światło niewidzialnego słońca padało na skronie żółte, siwe włosy i twarz męczeńską, podobną do maski pośmiertnej.

Po dokonanej operacji wracałyśmy ze szpitala we dwie z Julką. Był wicher szalony. Z ciemnego nieba padał drobny, ostry śnieg. Mróz przenikał przez ubranie. Byłam skostniała, wyczerpana i bezgranicznie smutna.

— Teresa wczoraj wyjechała — rzekła Julka.

— Tak? — zapytałam obojętnie, odwracając głowę, by nie mogła wyczytać nic z mej twarzy.

— Przez te ostatnie tygodnie pracowała dwa razy więcej, niż zwykle, a teraz nagle rzuciła wszystko i wyjechała na cały rok — gdzieś na wieś daleko, do rodziny...

Przygniatał mię smutek beznadziejny. Każde jej słowo drapało mię po sercu.

— Dla nas — to szkoda niepowetowana — dodała jeszcze.

Odpowiedziałam cicho:

— Ponieważ stało się to z mojej winy, będę się starała wam ją zastąpić —

— Nigdy nie potrafisz —

— Czemu?

— By to robić, co Teresa, trzeba zapomnieć o wszystkiem innem —

— Nie — nie — ja sądzę, że można te rzeczy pogodzić. Przecież ona — pozatem — kochała...

— Ach, tak — ale zupełnie inaczej, zupełnie inaczej — — To była miłość, pełna wyrzeczeń i ofiary... Boże, Boże, jakie to straszne, co się stało — —

— Wiem, że straszne — i żałuję...

— To nie twoja wina, Alu, nie, to moja własna wina. Nie powinnam była tam cię prowadzić. Ale taka byłam pewna... Ty nie masz pojęcia, Alu, jak oni się bardzo kochali —

Popatrzyłam na nią rozszerzonemi oczami, przygryzając wargi. Nagle — nie przestając iść — zakryłam twarz mufką i rozpłakałam się na ulicy.

Julka przelękła się.

— Co ty robisz, dziecko? Przestań, przestań. —

Zaprowadziła mię do pierwszej bramy i w półmroku ocierała mi oczy.

— Taka jestem zdenerwowana, niewyspana — tłumaczyłam się bezsilnie.

— Nie płacz, no, nie płacz już... Widzisz, dziecino droga, takie życie nie dla ciebie. Za delikatna jesteś na to... Ledwie zaczęłaś — i już nie masz siły. Te rzeczy nie są piękne i wytworne, to jest proza, brutalność, ból, smutek, nato trzeba się wyrzec wszystkiego dla siebie, wszystkiego, co jasne, artystyczne, subtelne... A tyś tem tylko żyła dotąd i nie będziesz w stanie się zmienić. I zawsze szarpać się będziesz między temi dwoma światami — i nie pogodzisz ich nigdy, nigdy — —

Odwiozła mię do domu i serdecznie uścisnęła na pożegnanie.

Zadzwoniłam i powoli, ciężko wchodziłam na schody. Nie płakałam już — myślałam o tej strasznej nocy ostatniej, o krzykach bólu, które słyszałam na korytarzu szpitalnym, o Janie, którego Teresa kochała miłością, pełną wyrzeczeń i ofiary...

W otwartych drzwiach mego mieszkania ujrzałam Zienowicza. Zbiegł z paru stopni, by pomóc mi wejść.

— Co to jest, pani Alu, co to znaczy? — pytał. — Czekam od dwóch godzin i umieram z niepokoju. Podobno nie było pani przez całą noc... Co pani robi? Teraz, kiedy niebezpiecznie jest wprost chodzić po ulicy... Jak pani wygląda — — ?

Przechodząc przez przedpokój, spojrzałam w lustro, byłam blada, jak widmo, nieuczesana, miałam powieki czerwone od bezsenności i płaczu.

— Pani Alu, niechże mi pani powie wszystko.

Trzymał mię za obie ręce. Znalazłszy się nakoniec u siebie, tylko z nim, uczułam spokój i cichą radość. Byłam tylko zmęczona bezgranicznie.

— Nie zrobiłam nic złego, niech pan się nie gniewa. Trochę tylko wyszłam ze stylu — —

— Tak? — to bardzo źle — rzekł niemal surowo.

Przypomniałam sobie słowa Julki, że tych dwóch światów nigdy nie pogodzę.

— Proszę, niechaj pan tak nie mówi — powiedziałam łagodnie. — Pani Obojańska powiedziała raz,

że styl to jest wszystko, co posiadam — ale to przecież nieprawda. Zresztą później wszystko panu opowiem — teraz nie jestem w stanie mówić rozsądnie, tak strasznie chce mi się spać.

Spróbowałam się uśmiechnąć.

— Niechaj pan przyjdzie wieczorem, a tymczasem — do widzenia.

Chciał mię przytulić i pocałować na pożegnanie, ale usunęłam się szybko. Musiałam za wszelkę cenę zostać sama.

Zienowicz malował ironicznie smutne losy literatury epok rewolucyjnych.

— I u nas będzie tak samo. Panowie jesteście tacy bezwzględni — z łaskawą żartobliwością zwrócił się do Jana. — Wyobrażam sobie już utwory tego typu. Powieść pod tytułem: *„Ośmiogodzinny dzień roboczy“*, sonet z odnośnikami w rodzaju: „Patrz *Kapitał* Marksa, tom I i t. d.“...

Jan śmiał się, jakby nie dostrzegając zaczepki. Na jego fanatycznej twarzy uśmiech wygląda tak, jakby sam swoją obecnością był zdziwiony.

— Wszystko, co dała lub nawet dać mogła rewolucja francuska, nie okupuje tej zbrodni, której dopuściła się względem poezji, zabijając Chéniera. —

Comme un dernier rayon, comme un dernier
[zéphyre
Anime la fin d'un beau jour,
Au pied de l'échafaud j'essaye encore ma lyre —

— Zna pani ten jego cudny śpiew łabędzi? — zwrócił się ku mnie.

Skinęłam głową, poddając się nieodpartemu urokowi jego kunsztownie modulowanego głosu.

— Bezwątpienia, ogromna szkoda kulturalna — odezwał się nagle Jan. — Niech pan jednak zważy, że zmarnowanie się talentu jest w tym razie tylko błędem przypadkowym samej taktyki idei wolnościowej, a w warunkach obecnego ustroju, z którym idea ta walczy, marnowanie się talentów jest zjawiskiem systematycznem, normalnem. Cały szereg nazwisk ludzi, znanych w historji sztuki i literatury, którzy z powodu nędzy, niemożności kształcenia się — — —

Jan mówił na ten temat pewną chwilę — jak zwykle jasno, logicznie i nadzwyczaj płynnie. Zienowicz, który nie lubi ścisłych roztrząsań, bo go nudzą, a przytem jest mało oczytany w sferze nauk socjalnych, nie podjął zupełnie idei i argumentów, rozwiniętych przez Jana, i gdy ten skończył swą przemowę, odezwał się żartobliwie:

— Nie dodał pan jeszcze tylko w konkluzji: niech żyje socjalizm! Jak to jednak zaraz znać trybuna... Mówi pan, jakby pan miał przed sobą tłum robotników, których koniecznie należy przekonać o tem naprzykład, że członkowie wszystkich przeciwnych partji są łotrami.

Jan zatrzymał się przed nim i ze swym zwykłym, łagodnym wyrazem twarzy powiedział:

— Myli się pan najzupełniej. Do robotników mówi się inaczej. Oni mają mianowicie pewne elementarne pojęcia z socjologji — choćby z broszur — i te rzeczy można z nimi traktować swobodnie. Mówiąc zaś do pana, musiałem wciąż mieć na uwadze to, że pan jest — artystą...

Zienowicz — zaskoczony tą napaścią — nic narazie nie odpowiedział. I dla mnie również złośliwość Jana — zwłaszcza przy pogodzie jego spojrzenia — była zupełną niespodzianką.

— Rzeczywiście — robotnicy — odezwałam się prędko i nie wiedziałam, jak skończyć.

Zienowicz pomilczał chwilę, spokojnie popatrzył na Jana — i zaczął mówić poważnie swym melodyjnym, przyciszonym głosem:

— Mówię nie dlatego, że padło w ofierze jedno życie. Nie ulega wątpliwości, że ginie wciąż wielu ludzi, nieraz cennych bardzo. Ale wogóle przeraża mię — jako artystę — wasz ideał socjalny. Dacie wszystkim jednakie i równe warunki rozwoju, nie pozwolicie zmarnować się żadnemu talentowi, uczynicie mu życie łatwem i pogodnem. A przecież prawdziwy artysta jest dzieckiem bólu, walki i wyrzeczeń, przecież bodźcem twórczości są pragnienia niezaspokojone, żądze zdławione, zatamowane wszystkie prądy życia. W waszym przyszłym koszarowym ustroju artyści staną się sytymi producentami doskonałych rymów, konsekwentnego obrazowania, pozbawionymi goryczy i niezadowolenia, tęsknot i marzeń nieziszczonych, dobrze wykwalifikowanymi rzemieślnikami...

Jan spoważniał także, ale nie odpowiadał nic.

— Co pan mówi — odezwałam się, gdy zamilkł Zienowicz. — Czyż zaspokojenie zwykłych potrzeb życiowych może już dać duszy poetycznej zadowolenie zupełne? Tęsknota i pragnienie artysty przedmiot znajdą, póki istnieć będzie ludzkość, póki nie zostanie

zdarta ostatnia z niezliczonych zasłon wiecznej tajemnicy — —

Zienowicz popatrzył na mnie przeciągle, ze zdziwieniem. Niedługo potem pożegnał nas i odszedł. Był widocznie bardzo niezadowolony, że stanęłam po stronie Jana.

O godzinie dziesiątej wieczorem otrzymałam ślicznie pachnący bilet: „Niechaj Pani przyjdzie do mnie dzisiaj. Jestem sama przez cały wieczór. Myślę, że Pani wysłucha mojej prośby, i czekam. J. Obojańska". Potem jeszcze dopisane: „Nudzę się strasznie, a Pani taka miła".

Od owego wieczoru, który dla niej urządziłąm, nie widziałam jej ani razu. Nie znałam też rezultatu jej rozmowy z Rosławskim, gdyż oczywiście nie zapytałam jej o to wówczas. Kuzyn mój natomiast odwiedził mię jeszcze parokrotnie; raz nawet dyskretnie naprowadziłam rozmowę na Obojańską, ale nie dowiedziałam się niczego. Zgodził się ze mną, że jest to niewątpliwie ciekawa kobieta, a przytem zdaje się, zdolna przyrodniczka. Z tego nie mogłam wywnioskować, czy możliwa jest inkarnacja mitu Obojańskiej.

Gdy przyszłam do niej, była w swoim gabinecie, bardziej nieco kobiecym, niż reszta mieszkania, i mniej zawalonym księgami. Siedziała przy biurku i przerzucała papiery.

— Jaka pani dobra, że pani przyszła — rzekła obojętnie, bez uśmiechu. — Mąż wróci późno. —

Była w złym humorze, ale starała się być uprzejma. Czaiła się w niej ta sama burza, co wtedy, gdy przyszła do mnie.

Nie zapytałam o nic. Spokojnie siadłam w wysokim fotelu, krytym jasno-bronzową skórą. W gabinecie paliły się tylko dwie świece przy stojącem tu, nie wiem poco, pianinie.

Obojańska zaczęła przechadzać się wpoprzek pokoju.

— Mówiłam już pani, zdaje się, że historja mego życia była jednym szeregiem smutnych zwycięstw. To jest — były i wesołe, ale przeważnie smutne. Istniała w tem pewna konieczność nawet. — To, co było we mnie silne i chmurne, zwycięstwo odnosiło zawsze nad tem, co było we mnie młode, trwożne, spragnione słońca. Osobiście miałam nieszlachetny zwyczaj stawania po stronie silniejszego i gorszego. Ale zato z pychą takiego zwycięstwa mieszał się zawsze smutek bezgraniczny wszystkich wyrzeczeń i przezwyciężeń. — Tym razem znowu chcę odnieść takie przesmutne zwycięstwo...

Przyciszonym głosem dodała:

— Jutro miałam odjechać stąd na zawsze — daleko na zachód — z Rosławskim...

— I nie pojedzie pani?

— Nie — —

— Temu — pomimo wszystko — dziwię się — rzekłam. — Sądziłam, że pani właśnie dość jest silna, by się na drodze do szczęścia nie uląc krzyku tłumu

i kilku łez szlachetnego starca. Wyznam nawet, że to właśnie podziwiałam i trochę — czciłam w pani.

Ona się rozśmiała

— Pani myśli, że to dlatego? Ach Boże... Pani Alu... Jak pani zupełnie nie rozumie... Ten wzgląd nie przeszedł mi nawet przez myśl... Czemże jest jakiś szmer cichy wobec tej nieskończoności słonecznej, jaką byłoby ziszczenie największego mego snu — ?

— Więc?

Spoważniała bardzo.

— Ziszczenie największego snu, wcielenie jedynego mitu, stanie się wiary całego życia... Rozumie pani, jaka w tem straszna groza? Bo wszystko, co dotąd przeżyłam, było parodją i humbugiem, — a to jedno wielkim, bezgranicznym patosem. Całe życie chroniłam to, całe życie bałam się czynu i gestu, by nie za wcześnie, by nie rozzłościć przeznaczenia... Raz w życiu — wtedy u pani ostatni raz — była taka długa chwila, że patrzyliśmy sobie w same dna naszych oczu, by raz wreszcie ujrzeć swoje dusze. Była taka długa chwila, kiedy byłam na samem dnie bezedni szczęścia. Zaczynałam czytać ten wyrok — na śmierć i życie — w oczach jego. I w tym najszczęśliwszym momencie przejęła mię taka obłąkana trwoga, że odwróciłam oczy — przed samym progiem prawdy. Zlękłam się wówczas — *stania się*. Zrozumiałam, że stanie się *tego* — może być kresem życia — ponieważ nie mogłabym już żyć bez mego snu. Wszystkie sny życia mego były smutne, ale

najsmutniejsze były sny ziszczone. — Ach — ten sen ostatni to nie był sen o szczęściu — kłamałam przecież. To był sen o czemś tak ogromnem, że zamykał w sobie szczęście i nieszczęście — i wznosił się nad niemi, jak morze nieskończone nad małemi muszlami dna. To nie był sen o słońcu. Słońce i noc zawierały się w moim śnie. Ani sen o dobru, ani o pięknie... — I oto przez oczy jego miłosne ujrzałam nakoniec ten kraj — tę nieskończoność i ogrom mego snu, ten półmrok świetlisty bez gwiazd i bez słońca, ten patos najwyższy i egzaltację, która cały ogień zabrała memu sercu, to ***wszystko*** — ziszczone. Rozumie pani? — ***to ziszczone, dzięki snowi o czem możliwością było jeszcze moje życie.*** — I uczułam trwogę obłąkaną i wiem teraz dlaczego...

Zbliżyła się i nachyliła ku mnie. W oczach jej tętniał strach...

— Pani Alu — a gdyby i to jedyne, to ostatnie, o czem sen — — Gdyby i to — ziszczone — meteor — blask — lot — dziw — — Boże! Gdyby i to także okazało się tylko humbugiem — ?

Milczałam.

— Sen jest świętością. Nie wolno oddawać go — nawet za ziszczenie —

Nagle uśmiechnęła się.

— Odniosłam ostatnie smutne zwycięstwo: nie pojadę... Teraz zaś — —

Wyjęła z biurka mały, czarny rewolwer i przyłożyła lufę do serca, patrząc mi w oczy.

— „Uczcie się umierać wporę“ — zadeklamowała.

Wstałam.

— Niech pani przestanie żartować w ten sposób — rzekłam zimno — bo wyjdę natychmiast.

Z jej oczu buchnęły płomienie gniewu.

— Jeżeli pani krok zrobi, w łeb pani strzelę! — krzyknęła, faktycznie we mnie celując.

Podeszła szybko do drzwi i klucz przekręciła w zamku.

Stałam w miejscu, chociaż niebardzo się bałam. Było mi tylko nadwyraz obrzydliwie.

— Wiem — wiem — pani się te żarty wydają bardzo niesmaczne. Pani nigdyby tak głupio nie wyszła ze stylu. I ma pani rację. Przepraszam panią — rzekła bardziej miękko.

Schowała rewolwer do szuflady.

— To głupie, głupie okropnie, co ja wyprawiam — rzekła. — No, niech się pani już nie dąsa — dobrze? Naprawdę — zdenerwowana jestem. Niech pani będzie dobra, niech mi pani gra.

Zbliżyła się do mnie i za rękę pociągnęła do pianina.

— Niech pani gra — nie, nie Wagnera. To zwykle Rosławski... Niech mi pani zagra Griega. — „*Der Frühling*" — zna pani? Grała mi to kiedyś — kiedy byłam taka młoda — przyjaciółka moja, która potem dostała obłędu — nie znaczy to, bym pani życzyła takiego losu. Dostała obłędu, ponieważ jej mąż mię pokochał. Same humbugi były w mojem życiu. Niech pani gra — ja przez ten czas muszę coś napisać.

Zaczęłam grać, ona zaś usiadła poza memi plecami i pisała. Byłam na nią nieco rozżalona za całą tę wysoce niesmaczną i denerwującą scenę. Mimo to zamiast rzeczywiście pożegnać ją i odjechać do domu, usłuchałam i grałam, co chciała. Przyznawałam, że ma nade mną wpływ jakiś, że opanowała mię swą dziką naturą, że imponuje mi nurtem swym i bolesnością, że imponuje mi najbardziej tym fanatycznym kultem dla swego mitu. I wstyd mi się zrobiło mej miłości, że jest tak bardzo inna — —

Grałam cicho i smutnie. Długo.

Nagle usłyszałam trzy uderzenia w drzwi.

I zaraz potem straszny, rozbijający głowę huk — tuż za sobą.

Mignęły mi w powietrzu rozkrzyżowane ręce w czarnych rękawach, jak skrzydła. I krzyk dziki bólu i lęku.

Leżała na samym brzegu sofy i biła rękami z niepojętym skowytem. Klęczałam przy niej i oszalała ze zgrozy usiłowałam rozpiąć ubranie w przekonaniu, że to coś pomoże. Do drzwi dobijano się rozpaczliwie — ale nie rozumiałam tego, zapomniałam, że są zamknięte. Pod stanikiem zobaczyłam na koszuli żywą, ciepłą, prawdziwą ludzką krew. Krzyknęłam, jakbym w tej chwili dopiero zrozumiała — i oczy zamknęłam. Widok jej cudnych, złotawą skórą pokrytych piersi wydał mi się jakąś piekielną profanacją.

Łoskot za drzwiami rósł. Wstałam i otworzyłam. Wszedł blady, jak trup, Obojański i służba.

Przeszła długa chwila zamętu, pośpiesznych usiłowań ratunku. Obojańska leżała z zamkniętemi powiekami i oddychała coraz prędzej.

Potem otworzyła trochę swe przepiękne oczy złote, spojrzała na mnie i na męża i znów zamknęła powieki.

— Jak dziwnie się umiera — rzekła prawie zupełnie cicho.

Wykonała ręką taki ruch, jakby ją chciała podnieść do szyi. Ale nie podniosła.

W tej chwili prędko wszedł doktór. Obejrzał i zbadał ranę. Spojrzał na nas.

— Niema najmniejszego niebezpieczeństwa — rzekł. — Niech państwo będą spokojni. Rana jest zupełnie powierzchowna.

Obojański prędko wyszedł z pokoju — i zaraz za drzwiami zaniósł się dziwacznym, rodzierającym płaczem.

Wracając do domu, nie mogłam się opędzić plugawej myśli, że Obojańska musiała przecież być dobrze poinformowana, gdzie mianowicie u człowieka znajduje się serce.

Przez te parę dni ostatnich nie przyjmowałam zupełnie Zienowicza. Godziny wolne spędzam samotnie w domu na rozmyślaniach, których sama nie rozumiem. Długiemi wieczorami pracowicie i bezskutecznie poszukuję formuł dla nieskończonego świata rzeczy bezimiennych. Gubię się w konstatowaniu niezliczonych przemian i przetworzeń, zachodzących we mnie. Czasami układam w myśli powieść klasyczną, konsekwentną, w której życie moje przybiera zupełnie inne kształty; po smutnych, zasypanych śniegiem alejach wiejskiego ogrodu chodzi tam Teresa — i myśli o mnie; Obojańska patrzy w nieskończoność sowiemi oczami; Jan słucha cierpliwie i inteligentnie mych obszernych, logicznie argumentowanych wyjaśnień, czemu go nie kocham, pomimo, iż wydaje mi się najmilszym człowiekiem na ziemi (postanawiam nawet w rzeczywistości zakomunikować mu te wywody); Rosławski raz wreszcie — szczegółowo i jasno — wyjawia mi, co myśli o Obojańskiej i czy ją kocha; Zienowicz kategorycznie stawia mi ultimatum i każe wybrać — „tych tam“ lub siebie, przyczem usiłuje zawładnąć mą wolą, grając mi na nerwach z wprawą hypnotyzera, co nawet w powieści — robi na mnie

dość określone wrażenie; Julka jeździ na Rosynancie i z chrystjanicznym wyrazem szafirowych oczu jak najczarniejszą wyraża opinję o przyszłości, w czem Jan nie zgadza się z nią zupełnie. — Wszystkie te sprawy napróżno szukają rozwiązania i toną w oceanie rzeczy bezimiennych.

Tej kategorji zajęcia przerwał mi dziś przyjściem swym Zienowicz. Oddał przez służącą jakieś dziwaczne kwiaty i dzięki temu kazałam go prosić.

Przywitał mię bez słowa wyrzutu. Miał tęskny wyraz twarzy i mówił o pięknie. Słuchałam go długo w milczeniu, myśląc o czem innem. W głosie jego wyczuwałam sztuczność, nie byłam w stanie wierzyć w jego gorące zapewnienia miłości, ani reagować odpowiednio na kunsztowne formułowanie uwielbień dla mojej osoby. W duszy mej dokonywały się przełomy, które staną się wyraźne dopiero znacznie później. Nie umiałam znaleźć siebie w chaosie tych zdarzeń niezrozumiałych, które zaszły w tym czasie i powykręcały jak najfantastyczniej wszystkie klasyczne drogi moich myśli. Błąkałam się, senna od zadumania, po krainach mej duszy, obserwując ze skupieniem nieoczekiwane dewjacje zwykłych linij moich rozumowań. Rozpoczynałam już szereg grożących mi, nieuniknionych pożegnań —

— Nie wierzę, nie wierzę, nie wierzę — powiedziałam.

— Dlaczego dzisiaj właśnie? Dotąd pani wierzyła —

— Nie chcę takiej miłości, tylko takiej, w której jest wyrzeczenie i ofiara —

Zienowicz uśmiechnął się.

— Jest pani dziś kapryśna, jak Andromeda — i równie śliczna...

Surowo zmarszczyłam brwi.

— Będę się starał być dobrym, jak potwór — dodał prędko. — Proszę powiedzieć, jakiej pani żąda ofiary...

Milczałam, namyślając się. On pochylił się ku mnie.

— Moja miłość dla pani jest sama przez się ofiarą, pani Alu, ofiarą z mojej samotności i dumy — mówił z drżeniem. — Dotąd nie kochałem żadnej kobiety — i nie wierzyłem w miłość. Zależność od pani uczyniła mię niewolnikiem tego uczucia, nad którem zawsze tylko panować umiałem.

— Wiem już — przerwałam, nie słysząc jego słów. — Niechaj pan się stanie takim, jak Jan, jak Książę, Julka — wtedy będę pana kochała...

— Co? — co? — — wtedy?

— Wtedy — będę pana kochała. Bo mogę kochać tylko kogoś, kto mię porywa szlachetnością i wielkością, kto ma w sobie bohaterstwo i wspaniałość. A te wszystkie rzeczy — to nie jest miłość. Chcę ekstazy, zachwytu, prawdziwego ogromnego kochania — nie tego...

Zupełnie cicho — z hamowanego oburzenia — zapytał:

— To pani — naprawdę? — Mnie? —

— Tak. Dziś wszystko inne jest obrzydliwe i śmieszne — powiedziałam. — Jeżeli pan się nie zmieni, nie będę pana kochała — Teraz nie kocham — —

Zienowicz patrzył na mnie przez długą chwilę. Opanował się zupełnie i rzekł z uśmiechem:

— Będę się starał oczywiście — wszelkiemi siłami. Tylko nie mogę zaręczyć, czy eksperyment mi się uda...

I jeszcze kiedy mię żegnał, uśmiechał się tak samo.

Po długiem niewidzeniu odwiedziła mię pani Sępowska. Właśnie byłam przeziębiona, leżałam w łóżku z rozpuszczonemi włosami i z pewnym wysiłkiem woli czytałam książkę pod tytułem: *„Osiemnasty Brumaire'a Ludwika Napoleona"*. I w tym stanie rzeczy ją przyjęłam.

— Jakże pani blado wygląda! — rzekła zaraz po przywitaniu.

Zamiast na krzesełku, usiadła na krawędzi łóżka, czego nie lubię.

— Co pani czyta? — spytała, biorąc książkę z kołdry. — Marks? Już to pani nigdy nie zapomni być modną.

Roześmiała się z pomysłu.

Zapytałam ją, czy synek zdrowy i co porabia mąż.

— Musiał zająć się wyłącznie dziennikarstwem, bo teraz literatura nie popłaca zupełnie. Pani sobie nawet nie wyobraża, ale to wszystko, co się dzieje, to są okropne rzeczy. Ci ludzie nie zdają sobie sprawy, do czego kraj doprowadzają. Nam wszystkim grozi poprostu ruina materjalna. Wszędzie takie przygnębienie! Dziś znowu aresztowania —

Wymieniła parę znajomych nazwisk.

— I Zienowicz wyjechał zagranicę... Ale o tem wie pani zapewne?...

Spojrzałam na nią pogodnie, jasnemi oczami, domyślając się, że ciekawa jest efektu, jaki wywrze na mnie ta dzika nowina. Jeszcze zdawało mi się, że jest to żart.

— Nie, nie wiem — odrzekłam. — Kiedy?

— Wczoraj rano. Ale dowiedzieliśmy się o tem dzisiaj dopiero. Zupełnie nie przyszedł się pożegnać...

— I cóż go skłonić mogło do tak nagłej decyzji, nie wie pani? — spytałam z półuśmiechem.

— Podobno ostrzeżono go, by wyjechał z kraju jak najprędzej — odrzekła przyciszonym głosem. — Mieli go już na oku...

Roześmiałam się zupełnie szczerze teraz.

— Ależ on się nie mieszał do niczego, nie mógł na siebie ściągnąć żadnych podejrzeń...

Pani Sępowska rozłożyła ręce.

— To dziwne. Mnie mówiono, że bardzo się narażał. I mąż słyszał o tem w redakcji...

Wydało mi się zabawne, że Zienowicz tak prostym sposobem zdobył sobie u ogółu opinję bohatera.

— Zresztą — być może — powiedziałam, nie chcąc mu psuć tej legendy. — A w jakiem piśmie pracuje teraz mąż pani?

Sępowska wymieniła tytuł najradykalniejszego dziennika.

— Jakto? — spytałam, nie kryjąc zdziwienia. — Wszakże pan Sępowski nie uważał się nigdy za pisarza postępowego —

Ona wymownie wzruszyła ramionami.

— Proszę pani — takie czasy —

Odrzekłam z uprzejmością:

— Tak, tak — rzeczywiście...

Zamilkła na chwilę i zamyślonem wejrzeniem wodziła po mej pościeli.

— Ładny haft — zauważyła. — A pani wie, że Obojańska chora —

— Tak, słyszałam...

— I nie była pani u niej?

Zmieszałam się lekko.

— Nie byłam, rzeczywiście. Z początku miałam dużo zajęcia, teraz sama jestem niezdrowa.

— Powinna ją pani odwiedzić, jak pani tylko wstanie. Wczoraj byłam u niej — i bardzo się dopytywała, jak dawno panią widziałam, co pani mówiła — —

— Jakże ma się teraz?

— O, zdaje się, że zupełnie dobrze. Jest tylko osłabiona, ale wszelkie niebezpieczeństwo wyłączone.

Po dwugodzinnej wizycie pożegnała mię, unosząc uprzejme ukłony dla męża.

Szłam z Janem o wczesnym zmierzchu, ślizgając się po zamarzłem błocie. Szyję miałam dwukrotnie okręconą futrzanem boa i starałam się jak najmniej oddychać mroźnem powietrzem.

Pragnęłam powiedzieć mu coś z tego, co tak obszernie wykładałam mu w mej powieści, — ale nie mogłam wynaleźć odpowiedniego wstępu. Zamiast tego zauważyłam:

— Jak strasznie wygląda miasto. Te puste ulice, sklepy zabite deskami, potłuczone latarnie — —

Jan w zupełności podzielił moją opinję.

Czas jakiś szliśmy w milczeniu i rozstaliśmy się przed bramą domu, w którym mieszkają Obojańscy.

Stąpałam po schodach z pewnem skrępowaniem dla dodania sobie odwagi rozmyślałam o Zienowiczu, który kiedyś tak niesmacznie ubolewał nad nienawiścią socjalistów do latarni.

— Skończyła się moja miłość — skonstatowałam półgłosem i nacisnęłam dzwonek.

— Czy można się widzieć z panią? — zapytałam sędziwego lokaja.

Ten spojrzał na mnie wzrokiem karcącym, jakby przywołując mię do porządku.

— Pani nie żyje — rzekł.

Cofnęłam się w osłupieniu. Widząc, że nie jestem poinformowana, lokaj powiedział jeszcze tonem zwierzenia:

— Pani odebrała sobie życie. Dziś w nocy zażyła truciznę —

Usunął się, czyniąc mi przejście w drzwiach. Ale nie weszłam.

CZĘŚĆ DRUGA

Kiedyś wystarałam się o adres Zienowicza i napisałam do niego:

Nie boję się, że zdziwi Pana ten list mój — po tych rzeczach, które już stały się między nami. Niechaj go Pan zaliczy do kategorji „piękna dziwaczności“, o którem mówiliśmy jednego cichego i zapomnianego wieczoru.

Piszę bowiem przez kaprys tylko, wiedząc już teraz na pewno, że listu przestał Pan oczekiwać oddawna, ciesząc się zgóry sprzecznością między momentem wysłania go przeze mnie i otrzymania — przez Pana.

Teraz już mogę zupełnie żartobliwie sądzić to wszystko, co było przed pół rokiem, gdyż przestało dla mnie posiadać nawet ten skromny i w wysokim stopniu niewyszukany czar, którym zdobi niektóre małoważne zdarzenia zasłona przemijającego czasu.

Pisząc — nie pragnę odnawiać, wskrzeszać czegokolwiek. List mój nie posiada celu, tylko przyczynę — jest rezultatem jakiegoś odruchowego, pozbawionego treści pomyślenia o Panu.

Czasami — napozór bez żadnej zrozumiałej asocjacji — ujrzy się wspomnienie jakiejś alei ogrodowej,

zapadającej w dół i w mrok, alei, po której się chodziło dzieckiem, albo może wogóle nie chodziło się nigdy. Czasami błyśnie jakaś niewyraźna galerja, zawieszona pustemi ramami, w których powinny się znajdować cudowne, naiwne w rysunku i królewskie w barwie i plastyce arcydzieła mistrzów dawnych. Czasami kąt pokoju nieznanego, gdzie przy oknie, odwrócona, zapatrzona w nieskończoną, strasznie smutną perspektywę ulicy, stoi mama, — której przecież nie mogę pamiętać... Czasami pole jakieś, jasne i kwiatów dziwacznych pełne, ograniczone zupełnie nierzeczywistą linją horyzontu — i jednocześnie ogromnie wyraźna melodja, której jednak później wyśpiewać nie można już nigdy — — Tak właśnie w wyobraźni mojej stanął nagle Pan...

Nie dzisiaj. Było to może przed tygodniem.

W życiu mojem dużo się zmieniło, co zresztą przewidzieć Pan mógł — już wtedy.

Otóż — znajdowałam się w sinawym, niepewnym półmroku, w małej grupie ludzi o mądrych czołach i pochyłych wejrzeniach.

Jeden z nich stał zboku, napół odwrócony ode mnie. Widziałam linję szlachetną męskiej czaszki — a poza nim oczy zapatrzone, zasłuchane w jego ekstatyczne słowa. Znałam tego człowieka — i Pan znał go także — i pamiętałam, jak wygląda. Ale w owej chwili nagle zapomniałam. Tylko dziwnie uderzyła mię ta linja czaszki z konchą uszną — i spadek ramienia. I twarz odwrócona, której nie widziałam, wydała mi się twarzą Pana. Z nadzwyczajną

wyrazistością, wzrokiem halucynacji, z bolesnem prawie przeświadczeniem rzeczywistości — ujrzałam twarz Pana, uczułam ją — tam, po drugiej stronie tej czaszki.

Było dziwne i krótko trwało. Przytem bezsensowne zupełnie. Byłam przecież pewna, że Pana tam niema — i nietylko dlatego, że Pan jest daleko, że tamten człowiek był sobą, więc nie mógł być Panem — ale dlatego jeszcze, że Pan nigdy nie zechciałby *tam* się znajdować.

I była chwila — też bezsensowna i też bardzo krótka, że znowu zapragnęłam całą mocą woli, by Pan tam był, by Pan *chciał*.

A z chwilą, gdy ten człowiek konkretny odwrócił się — i spojrzał na mnie innemi, bezdennie smutnemi oczami, uśmiechnęłam się do niego. Nie jest on ani trochę podobny do Pana i nawet nie posiada takiej linji głowy i takich ramion. Ach, jakże bardzo inny jest, niż Pan.

Od tego nieistniejącego zdarzenia minął tydzień — i dotąd jeszcze pozostało mi dziwne, niepokojące trochę wrażenie, jak po dusznym, marzennym śnie... I to wrażenie jest jedyną przyczyną tego listu, za który przepraszam Pana w rezultacie.

Niech Pan pamięta, że nie chcę nic wskrzeszać. Niechaj Pan o tem nie zapomina. Nazbyt daleko jestem teraz od tamtego wszystkiego. A to, co otacza mię zbliska, zasłania mi cały świat.

Pamiętam jeszcze Pana — i wiem, że Pan odpowie — i lękam się bardziej tej odpowiedzi dla siebie, niż mego listu dla Pana. Boję się, żeby Pan nie

zrobił czegoś niedobrego, czegoś, coby mi mój własny postępek kazało uważać za niestosowny.

A może lękam się dlatego tylko, że już nie tak bardzo dobrze Pana pamiętam.

I — zresztą — —

Kłamię wszystko. Kocham Pana w tej chwili tak, jak i w chwili rozstania naszego — i przedtem i zawsze — Tęskniłam za Panem przez całą tę smutną wiosnę i całe smutne lato, przez pół roku, dwa miesiące i dni dwanaście... Jaki czar rzucił Pan na mnie, że dotąd jeszcze — Piszę — i boję się, by się na nowo nie stało to samo — to okropne. Bardzo kocham — i znów chciałabym wszystko dla siebie... Zła jestem — i kapryśna, jak wtedy... I równie ładna...

Nie będę przepisywała i zmieniała nic. Niech Pan odpisze, co Pan chce.

Niech pan pamięta: kocham zawsze.

Ala.

Odpowiedź Zienowicza.

„A jednak — i oto znowu muszę Pani przyznać słuszność — życie naprawdę jest bardzo silne...

Zdawało mi się, że już na zawsze umarłem dla jego smutnych ułud, że już na zawsze odszedłem w nieskończoność cichego i samotnego marzenia — gdy nagle list Pani...

Radość i strach — strach, tak potworny, jak radość...

Ach — i poco Pani to zrobiła?

Piszę do Pani z nad brzegów przepysznie pięknego jeziora, jeziora, które dziwnie przypomina oczy Pani.

A zwie się to jezioro: Garda.

Garda!... Strzeż się!... Jestem ciche, spokojne, lazurowe — gdy patrzysz na mnie zdaleka. Ale strzeż się... W głębiach moich żyją bóstwa tajemnicze, a gniewne, — bóstwa, rozkochane w burzy... Jeśli kochasz spokój marzenia, jeśli czuwać nie umiesz, jeśli wzrok twój wybiega ku nieskończonej dali — strzeż się! Ramienia pewnego, ramienia, z którego

wiosło i ster nie wypadną, czujnego ramienia ci trzeba... Garda!...

A z listu Pani widzę, że wiecznie stoi między nami ten cień... Ten cień, od którego uciekłem aż tu... Hrabia i Pankracy nie złożyli oręża — prawda?... Tylko, że na tarczy mojej, miast znaków herbowych, jaśnieją boskie głowy Feba i Ateny...

W życiu Pani wiele się zmieniło... Przeczuwałem to... I o tego pochylonego pana z nie moją twarzą — najbardziej się bałem...

Trudno mi sądzić, kto z nas dwóch ma słuszność — ale i teraz znowu powtórzyć muszę: bogiem mi Piękno.

A gdzie jest tłum i rynek, tam Piękna niema. Nienawidzę przeto tłumu i rynku.

Zna Pani dobrze to *credo* — lecz czuję się w obowiązku wygłosić je raz jeszcze — by Pani wiedziała wszystko i bym ja nie łudził się po raz wtóry.

Nie chcę już złudzeń — zarówno dla siebie, jak dla Pani. A zresztą — przywykłem już do mego kamiennego sarkofagu.

Chociaż —

Wczoraj, po odebraniu listu Pani, na wywrotnej rybackiej łodzi, z młodym, smukłym, przepięknym Włochem wybrałem się na jezioro. Tak bardzo chciałem sobie przypomnieć oczy Pani...

Pół leżąc, wodziłem spojrzeniem po odbijających się w błękicie wód cytrynowych i oliwnych gajach, po ruinach starych zamków, rozrzuconych po wzgórzach, przypominałem sobie słoneczne strofy

Katulla, który śpiewał kiedyś nad tem jeziorem — i marzyłem o Pani...

Marzyłem — i myślałem, że jeden uśmiech Pani wart jest stokroć więcej, niż cały ten okrutny kult „bezbożnych ołtarzy“. Bo jest Pięknem...

I czemu Pani nie chce się uśmiechać?“

W miesiąc po pierwszym napisałam do Zienowicza drugi list:

Kiedy odzywałam się do Pana po raz pierwszy, miałam wrażenie, że jestem fanatyczną kapłanką jakiejś mrocznej gontyny w skalistych, chłodnych i ciemnych szczytach górskich — i że dla Pana rzucam znicz święty, dla Pana na głowę swą ściągam przekleństwa mego ludu — i przez zawrotne szlaki szczytów skalnych biegnę tam, na południe, do krainy słońca, do królestwa piękna. I zabieram ze sobą kwiaty dziwaczne, obłąkaną fantazją wykarmione w podziemiach życia, tkaniny purpurowe, zdobiące ołtarze mych wierzeń.

A teraz — zdyszana biegiem, chmurna, dzika i nieufna — widzę, że egzotyczne moje kwiaty bledną wobec przepychu pańskich ogrodów i więdną w żarze tamtejszego słońca, że moje purpury monarsze spłowiałe są i nieświeże przy pańskim majestacie, a oczy moje do blasku nie nawykłe, spalone świętym ogniem kultu. I miałam chwilę — ja zawsze pyszna i harda — kiedy wstyd mi było darów moich królewskich — przed Panem.

Tak było w pierwszej chwili, gdym otrzymała list pański. Upokorzył mię ten chłód i spokój niezamącony, z którym Pan przyjął taką wielką, taką wyjątkową ofiarę mojej pychy i dumy. I moje pierwsze odezwanie się — takie zupełnie nieoczekiwane — tak mało Pana zdziwiło jednak...

A pomimo to upokorzenie, odzywam się przecież powtórnie, chociaż po wielu dniach namysłu.

Zrozumiałam bowiem wreszcie motyw pańskiego chłodu i to odkrycie — wyznam szczerze (bo mniej jeszcze niż zalet, wstydzę się wad mych i małostek) — ucieszyło mię jako kobietę.

I jedno jeszcze wyznam szczerze: niesłusznie Pan czynił, lękając się rywalizacji Jana. Och, nie dlatego to piszę, bym usiłowała Pana przekonać, że naprawdę nie kocham tamtego i że wówczas także nie kochałam go wcale. Ale dlatego wyłącznie, by Pan nie przypuszczał, że on jest tem, co się w mych oczach przeciwstawia Panu.

Nie. To, co mię wchłonęło i razem wypełniło sobą całą treść moją, — to nie poryw fanatycznej kobiety, która, jak sądzicie wy, artyści, — jest dziełem mężczyzny kochanego. To cały świat nowy, świat bohaterstwa, nadziei i wielkości, którego dzisiaj nie poświęciłabym już dla nikogo — nie wyłączając Pana. To świat nowej myśli i nowego piękna, w którem najwyższe ideje — miłości i nienawiści — w jednym momencie stapiają się w gromową syntezę, z której rodzi się — Nowy Czyn. A Jan był mi tylko pierwszym przewodnikiem po tej krainie, on pierwszy powiódł mię przed owe „bezbożne ołtarze“, uświęcone przez krew najokrutniejszej objaty — z ludzi.

Ach — nie — Teraz dużo powiem i o nim samym. Po tem, co już wyznałam, niech Pan i tego wysłucha: bo mam dla tego człowieka wszystko, co jest w miłości — oprócz kochania.

Pamiętam w życiu mojem dzień chmurny, pełen triumfalnego śmiechu przez piołunowe łzy. Dnia tego padły między mną i światem pierwsze słowa wyboru, wyboru jednej z niezliczonych dróg życia — jednej nieznanej ze wszystkich nieznanych — drogi najmniejszego oporu — na los szczęścia. I w tym dniu właśnie dowiedziałam się z ust jego — o miłości...

Pan nie rozumie tego... Ten człowiek, który gardził dotąd rozkoszą życia, który po drodze swej deptał wszystkie kwiaty i zbierał ostre kamienie dla budowy nowych gmachów, ten, który od wszystkiego, co nęcące, odwrócił swe entuzjastyczne oczy fanatyka — ten sam klęczał dnia tego u nóg moich i szeptał słowa miękkie i aksamitne, jak kwiaty, — wielki wzgardziciel życia, przeze mnie do życia obudzony — —

A gdy w lat parę później po raz drugi zjawiłam się w jego życiu, niezagasłem wspomnieniem mem zabiłam mu złudzenie miłości, skarb bezcenny i niepłacony. Nigdy nie dawszy mu szczęścia, tym razem odebrałam mu jeszcze jego symbol kryształowy.

I zamiast przekleństwa, błogosławieństwo czytałam w jego oczach, zamiast potępienia — uwielbienie. A wobec piękności tej duszy — ach, jakże blade wydały mi się wówczas pańskie wytworne halucynacje piękna — —

Nie — nie — nieprawda. Niech Pan nie wierzy — i niech Pan się nie gniewa. Bo ja przez te dni wszystkie żyć umiałam pod ciężarem jego przesmutnego spojrzenia. Ja przez te dni wszystkie marzyłam o tem właśnie, by Pan mógł stać się takim, jak on — — Bo Pana kochałam, nie jego...

Och — dobrze przecież pamiętam pańskie wyznanie wiary — i nie łudzę się wcale — — Nie łudzę się, ale wierzę w to, że Pan zrozumie, jak łatwą i niewspaniałomyślną jest ta pogarda tłumu, który jutro cały stanie się zastępem wybranych. Ja wierzę, że Pan zrozumie.

I chcę, żeby Pan tu przyjechał. Tęsknię i proszę. Ja jego przecież nie kocham, niech Pan uwierzy — tylko Pana... Widzi Pan, jak pokornie piszę, chociaż jestem taka dumna...

Chcę, żeby Pan przyjechał — i stał się takim, jak on — — —

List Zienowicza.

„Chłód — mówi Pani — majestat... Ach, gdybym pozwolił sobie na jedną chwilę zaufać kapryśnej i nieobliczalnej naturze Pani, gdybym na chwilę uwierzyć mógł, że to dzikie, niesforne serce wróciło znów do mnie — nie słowa te rzuciłbym do stóp Pani, ale czoło moje, czoło, bijące o ziemię w hołdzie niewolniczym.

Ale cierpiałem zbyt wiele... Ja — ironiczny pan uczucia, patrzący śmiało w zimne oczy Sfinksa, obywatel państwa Nieskończoności, mag i rycerz niezłomny, ja — Hertenstein, grający na ślepej klawjaturze pieśń o Bezczynie i Nieziszczeniu, ja — dla którego wcielenie idei w konkret jest śmiercią idei, ja — gardzący wszystkiem, co nie jest pogardą — dzisiaj za jeden pocałunek tych ust buntowniczych oddałbym Absolut, który kocham nad wszystko, bo zawsze weń mogę nie wierzyć...

Chłód... majestat...

To nie chłód, nie majestat — i nie schlebiająca kobiecej próżności zawiść nawet. To wstręt do tej myśli, że mógłbym być zazdrosny o tych — bohaterów jutra. Jutro... O jakże biedne jest życie, które

patrzy w jutro... O jakże słaby duch, który o nie walczy... Więzienie czasu i przestrzeni stworzone jest dla tych, którzy nie są godni istotnej wolności.

Czem Pani była dla mnie? — —

Surowy duch mej młodości nie znał granic przestrzeni, jak i granic czasu.

Potężnem ramieniem sięgał najwyższej z gwiazd, a bramy najdalszej przyszłości stały mu otworem.

I gdy kiedyś zastał mnie płaczącym na ruinach kościoła, że nie usłyszę już nigdy chórów anielskich, które dziecięciem kołysały mię do cichego snu — rzekł mi:

— Pójdź. Powiodę cię do świątyni Potęgi.

I wstałem — i poszedłem za nim.

Mijaliśmy spustoszone łany wieków, które przyjść mają, mijaliśmy pomniki bohaterów, którzy się jeszcze nie urodzili; tarasami przyszłości pięliśmy się coraz wyżej, aż wreszcie — na olbrzymiem płaskowzgórzu zaszumiał nam przepyszny ogród wiszący.

Potężne pnie drzew cedrowych złociły się w zachodzącem słońcu — a wśród nich strzelały ku górze szeregi kolumn bazaltowych tak wysokich, że szczyty ich ginęły w przepływających obłokach i zdawały się podpierać sklepienie niebios.

Drzewa i minerały tworzyły razem potwornie wielką budowlę, do której wstępowało się po niezmiernie szerokich, do zastygłych fal morskich podobnych tarasach.

Na tarasach po obu stronach wejścia stały na postumentach wyobrażenia dziwnych tworów: zrywały

się do lotu hipogryfy i chimery, drzemały centaury i sfinksy, rozpościerały bajeczne skrzydła feniksy i latające smoki, połyskliwemi łuskami migotały potworne pytony, na zakrzepłej fali wylegiwały się syreny — — i im wyżejśmy szli, tem bogatszą stawała się ta mityczna fauna, tem silniej biły nam serca na widok potwornie wielkich kształtów, wyznaczających nam drogę.

I oto stanęliśmy wreszcie przed dwiema niebotycznemi kolumnami, które wyciągały się ku niebu, jak dwie tytaniczne ręce ziemi.

A gdy oczy moje, jak dwa ptaki zalęknione, pobiegły w głąb świątyni, uderzył mię w pierś — tam, gdzie serce, taki strach, żem upadł na ręce wiodącego mię ducha.

— Czemu się lękasz — rzekł mi cicho demon — jam tu bogiem —

I rzeczywiście — gdym znowu podniósł oczy, ujrzałem w głębi ołtarz, drobny przez oddalenie, jak głaz przydrożny. A na ołtarzu tym, z kamienia wykuty, stał on — mój władca i przewodnik.

Z ramion tryskały mu ku górze dwa nieskończone skrzydła i, załamując się wysoko, nakrywały świątynię całunem czarnych piór — tak, że ani jeden promień słońca nie przenikał do jej wnętrza.

Z boków tylko wnikało do świątyni blade, przez igły cedrów przesiane światło — i napełniało ją matowym, chłodnym połyskiem, w którym ujrzałem cztery olbrzymie, groźne jeziora, przecięte krzyżem z głazów usypanych grobli.

Na przecięciu dróg i na czterech ramionach krzyża szumiały cicho pod sam strop czarny tryskające fontanny — ale nie było w nich uśmiechu tęczy, jeno wielka, matowa bladość smutnej, zadumanej o głębiach mórz perły.

I cisza — — Cisza taka, że stąpania własnych nóg wydały mi się grzmotem podziemnym, a tętna pulsów — hymnem potężnym rozkołysanych przez orkan dzwonów.

Utkwiłem oczy w głąb jeziora. I nagle padła na mnie zaduma tak ciężka, że pod brzemieniem jej zgarbiłem się, jak Atlas pod brzemieniem globu, a na czoło wystąpiły mi węzły żył, tworząc sine, płaskie rogi.

Patrzyłem w chłodne, matowe zwierciadło i we własne moje odbicie — i czułem, jak przepełnia mię mądrość i potęga bogów. I stawałem się coraz większy, coraz silniejszy — i nagle demon Potęgi zniknął z przed mych oczu — z ramion strzeliły mi skrzydła — serce zamarło w piersi — z pod czoła błysnęły dwie zimne, przeszywające mrok klingi — i ujrzałem się bogiem tej świątyni.

Ale taki ból nieznośny targnął mię tejże chwili, taki strach przed samotnością wstrząsnął całem mojem jestestwem — żem krzyknął na cały głos:

— Powietrza! Słońca!...

I od grzmotu mojego wołania zarysowało się sklepienie — a przez uczyniony nagle wyłom rzucił się władnie promień słoneczny.

— Hosanna! Hosanna! — krzyknęły cedry, bazalty i fontanny, w kaskadach wód zabłysły siedmio-

barwne tęcze, jeziora zmieniły się nagle w cztery jutrzniane witraże i jęły kołysać się, chwiać, skakać na brzegi, bryzgać pianą — —

A ze mnie motylem drobnym wyleciała dusza i jęła pląsać po promiennej smudze słońca...

Pani mi była tym promieniem słońca, wdzierającym się do świątyni Potęgi. Ale promień zgasł po chwili, a ja zostałem w mroku, wśród ruin i zgliszczy.

A gdym teraz odbudował wszystko, Pani powraca raz jeszcze burzyć i niszczyć — by za potęgę mojego królewsko-samotnego Ja dać mi w zapłacie słowa: bądź, jak on..." [1]).

---

[1]) Dwa te ujęte w cudzysłów listy Zienowicza są pióra Leona Rygiera.

List mój.

Och — dobrze rozumiem Pana. I nawet lubię czasami słuchać tych bluźnierstw uroczych. Jest we mnie coś, co jeszcze odbrzmiewa bezdźwięcznym tonom pańskiej pieśni milczącej. Czasami wydaje mi się nawet, że to Pan ma słuszność, że może nawet nie kochałabym Pana, gdyby Pan stał się takim, jak marzę, gdyby Pan dla rzeczywistości porzucił ten cudny świat, którego niema.

...Bo przecież Jan jest takim właśnie, jak marzę...

Ale to są drobne zwątpienia i wahania neofitki. Coraz już mniej we mnie z tego, co koronkowym mostem połączyło kiedyś nasze dusze. Dawniej kochałam egzotyczne rośliny, kamienie rzadkie, stare rzeźby, naczynia drogocennej roboty, perspektywy kolumnad z białego marmuru. Dziś jednak otrząsam się z tej martwej narkozy piękna, bo stanęłam oko w oko z bohaterstwem. Dusza moja ugięła się przed poczuciem tej strasznej mocy podziemnej, która jak ogień wnętrza globu, kłębiła się i potężniała, i płonęła bolesną, krwawą ekstazą pod ciśnieniem stu atmosfer, pod żelaznemi cielskami nieporuszonych od

wieków cokołów granitowych — i dziś nakoniec, zwiastowana głuchym grzmotem podziemnym, poprzedzona łoskotem zrysowanych olbrzymów granitu, jak wtrzęsienie ziemi rzuciła panikę na jasny świat — i słupem ognia, gejzerem krwi buchnęła pod samo niebo.

Dusza moja uklękła przed pięknością takich wulkanów.

Niesprawiedliwa jest pogarda pańska dla tych, co walczą o jutro. Bo wojownicy, nie dla siebie marzący triumfy zwycięstw, również znajdują wyzwolenie z więzienia czasu i przestrzeni — tylko nie przez łatwą myśl abstrakcyjną, lecz przez ofiarną śmierć.

Nawet by pogardzić bytem i niebytem, musi Pan się oprzeć na kryterjach ziemskiej formy bytu, na kryterjach własnego istnienia. A wszystko, co się jeszcze mieścić może w sferze zjawisk i przeciwstawień życia, maleje do zera wobec porywów, wyzywających do gry samą śmierć. Jakże wielki i piękny jest żar, co się nie ugnie przed tym ogromnym, czarnym majestatem.

Gdy myślę o tem, nie rozumiem już wtedy, nie widzę pańskiej potęgi. Słabe, jałowe, dziecinne wydają mi się te górne sny. I widzę Pana stojącym na chwiejnej kolumnie, zbudowanej i podtrzymywanej przez tych, którymi pan pogardza. Wolny, szlachetny duch ludzkości nie rozkocha się w pięknie, uwarunkowanem brzydotą, nie upoi się triumfem, okupionym krzywdą.

Byłam taka, jak Pan, — więc wierzę w możliwość nawrócenia. Więc raz jeszcze powtarzam słowa

przyzwania. Dzisiaj już nie wolno pozostawać bezkarnie tam, gdzie Pan jest. Czerwone zorze dalekie, krwawe łuny odbijać się będą w zwierciadlanej wodzie włoskiego jeziora.

Smutna jestem bardzo, gdy myślę o tem wszystkiem. Serce mi zamarło od widoku męki i ofiary.

Dlatego nie posyłam Panu żadnego dobrego słowa, choćbym nawet miała utracić Pana po raz drugi... Wsłuchuję się w ostatni śpiew mej miłości — i trwoga mię zdejmuje.

Żegnam.

Alicja.

W odpowiedzi na to Zienowicz przysłał mi krótki list, w którym oświadczał, że przyjedzie natychmiast, jeżeli zgodzę się ujrzeć go takim, jakim był przedtem. Dla mnie mógłby „walczyć o Graal Święty, o grób Chrystusowy“, ale wstręt w nim budzi ta brutalna walka o „sytość i wygodę“. „Któżby śmiał sięgnąć po Ciebie, wśród tłumu żyjąc, a nie w kasztelu?“ pytał. Prosił, bym jak najprędzej napisała mu, czy pozwalam, aby przyjechał „taki“.

Na decyzję tę czekał długo. Szamotałam się wówczas rozpaczliwie w walce z sobą, pełna bolesności rozważałam przepaść odwieczną między indywidualistycznym kultem „ja“ i wielką społeczną religją. Wreszcie jednego smutnego wieczoru odpisałam mu tak:

Nie, miły Panie mój, nie... Inaczej wtedy, — bardzo już dawno — rozumieć chciałam przyjazd Pana —

Teraz już nie — — Powiedziałam: dawno — nie dla jakichś względów oderwanych. Powiedziałam zupełnie szczerze. Bo to było naprawdę: bardzo już dawno.

Minęło wiele dni, podobnych do nocy, i nocy, podobnych do cmentarzy. Przeżyłam to wszystko.

I to przeżycie wytwarza właśnie ową nieskończoną dawność.

Zupełnie inna byłam wtedy, kiedy wzywałam Pana. Coś niedokończonego jeszcze było we mnie — i z Panem walcząc, może trochę ze sobą jeszcze walczyłam, z tem wszystkiem mianowicie, co we mnie do Pana należało — co było we mnie ostatnim cieniem zapytania i pychy.

Dzisiaj — po przeżyciu — niema już we mnie takiego kąta duszy, w którymby się nie mieścił wszechświat. Niema już we mnie zapytania ani zaprzeczenia wiary — ponieważ *wiem*. Zrozumiałam czuciem — i myśl moja naprawdę teraz uklękła przed sercem, chociaż zawsze panią zimną i okrutną mu była. I dlatego wiem — i już nie wątpię.

Pan zrozumiał — prawda? — że teraz już nie może Pan być przy mnie. O ileż większe byłoby nasze oddalenie, gdyby Pan był blisko.

Bo wieki minęły już od czasu dawnego, kiedy kochałam Pana. Chodziłam wtedy po gankach zawrotnych reminiscencyjnego zamku i nad niskie, ciemne równiny słałam wzrok. Chodziłam w sukni białej, z której spływające dołem sznurki pereł ślizgały mi się po palcach nagich stóp, jak morska piana. Chodziłam tęskna, urocza, fantastyczna — jak moje marzenie o sobie... Rozumie Pan, czemu tak piszę: oto dlatego, żeby Pan wiedział, ile pychy było w mojej miłości, ile siebie próżnej i miłej kochałam w Panu. By Pan wiedział, że kochałam w Panu to, jak Pan pojmował mnie, że kochałam w Panu siebie

taką, jaką się tylko przez oczy Pana ujrzeć mogłam. Że kochałam w Panu piękno siebie — —

Wieki minęły od czasu dawnego, kiedy kochałam Pana. Bo umarło już we mnie to, co się tak cudnie odbijało w pańskich oczach. Bo kiedy teraz zechcę szukać siebie w Panu, znajdę trupa. Bo zrozumiałam, że piękno jest złe, chociaż dobro jest piękne. Pan to pewnie zrozumie, ale Pan w to nie uwierzy. I ja nie żądam już dzisiaj —

Tylko poco piszę to jeszcze?

Nie dla Pana już teraz. Chcę tylko po raz ostatni powiedzieć wszystko o sobie, bo odtąd nie będę więcej. Chcę jeszcze po raz ostatni powiedzieć wszystko o sobie, bo odtąd nie będzie już mnie. Jutro zapomnę o sobie, to ostatnie, co sprawia jeszcze, że mną jestem, a nie wszystkimi, to ostatnie, co przeciwstawia się jeszcze i wydziela mię ze wszechświata. Jutro nie będę już sobą, tylko jak cegła zaginę w wielkim, czerwonym murze twierdzy, strzegącej ***skarbu ubogich***. Stanę się czysta i kryształowa, jak kropla nieskończonej wody, która kaskadą burzy skały. Jedna przezroczysta kropla, zmieszana z innemi. To będzie ostatni triumf mego ja, triumf nad sobą. Stanę się jednem z nieskończenie małych, momentem znikomym sił, stanowiących wszechświat, których gra nieskończenie różnorodna tworzy rzeczy i byty. W mgławicy atomów, w olbrzymim wirze bytów, powstałych z burzy życia, rola tych wszystkich, co się lękają, by im „nie wykradli ich ja“, a dusze swe, jak księżniczki dalekie, w szklanych zamykają trumnach, by izolować

je od gigantycznych śpiewów burzy, od błyskawic i piorunów, — rola tych już się kończy. Jak słupy nieruchome stoją na progach granitowych, niezdolni nawet zatrzymać biegnących fal.

Po raz ostatni więc mówię o sobie — i zginę pod wielkim, równającym całunem niewiadomości.

Ja, która umiałam pogardzić wszystkiem, co mi było we mnie najbardziej ukochane.

Po raz ostatni mówię o sobie — i chciałabym powiedzieć wielkie jakieś słowo, jak ten człowiek, któremu wyciąć mieli język. I po długim, długim namyśle mówię: ***bardzo mi smutno.***

Alicja.

Na tem skończyła się nasza korespondencja i — wszystko.

W poszarzałym, tającym na dachach i chodnikach śniegu czai się już nowa, płomienna wiosna — nie ta dobra, niosąca miłość, słońce i kwiaty, lecz dzika, tajemnicza, legendarna, drapieżna, węsząca, jak pantera, świeżą, dymiącą krew. Rok już przeszło, jak po ulicach miast i tajniach lasów północnych włóczy się groza niewypowiedziana i niepojęta śmierci gwałtownych, ofiarnych, gromadnych, bohaterskich. A ponad horyzontem, opasującym krwawe pola walk, płomienieje na pociemniałem niebie świt ogromny, który nigdy jeszcze w dziejach świata nie przepowiedział wschodu, świt, który jest tylko niezagasłem marzeniem o słońcu niewidzialnem.

Byłam u Julki, kiedy przyszła Teresa, dawna narzeczona Jana. Nie odrazu ją poznałam. Stała się jeszcze szczuplejsza i bardziej nikła.

Serdecznym, krótkim uściskiem ręki powitała Julkę i zaraz zwróciła się do mnie.

— Nie poznaje mię pani — —

— Przepraszam bardzo, mam taki krótki wzrok — tłumaczyłam się, walcząc z dziwnem zażenowaniem, prawie bolesnem.

— Och, proszę pani... Wiem, że się zmieniłam — powiedziała bez cienia skrytego żalu i popatrzyła na mnie jasnym wzrokiem. — Rok już przecież minął od tego czasu...

Julka mówiła szybko:

— Jak to dobrze, że przyjechaliście nakoniec. Brak was tu bardzo.

— I tam nie próżnowałam także —

Zaczęły sobie komunikować wzajemnie różne doniosłe szczegóły. Teresa spytała nagle:

— A wiecie już o Księciu?

— Co takiego? Siedzi przecie już od maja —

— Tak, właśnie, siedział w M., wiedziałam o tem. I wyobraźcie sobie moje zdumienie, kiedy sobie jadę

wczoraj i na stacji M. nagle do wagonu najspokojniej wchodzi Książę i zajmuje jedyne wolne miejsce naprzeciwko mnie. Ludzi pełno — i nie mogę go ani przywitać, ani dowiedzieć się —

— Co wy mówicie? puścili go?

— Gdzież tam? — poprostu uciekł, właściwie uwolnili go podstępem — — I ten człowiek zamiast odrazu zagranicę...

Roześmiały się obie śmiechem półgłośnym, pełnym naiwnie triumfalnej, biednej, przyczajonej radości.

— To doskonałe — powtarzała Julka.

Teresa ciągnęła dalej:

— Pomyślcie tylko, co się we mnie działo, kiedy tak siedziałam naprzeciw niego... Od czasu do czasu tylko — żeby nie zwrócić uwagi — patrzyliśmy na siebie... Przecież i jego cały rok nie widziałam... Dopiero po jakich dwóch godzinach, kiedy z tego przedziału wszyscy wysiedli, mogliśmy się przywitać i rozgadać. Taki zbieg okoliczności! Przyjechaliśmy tu razem, właśnie wczoraj. Wy wiecie, co jemu grozi. I ten jedzie tu prosto, jak w paszczę. Powiada, że ma tu jak najlepszą opinję i pod tem nazwiskiem jest bezpieczny. Zgolił tylko po dawnemu wąsy— i z dobrą miną spaceruje po mieście —

— To jest zupełnie wyjątkowy człowiek — zadecydowała Julka.

O Janie nie mówiłyśmy ani słowa, chociaż wszystkie trzy myślałyśmy o nim. Po chwili ożywienia i pozornej wesołości zasunęły się pomiędzy nami jakieś przegrody niezwalczone.

— Pani nie zna Księcia? — zapytała mnie Teresa, głęboko zamyślona o czem innem.

— Owszem — poznałam go tego wieczoru właśnie, kiedy — — panią — odrzekłam niepewnie.

Pod wpływem tego nieznośnego wspomnienia zmieszałam się — w poczuciu winy dokonanej rozmyślnie, niepowetowanej.

Ona popatrzyła na mnie uważnie i nagle uśmiechnęła się. Uśmiechnęła się do mnie uśmiechem słodkim, mówiącym, że zrozumiała. A widząc, że drżą mi usta, rzekła uspokajająco i łagodnie, jakby była ode mnie znacznie starsza:

— No więc cóż, no więc cóż — — —

Znaczyło to, że przebaczyła mi i już nie pamiętą.

Wędrowałam po odległej dzielnicy miasta, mijając ciemne parkany, za któremi sterczały bezlistne gałęzie, bite przez deszcz drobny i wiatr. Na chodniku, nie pokrytym asfaltem, stała między kamieniami woda, dygocąca bezustannie, jak od zimna, od uderzających w nią kropli. Pojedyncze kamieniczki, czerwonawe kolosy fabryk, szopy niewyraźnego przeznaczenia — wszystko to nużyło wzrok ciężką monotonją i posępnością bezgraniczną. Środkiem, po całem morzu czarnego błota, wlokły się naładowane ciężko furgony, skowyczące metalicznie na wielkich, zatopionych kamieniach bruku.

Na lewo szła ulica, ciaśniej zabudowana, jakby wracająca do miasta. Skręciłam w tę stronę.

Znajdowałam się tutaj po raz pierwszy, a jednak szłam pewnie, bez wahania, orjentując się szybko wedle otrzymanych wskazówek. Jednakże wniosek, jaki sformułowałam sobie, stając u celu drogi przed wysoką, drewnianą, na bronzowo pomalowaną bramą, brzmiał: zabiłabym się, gdyby mi tu kazano mieszkać.

Gdy, zamykając parasol, obejrzałam się bezcelowo, zobaczyłam jakiegoś robotnika, który przypatry-

wał mi się uważnie z przeciwległej strony ulicy. Strach mnie ogarnął, gdy zaczął iść w moją stronę z wyraźnym zamiarem zaczepienia mnie, przyczem, starannie unikając błota — przeskakiwał z kamienia na kamień. Z bijącem sercem skonstatowałam bezludność ulicy. Nie wpadłam jednak do bramy. W systemie, z jakim ów człowiek wymijał kałuże, było coś, co przykuwało mię do miejsca. Stałam i czekałam, co będzie.

Nakoniec tajemniczy napastnik, przebywszy podobnąż metodą dzielący nas jeszcze szeroki rynsztok, podniósł głowę i ukłonił się. Teraz dopiero ujrzałam jego twarz i z trudem poznałam Księcia.

— Przepraszam, że ośmielam się napastować panią — rzekł, witając się ze mną salonowym gestem — ale spotkanie jest tak szczególne... Co pani robi w naszych stronach?

Wytłumaczyłam mu wszystko. Mówiąc, nie spuszczałam zeń oczu, konstatując zupełną zmianę w charakterze jego postaci, wywołaną tem przebraniem. Ciemna, wytarta kurtka doskonale uwydatniała mocną budowę ramion i klatki piersiowej. Wydał mi się w tej chwili człowiekiem, stworzonym do dźwigania młota i mocowania się z niezmordowaną siłą maszyn.

— Idąc tam, lękam się jednak — mówiłam. — Przecież, jeżeli stało się coś złego, to pierwsza odpowiedzialność spada na tych, którzy ich wiodą na niebezpieczeństwo. W takim człowieku widok inteligenta musi chyba budzić nienawiść...

Książę przyznawał mi słuszność.

— Dlatego skorzystam z tego spotkania i poproszę, by pan poszedł tam ze mną:.. Z panem nie będę się bała — —

— Ależ — służę pani....

Przeszliśmy długie podwórze, zasypane słomą mokrą, gnijącą, po której w rozmaitych kierunkach chodziły kury. W kącie, gdzieś za śmietnikiem, w cieniu i zaduchu znajdowały się drzwi, wiodące na schody. Czarne, pościerane stopnie drżały pod naszemi krokami i trzeszczały przeraźliwie, wydając wszystkie tony skali. Wolno poruszaliśmy się, pogrążeni prawie w zupełnej ciemności, wstępując ostrożnie ku górze. Po drodze mijaliśmy niezliczone drzwi, przeważnie zlekka uchylone, z poza których dochodziło zepsute parne powietrze, przesycone wonią jadła.

Na najwyższem piętrze Książę zapalił zapałkę i oświetlił przybity nad drzwiami numer. Zastukałam, nie usłyszałam nic, ale weszłam do izby.

Niedaleko drzwi stało przy piecu kuchennym małe dziecko i skrzydłem kurzem zmiatało stygnące blachy. Na stołku pod oknem siedział odwrócony od nas drobny człowiek z siwemi włosami i z uwagą obserwował niebo. Gdy weszliśmy, dziecko natychmiast wyszło dyskretnie, stary zaś odwrócił głowę i patrzał na nas nieufnie, wyczekująco.

Powiedziałam parę słów, które natychmiast zmieniły jego nastrój. Zauważyłam, że nie miał jednego oka; niedomknięte powieki pozostawiały wąską szczelinę krwawą.

Dowiedziałam się, czy człowiek, ranny przed miesiącem i leżący dotąd w szpitalu, jest jego synem.

— A jakże, Franciszek. Będzie tydzień, jak mu nogę odjęli — —

Uważnie patrzyłam na niego. Powiedział to spokojnie, prawie obojętnie.

— Jakie nieszczęście — rzekłam. — Człowiek młody — dzielny, pożyteczny —

Starzec pochylił głowę.

— W dobrej sprawie — krótko wyjaśnił.

Przypomniałam sobie fałszywe moje obawy. Tak zupełnie czego innego czekałam. W podziwie milczałam przez chwilę.

— To jedynak? — spytał Książę.

— Mam jeszcze dwóch młodszych. Oba wzięci. Ale nie będą z nich tam mieli pociechy — — groźnie dodał. — Chowani już tak — —

— A ta mała?

— Nie moja. Siostrzenicy. Przychodzi czasem tylko. A tak, to już jestem sam.

— Ale z synem się widujecie?

— Nie można. On inaczej tam zapisany. Z boku się dowiaduję...

Zamilkł, zamyślił się. Drobna, pomarszczona twarz jego stopniowo zmieniała wyraz. Po chwili zaczął mówić powoli, jakby w coś bardzo dalekiego zapatrzony:

— W dobrej sprawie... nie żal... U nas już tak... Ja sam w roku (wymienił dawną datę) straciłem te oko — — a znów ojciec mój, pod Ostrołęką —

Zaciął się i nie skończył. Z twarzy jego teraz dopiero spadła maska starej, zrezygnowanej obojętności. Skrzywił się — i po zmarszczonych, zaklęsłych policzkach, na brodę siwą popłynęły łzy. — Dziwnie sączyły się z krwawej szczeliny pomiędzy powiekami...

Dowiedziawszy się jeszcze paru szczegółów, pożegnałam starego wojownika.

— Ci pielęgnują tradycje rodzinne staranniej, niż rodowa arystokracja — zauważył Książę.

Szedł przede mną, by oświetlać drogę po ciemnych schodach zapałkami. Schodziłam milcząc, głęboko zamyślona. Obserwowałam niewolniczo wysmukłą sylwetkę Księcia, raz po raz zarysowującą się czarno na tle rozbłyskającego światła. Miał kark odkryty, głowę napół zwróconą ku mnie — o profilu krótkim, wyraźnym, prawidłowo obrysowanym prostemi linjami.

— Chociaż towarzysze teoretycy nie lubią tego, ja jednak znajduję pewien urok w przeszłości — mówił dalej. — Coś dziwnie pociągającego jest w formach, które już nie posiadają treści. Czasami nawet podobają mi się formy, z których treścią walka jest zasadniczym motywem mego życia —

— Jakie to dziwne, że pan właśnie mówi takie rzeczy...

Książę roześmiał się.

— Takie niekonsekwencje są bardzo pocieszające — rzekł. — Znaczy to, że nietylko wszechświat, ale i my sami daleko wykraczamy poza ubogie uogólnienia, prawidła i decyzje naszej logiki...

Wyszliśmy na ulicę. Deszcz nie padał już, ale zrobiło się strasznie zimno. Wiatr gwizdał, jak na pustkowiu. Książę ofiarował się odprowadzić mię przez tę dzielnicę.

— Nie, nie, dziękuję panu — zaoponowałam z dziwnym ogniem, nie wiem, czemu. — Sama siądę do dorożki — zaraz tutaj —

Nie nalegał ani przez chwilę. Uprzejmie pomógł mi przy wsiadaniu.

— Niech pan przyjdzie kiedy do mnie — dobrze? — rzekłam, żegnając go.

Dorożka ruszyła z łoskotem. Patrzyłam za Księciem, póki nie rozdzielił nas zakręt ulicy. Wtedy pomyślałam bez żadnej przyczyny i zupełnie nie *à propos:* oto jest człowiek, z którym chciałabym mieć dziecko.

Jednakże natychmiast niestosowność tej myśli wydała mi się tak olbrzymia, że z całej duszy znienawidziłam nagle Księcia, chociaż on sam nic w tem wszystkiem nie zawinił.

Coś jest, co staje jeszcze czasami pomiędzy mną, a jaźnią zbiorową tych sfanatyzowanych ludzi, którzy w prawdy swoje wierzą z równą bezwzględnością, jak pierwsi chrześcijanie wierzyli w swoje dogmaty. Ich zjazdy i zebrania, na których prowadzą spory i wydają rezolucje, niekiedy zdają mi się nazbyt podobne do dawnych synodów, na których spierano się o artykuły wiary i rzucano klątwy na schyzmy i odszczepieństwa.

Razi mię niekiedy ich jaskrawe, nienawistne przeciwstawianie się wszelkiemu indywidualizmowi. Wierzę przecież, jak oni, i kroplą tylko być pragnęłam, podobną do innych, potrzebną nieskończoności wód — a jednak...

Boję się tych chwil zniechęcenia, pragnienia powrotu, prób nieudanych harmonijnego połączenia dwóch światów. Wtedy idę po wiarę do Jana.

Mówi mi rzeczy podobne do tych, jakie sama kiedyś pisałam do Zienowicza. I zaczynam w nie wierzyć na nowo. Ulegam jego dziwnej mocy, uwielbiam mądrość ewangelicznie prostą, z jaką wszystkie zjawiska świata dzielić umie na dobre i złe, kocham

naiwną szlachetność, z jaką wszystkie dobre woli od wszystkich złych.

I dziś ja także nie jestem już poza złem i dobrem. Poznałam ogromny czar ofiary, wielkości, bohaterstwa. I pokochałam dobro.

Ale jedno pozostało jeszcze: pokochałam je nie dlatego, że jest dobre, ale że jest takie piękne —

Szłam po ulicy z Janem, gdy spotkałam Teresę. Pobladła w pierwszej chwili — a później powitała nas ze spokojną twarzą. Przez czas jakiś szliśmy we troje, rozmawiając o *innych* rzeczach.

— Spotkaliście się z Księciem — odezwała się do mnie.

— Mówił wam?

— Tak. Uważaliście, jak mało się zmienił. Nie znać na nim prawie tego dziesięciomiesięcznego więzienia.

— Niezwykle silny człowiek — wtrącił Jan.

— Tak, to jest siła...

Byłam ciekawa, czemu wogóle Książę mówił o mnie z Teresą. Zręcznie zapytałam ją o to.

— Dziwił się, że coś robicie — objaśniła. — Przypuszcza, że jest to jakiś kaprys przelotny —

— Na jakiej zasadzie? — rzekłam, pokrywając urazę. — Zna mię przecież tak mało...

Teresa uśmiechnęła się.

— Czy ja wiem? Mówił, że zrobiliście na nim wrażenie litościwej pani, przynoszącej ubogiemu jałmużnę i słowa pociechy — jak w moralnej powieści...

Roześmiałam się nieszczerze.

— Jakże można sądzić tak powierzchownie...

Jednego dnia przyszedł do mnie Obojański. Nie widziałam go ogromnie dawno. Jest obecnie zgrzybiałym starcem, do pokoju wchodzi z laską, drży cały i w oczach ma zalęknienie.

Z początku rozmawialiśmy o tragicznych wydarzeniach ostatnich czasów.

— Tyle życia młodego, tyle krwi — mówił półgłosem, ze zgrozą. — Ci, co idą, wszyscy idą na zgubę. Ale czy mają prawo wieść za sobą innych, bezkrytycznych? Kraj cały pokryje się mogiłami...

Mówił, jak człowiek stary, miniony, niepojmujący, wyraźnem instynktowem przeczuciem zbliska węszący tylko śmierć. W myśli porównywałam go z tym starcem z rodu walecznych...

— Jest to początek upadku naszej kultury — ciągnął. — Zatopi nas fala barbarzyństwa i zacznie się to samo, co po upadku starożytnego świata. Ten ogień straszny coraz szersze zagarnia kręgi. Młodzież pochłonięta pasją polityczną, rozentuzjazmowana fałszywemi nadziejami — rzuca szkoły i z zamkniętemi oczami idzie na stracenie. Nauka staje się zbyteczna, pogardzona, na plan ostatni zepchnięta. A przecież to jest jedyna droga, jedyna droga — — — droga

rozwoju myśli pozytywnej, niezależnej, droga wolności prawdziwej —

Nagle zamilkł, jakby zupełnie czem innem zajęty. Próbowałam łagodzić zlekka jego pesymizm. W połowie któregoś zdania przerwał mi:

— Chciałem podziękować pani. — Przepraszam, że teraz dopiero, ale dotąd nie mogłem... Przyszedłem podziękować pani za nią... Ona panią jedną lubiła... Podziękować pani z całego serca — — —

Pochylił piękną swą siwą głowę nisko, bezsilnie. Milczałam zmieszana, nie umiejąc zdobyć się na jakiś kobiecy odruch sentymentu.

— I chciałem powiedzieć pani... Ona nie była nieszczęśliwa przeze mnie — niech pani w to uwierzy.

— Ach, proszę pana — przecież —

— Nie, niech pani pozwoli. Pani przecież może przypuszczać, że w tem ja grałem jakąś rolę... A małżeństwo nasze było zupełnie fikcyjne — — miała swobodę — wszystko, co chciała... Kochałem ją, jak dziecko jedyne — — —

Starał się opanować resztkami dawnego kunsztu towarzyskiego. Chłodniej mówił:

— Przedtem już popsute było coś w jej życiu — i dlatego — Powoli zabijał ją nałóg straszny, niezwalczony — — Narkotyzowała się — — Wszystko czyniłem, by ją ratować — ale bezsilny byłem. — Przy pierwszej takiej próbie wpadała w szał — taka straszna w niej była ta żądza trucizny... Kochałem ją tak — — i przeszkodzić nie umiałem. W ten ranek...

Ja dotąd pojąć nie mogę, jak Janka mogła zrobić mi taką krzywdę, taką — —

Oparty o laskę, z pochyloną głową milczał przez chwilę i nieruchomo patrzył w ziemię. Nagle odezwał się cicho, głosem tajemniczym:

— A pani wie, my przecież byliśmy oboje na drodze do odkrycia, wielkiego odkrycia — dziejowego! A teraz wszystko przepadło — — Bez niej nie mogę już sam — Wszystkie preparaty zmarnowane, potłuczone retorty — — Sam nie mogę — i przytem boję się jeszcze... Ta myśl ohydna, że w każdej chwili wedrzećby się mogli, poniszczyć wszystko, posądzić — za-a-resz-tować — —!

Utkwił we mnie przerażone oczy:

— Teraz pani wie wszystko, teraz pani już wie wszystko — dodał po chwili enigmatycznym tonem ibsenowskiego bohatera —

Na kilku zebraniach widziałam już Księcia i słyszałam jego przemowy. Wiele opowiadano mi przedtem o jego talencie oratorskim i ciekawa byłam, jak mówi ten człowiek, który raz w przebraniu robotniczem wygląda na atletę, kiedy indziej zaś pachnie *Indian Hay'em,* prowadzi wersalską konwersację i robi takie wrażenie, jakby był dzieckiem salonu.

Mowy jego jednak rozczarowały mnie. Nie znalazłam w nich objawienia. Jak wszyscy oni — zajmuje się obroną i komentowaniem dogmatów. W słowach jego jest inteligiencja i logika, ale niema wiary i ekstazy. Doznaję wrażenia, jakby był znacznie mądrzejszy od tego, co mówi. Z ust jego nie schodzi półuśmiech pobłażliwy sławnego trybuna, dobrze wiedzącego o efekcie, jaki sprawi jego mowa. Zdaje się myśli swoje wypowiadać odniechcenia, z pewnem nawet lekceważeniem dla nich, jakby w bezwzględną prawdę ich do połowy tylko wierzył, czy raczej jakby do prawdziwości tej żadnej nie przywiązywał wagi i nie uważał jej za konieczną. Szczególne jest, że sam, nie zdając się być zbyt silnie przekonanym, z dziwną łatwością przekonywa innych. Sugestjonuje tłum mocnym tonem głosu, oryginalnie i dziwacznie

wyginającą się linją rozumowania, niczem nie usprawiedliwioną imperatywnością spojrzenia oczu niezwykle ładnych, oczu jak z bajki. Odnosi zwycięstwo nad mówcami przeciwnego obozu, ale zupełnie niezależnie od tego, że ma rację. Należy do typu ludzi przecenionych, pomimo, że na ocenę wysoką zasługuje. Pochodzi to stąd, że cenią go nie za to, co jest w nim warte najwięcej, lecz za przejaw jeden, drobny i przypadkowy, tej wartości.

Przerywają mu oklaskami, krzykiem aprobaty. On oczy przymruża — i czeka spokojnie z tym samym, ledwie dostrzegalnym uśmiechem — aż skończą — —

Gdy Książę przyszedł do mnie pierwszy raz, na krótką chwilę przypomniała mi się przeszłość. Oddawna nie widuję już u siebie ludzi o tak starannie wyszlifowanych paznokciach.

Przyjęłam go w mym ulubionym niegdyś buduarze szmaragdowym, w którym przebywam teraz tak rzadko. Ściany są tu jasne, jakby zrobione były z wody lub kryształu. Zasłony z seledynowego tiulu i adamaszku okrywają czarność okien. Od sufitu spadają w dół bukietem zastygłym kwiaty elektryczne i napełniają pokój nieporównaną wonią światła księżycowego. Srebrny pył elektryczności faluje szeleszcząco na zielono-błękitnej materji, pokrywającej meble wysmukłego fasonu, drży na bladych, rzeźbionych koronkowo liściach roślin z gatunku paproci, które stoją na słupach kamiennych. Drzwi, nieosłonięte portrjerą, malowane delikatnie i rzeźbą pokryte, wyglądają w tem świetle, jak wykute z pozieleniałego srebra.

Witając Księcia, mimowoli pomyślałam, na jak bardzo innem tle spotkaliśmy się niedawno. Zestawienie to, w połączeniu ze wspomnieniem szczególnego nastroju, jakiemu uległam w ów ponury, chłodny

wieczór, napełniło mię dziwnym niepokojem. Z pewną trudnością uzmysławiałam sobie fakt, że gość mój jest tym samym człowiekiem, którego widok przeraził mię wówczas na bezludnej ulicy przedmieścia.

Książę wyrażał podziw swój dla mego pięknego charta, który ma sierść popielatego koloru i nazywa się Shocking.

— Ogromnie lubię psy i znam się na nich — rzekł. — Dlatego pozwolę sobie zwrócić uwagę pani, że ten chart nie jest zupełnie odpowiednio chowany —

— Czy dlatego, że wchodzi na kanapę?

— Nie — jest tylko zbyt tłusty. Prawdopodobnie dostaje za wiele jeść —

— Nie rozumiem pana. — Je oczywiście póty, póki ma ochotę — —

— To źle właśnie. Przecież pies jest nato, żeby był ładny —

— Nigdy! — oburzyłam się. — Pies jest nato, żeby mu było przyjemnie...

Książę roześmiał się. Trzymał w obu dłoniach długą mordę Shockinga i patrzył mu w oczy.

— Nie wiem, czy przypomina sobie pani wieczór, w którym się poznali — rzekł po chwili, puszczając psa.

— Pamiętam — — To już więcej, niż rok —

— Śpiewała pani wtedy. Gdy tylko wszedłem, usłyszałem pani głos — i znałem go już, zanim wiedziałem, kto śpiewa, zanim zobaczyłem panią — Wydało mi się to takie dziwne — — Umyślnie nie

odrazu wszedłem do salonu, usiłując odgadnąć wyobraźnią, jak wygląda ten ktoś nieznany...

— I odgadł pan?

— Nie — pomyliłem się. Jest pani znacznie chłodniejsza od swego śpiewu. — Nie wiem, czemu, wyobrażałem sobie kobietę o ciemnych włosach i oczach żywych, migocących — —

Nie powiedziałam nic.

— Była to dziwnie urocza pieśń — mówił Książę. — *„C'est l'étoile d'amour, c'est l'étoile d'ivresse"*... *„là jamais ne sonne l'heure brève, où les coeurs se brisent en adieux"*...

— Jakże pan pamięta — zdziwiłam się.

— Uważnie słuchałem — rzekł. — I jedna rzecz jeszcze była w tem szczególna: gdy wyobrażałem sobie tę gwiazdę miłości, zdawało mi się, że powietrze musi tam mieć kolor srebrno-zielony, czy seledynowo-błękitny — taki właśnie, jak w tym pokoju pani —

— I tym razem pomylił się pan także — rzekłam żartobliwie. — O ściany tego pokoju obijały się już słowa pożegnań — —

W złagodzonej formie opowiedziałam Księciu wrażenia, jakie odniosłam z jego mów.

— Wydaje się, jakby pan ludziom z rozumowań swych dawał tylko antytezę, syntezę zaś — pozostawiał sobie —

Książę nie przyznał się tu do gry.

— To nie jest fałszywe — rzekł. — Tylko różne sytuacje życiowe poruszają we mnie różne dziedziny duszy —

— Ja tego nie rozumiem zupełnie. Wszakże Pan *jest* inny naprawdę, niż tamci. A to są dwa światy, których pogodzić nie można —

— Jakie światy?

— Świat wesołej wiedzy, gardzącej złem i dobrem — i świat ideału moralnego wolności i równości. Świat piękna, poezji, radości — i świat smutnej walki o dobro — — Tę przepaść widzę wciąż, która sprawiła, że Młody Król, ujrzawszy „krew w sercu rubinu, a w sercu perły śmierć" — opuścił zamek, pełen skarbów i dzieł sztuki, pogardził kultem piękna, oddał młodość swą na usługi nędzy i cierpieniu —

Książę zdziwił się.

— Przecież piękno i poezja — to nie jakaś ścisła kategorja zjawisk. Piękno jest projekcją, w której oglądać można wszystkie zjawiska. To nawet, że Młody Król wzgardził sztuką i przepychem, stało się dla twórcy przedmiotem poezji — —

Słuchałam uważnie.

— Więc może — zaczęłam i zawahałam się — — więc może — i pan kocha dobro dlatego, że jest piękne — — — ?

Miałam wrażenie, że w chwili tej odzyskam coś, co wydawało mi się już utracone. Książę odrzekł:

— Czaruje mię piękność tej walki nieśmiertelnej o dobro. — I tylko dlatego — rozumie pani? — tylko dlatego — —

Spróbowałam dawać Shockingowi mniej jeść, ale czynił takie okropne wrzaski, że musiałam przerwać kurację. Niechaj już będzie zbyt tłusty na charta.

Dziś był Książę. Opowiadał mi wrażenia swe z pobytu w więzieniu.

— ...Później dopiero przekonałem się, że wszystko to nie było najstraszniejsze — ani nuda, ani samotność, ani rodzaj spodziewanej kary — bo wszystko to leżało jeszcze w sferze rzeczywistości. Tragizm zaczął się wtedy dopiero, gdy w grę weszły rzeczy z innego świata — gdy mianowicie po czterech miesiącach pozwolono mi nakoniec czytać książki. Pierwsze tomy sprawiły mi radość nadzwyczajną. Miałem już wówczas wstręt do myśli własnych, samodzielnych — i czytałem przez całe dnie i noce. Zdarzyło się tak, że dostarczano mi dzieł wyłącznie filozoficznych. Gdy taką lekturą zajmuje się człowiek wolny, to całej tej abstrakcji przeciwstawia się w mózgu jego bogactwo i różnorodność zdarzeń codziennego życia. Do mnie nie dochodziły nawet echa tych zdarzeń, mózg mój brał wrażenia tylko z fantastycznej dziedziny kontemplacji. Bawiło mię wędrowanie zawrotne po drogach królewskich, wiodących *de l'é-*

phemère à l'éternel... Całemi godzinami wpatrywałem się w boskie załamania myśli genjalnych — i widziałem je w półświetle, jak linje konkretne, kapryśnie stylizowane, fantastyczne wiązadła, podpierające gmach świata, pajęcze nici, łączące w jedno urocze misterjum życia i tę całą niezliczoność drobnych zdarzeń w nas i poza nami, którą nazywamy śmiercią. Zatapiałem się w kontemplacji niesłychanej tajemnicy czasu i trwania — i pojmować zaczynałem, że przeszłość i przyszłość nie istnieją zupełnie, że równają się sobie i są nicością, że wspomnienia moje i przewidywania naprzód — są dowolną kombinacją mego instynktu twórczego, bezużyteczną zabawą mózgowych organów obserwacji. Przestrzeń widziałem, jako istniejącą między dwiema rzeczami pewną określoną ilość innych rzeczy, zależnych od zestawień czasu i efemerycznych rzeczy, których byt niczem prawie nie różni się od niebytu. Wtedy całe poczucie rzeczywistości, całą wrażliwość świadomościową zestrzeliłem na jedyny konkret niezbity chwili przeżywanej. Ja tylko, samotność moja i więzienie — były rzeczywistością dla mnie. Odtąd poczynając, ciągnęła się już nieskończoność. Czy zauważyła pani, że z pojęciem nieskończoności wiąże się w umyśle naszym zawsze jakieś określone, plastyczne wyobrażenie? Ja miałem wizje, halucynacje nieskończoności. Linja jej ostatniego horyzontu, będąca zresztą nonsensem matematycznym, zacieśniała się coraz bardziej. Nieskończoność otaczała mię już, jak powietrze, kładła mi się na czole, na piersiach. Wyobraźnia moja wciąż sil-

niej odginała się od życia, nerwy jęczały, jak wyciągnięte do ostateczności spirale sprężyn. I nie mogłem znieść już tego naporu na mózg. Dawno rzuciłem książki — ale męka się nie skończyła. Bałem się poruszyć, by nie zamącić ciszy nieskończoności. Rozumiałem już, jak zaczyna się obłęd. — Przez całe tygodnie leżałem w łóżku, z oczami zamkniętemi, w jakimś półśnie — — męcząc się wizjami zdarzeń niepojętych, niedocieczonych —

Książę zamilkł, patrzył na mnie poważnie z pewnym szczególnym grymasem twarzy koło oczu.

— A wyjście z tego? — spytałam.

— Reakcja uczuciowa przeciw tej metafizycznej męce w szczególności — etyczna. Etyka niesłychanie często staje się deską ratunku tych, dla których życie przestało już istnieć. Uległ temu Silvio Pellico, nawet Wilde... W rozróżnieniu zła i dobra jest coś, co najsilniej łączy z życiem, ten element pożyteczności — taki wyłącznie ziemski. Dlatego instynkt etyczny tak często i radykalnie zwalcza pesymistyczne i sceptyczne kombinacje intelektu. Zacząłem doszukiwać się w sobie grzechu, marzyć o wielkiej ekspjacji. W myślach swych zabijałem wszelkie ślady egoizmu. I doszedłem do wniosku, że wyrzuty sumienia są nad wyraz higjeniczne — —

Roześmiał się, na swój specjalny sposób przymrużając oczy.

Od tygodnia przeszło nie widziałam Księcia. Gdy był u mnie ostatnim razem, nie wspominał nic o wyjeździe — a od tego czasu poprostu zniknął i nikt nie umiał mnie objaśnić, co się z nim stało. Wprawdzie w ostatnich dniach nie było słychać o żadnych aresztowaniach, lękam się jednak, że go spotkało coś złego.

Ten człowiek stał się dla mnie teraz prawie niezbędny. Dzięki niemu odrodziło się we mnie coś, co już umarło. Książę w wysokim stopniu osłabił we mnie pedagogiczne wpływy Julki i Jana.

Prawie nigdy się z nim nie spieram. Dziwnie odpowiadają mi jego punkty widzenia — i chętnie biorę je za swoje. Wiem z całem przeświadczeniem, że jest to człowiek silniejszy, pewniejszy ode mnie. Przytem posiada jakąś pogodę czysto fizjologiczną, wypływającą nie ze światopoglądu, lecz z temperamentu, pogodę, która stanowi tajemnicę jego nadzwyczajnego wpływu na ludzi — i na mnie.

Księcia ciągle niema. Brak mi go. Znów ogarnia mię to coś powrotnego. Ale nie idę już do Jana — ani do żadnego z nich.

Najchętniej — co jest szczególne — rozmawiam z robotnikami. Jest w nich wzruszająca bezpośredniość w reagowaniu na krzywdę i cierpienie. Zjawisk nie podciągają pod żadne zgóry obmyślane kategorje i unikają uogólnień.

Lubią zwłaszcza mówić o rzeczach, leżących poza zakresem interesów i spraw wspólnych. Charakterystyczny jest sąd, jaki wydają o książkach; lekceważą niesłychanie wszelką beletrystykę, zwłaszcza powieści — lubią zaś czytać dzieła przyrodnicze, „bo to zbija z religji", a nadewszystko ekonomiczne. To, co mówią w tym przedmiocie, niezawsze charakteryzuje tylko ich samych — czasami jest też bardzo ciekawe dla samej książki.

Jednemu z nich zdarzyło się czytać w rosyjskiem tłumaczeniu dziennik Marji Baschkirtseff. Znajduje się tam w jednem miejscu opis świtu; Marja Baschkirtseff, po nocy spędzonej bezsennie na smutnych refleksjach, widzi przez okno w mroku chłodnego rana idących już do pracy ludzi w bluzach ro-

botniczych. Narazie czuje dla nich litość, lecz wprędce uspokaja się sentencją, że człowiek cierpi niezależnie od tego, do jakiej sfery należy, i że cierpienie jednostki, mogącej w każdej chwili posiąść wszystkie rozkosze życia, jest często większe od cierpień wydziedziczonych. Stąd wniosek, że wszelkie przewroty są bezcelowe.

Z całej książki ten fragment najbardziej utkwił mu w pamięci.

— To nie jest żaden argument — rzekł. — Bo może mybyśmy na ich miejscu nie cierpieli.

Później pomyślał chwilę i dodał:

— Zresztą — jeżeli cierpienie jest już konieczne, to ponieważ ich cierpienie jest wyższego gatunku, my chcemy właśnie je poznać.

Jakże niesłusznie dążenia ich nazwał Zienowicz tęsknotą do sytości i wygody. Według mnie jest to zawsze — świadoma lub nieświadoma tęsknota do wyższych form cierpienia.

Julka powiedziała:

— Od Księcia była wiadomość. Wyjeżdżał z Burym na prowincję. Za dwa dni wróci.

Mocno zamknęłam usta i nic nie powiedziałam. Julka popatrzyła na mnie. Powoli spuściłam oczy.

I gdy szłam do domu w smutny lutowy dzień — wiosna była we mnie i wkoło mnie. Oto wiem nakoniec, co jest miłość — i nigdy dotąd nie marzyłam o takiej rozkoszy. Oto piersi mi rozrywa hejnał szczęścia. Oto oślepia mię ogrom nieznany i majestat, ozłocony legendami wieków, pierwszej miłości. Wszystko, co dotąd było, niczem było.

Patrzyłam na ludzi, jak na przyjaciół i braci — i śmiałam się do nich oczami, jak ufne dziecko.

— Więc aż taka jest miłość? — głośno powiedziałam, wchodząc do domu.

Z tych dni ostatnich przypomniałam sobie chwile śmiertelnych przerażeń, gdy ręce skrzyżowane zaciskałam na piersiach w niemej, nierozumnej modlitwie o ratunek dla niego. I stanęło przede mną cudowne, słoneczne objawienie, że po raz pierwszy w życiu mojem kocham, że ponad życie moje i ponad świat cały kocham tego człowieka.

Zrzuciwszy płaszcz, położyłam się na dywanie i tarzać się po nim zaczęłam, jak uradowane, oszalałe z radości zwierzę. Zamykałam oczy i ocierałam się twarzą o plusz miękki, puszysty, jak o trawę. Rozkrzyżowywałam ręce i dyszałam ciężko, zachłystując się z rozkoszy, zębami gryząc burzę łkań, wyrywanych z piersi nieznaną, nową, jak życie zadziwiającą ekstazą szczęścia.

Minęło cztery dni. Czasami słyszę na schodach stąpania i dźwięk dzwonka u drzwi. I wtedy z natężeniem, jakbym zamagnetyzować chciała czas i przestrzeń, patrzę w zasunięte kotary u wejścia do mego pokoju — i wierzę całą mocą woli, że oto rozsunie je dłoń pewna — i ukaże się w nich Książę. Widzę już jego postać kształtną i małą głowę, jasne, niskie czoło greckiego herosa, oczy jak z bajki, oczy z bronzowego aksamitu — — uśmiech delikatnie pieszczotliwy, jarzmiący, nieodparty...

Ale zawsze przychodzi ktoś inny. I ból ostry zawodu przechodzi mi od serca do gardła.

Tak samo na ulicy lub „tam“. Bezsilnie zmrużonemi, krótkowzrocznemi oczami szukam go w tłumie ludzi nieznajomych, ale dobrych.

I niema go. I niema go. Dlaczego każe mi tak tęsknić?

„Myślą o panu pieszczę się, jak kwiatem z krainy nieznanej i słonecznej. Nigdy jeszcze nie czułam na wargach tak słodkiego dotknięcia, nie wdychałam woni takiej boskiej.

Przecież wszystko, co jest we mnie, dla pana jest. I choć mię boli tęsknota, uśmiecham się do mojej tęsknoty... Takie to wszystko jest cudne...“

Takie rzeczy mówię półgłosem, chociaż nie słyszy nikt.

Pierwszy raz ujrzałam go między niemi, na zebraniu. Serce mi biło, jak motyl na dłoni, przytrzymany za jedno skrzydło.

Podając mu rękę, poczułam wzrok jego na mych powiekach i rzęsach drżących. Lękliwie podniosłam je i w oczy jego wtopiłam na krótką chwilę spojrzenie miłosne i gorące.

Rzucił mi krótkie, obojętne pytanie i, ledwie wysłuchawszy odpowiedzi, zapisał się do głosu. Przez cały wieczór tak zdumiewająco pochłonięty był toczącemi się rozprawami. Przypomniałam sobie teraz dopiero, co powiedziała mi kiedyś o nim Julka: „to nie to, co Jan — ani patrzy na kobiety“ — i nagle zrobiło mi się tak smutno, jakby mię kto uderzył.

Wychodziliśmy częściowo, oddzielnemi parami. Wracałam z Księciem. Wyczuwając go całem ciałem tuż przy sobie, rozmyślałam ze smutkiem, czy zawsze tak pozostaniemy sobie chłodni, przyjacielscy, obcy, połączeni „robotą“. Ze słów jego szedł do mnie życzliwy chłód, obojętna sympatja — nic z tego, co możnaby uważać za początek, za możliwość kochania. Sama ochłodłam od tej myśli i stałam się sztywniejsza, niż zwykle.

Ale gdy byliśmy już blisko domu, odezwałam się nagle cicho i miękko:

— Jest pan niedobry, taki niedobry — —

— Dlaczegóż to? — zdziwił się i popatrzył z uśmiechem pod rondo mego kapelusza.

Odrzekłam z drżeniem:

— Wyjeżdżając, nie zawiadomił mię pan o tem. Nie pomyślał pan — — A ja tak się bałam — —

— Bardzo przepraszam panią — rzekł szybko, uprzejmie, jakby przyznając się do niewłaściwości towarzyskiej. — Ale stało się to tak nagle — —

Gdy milczałam, zapytał po chwili:

— Pani to serjo powiedziała?

— Tak...

Staliśmy już przed bramą. Bystro patrzył na mnie.

— To prawda... — powtórzyłam.

Na pożegnanie po raz pierwszy ucałował moje ręce.

— Dziękuję pani — powiedział krótko.

Dni, w które nie widzę Księcia, to nie są dni wiosenne — to nie są dni wiosenne — — —

Niemądre narcyzy patrzą na mnie poważnemi, pełnemi zastanowienia, żółtemi oczami. Tak lubię, kiedy pachną — i myślę wtedy o Księciu — i tak mi żal, jakgdybym go już nigdy zobaczyć nie miała.

Mówię teraz „wy“ do wszystkich towarzyszy, wyjąwszy Księcia. Ponieważ jest mi najbliższy na całej ziemi, więc z nim najdalsza jestem i najbardziej etykietalna. Od samego początku zaczęłam doń mówić: pan — i teraz zmienić nie potrafię i nie chcę. Niechaj choć coś będzie, żeby rozumiał, że inny jest, niż wszyscy.

Ale on nie rozumie.

Rzadziej przychodzi teraz do mnie. Nastały znów złe czasy, czasy wytężonej roboty i ciężaru przygnębienia na piersiach. Spotykamy się przeważnie gdzieś poza domem. Wtedy nie odwracam odeń mych oczu rozmarzonych, słodkich, pieszczących, z ust jego spojrzeniami scałowuję każde słowo. I tem spojrzeniem oddaję mu się tak święcie i niepodzielnie, tak ofiarnie i pogodnie — jak nie oddawałabym się żadną klątwą i przysięgą. On czasami zdziwi się, chwilę popatrzy badawczo — i nie rozumie. „To nie to, co Jan“...

Nigdy nie przypuszczałam, że tak się może stać. Przecież ci dotąd zwykle mnie właśnie kochali —

I jest mi czasami tak smutno, chociaż on jest przy mnie, tak smutno, że głowę od niego odwracam i chcę już iść do domu, by móc płakać, chcę prędko iść do domu — — —

— Mam do was prośbę, towarzyszko Alicjo — rzekł żartobliwie Książę.

Przyszedł wcześnie, w południe, zaledwie zdążyłam się ubrać.

— Słucham — ?

— Niechaj się pani pięknie ustroi i przejdzie ze mną przez parę ruchliwszych ulic. Wyszedłem z domu bardzo obładowany, nie wiedząc, że dziś właśnie jest tak niespokojnie. Wprost przejść nie można, zwłaszcza w tej dzielnicy. Na kogoś, co idzie z kobietą światową, mniej zwracają uwagi i nie zatrzymują prawie nigdy. Ale może pani się boi — ?

— Cóż znowu —

— W żadnym razie nic większego pani nie grozi — a sprawa jest ważna i pilna. Bardzo nie chciałbym być zatrzymany — — to już, wyznam szczerze, nie ze względu na pilność sprawy, tylko na samego siebie.

Ubrałam się prędko i wyszliśmy razem z domu. Dzień był pełen zapachu wiosennego, cichej, miękkiej słodyczy, duszny od chmur przezroczystych, przysłaniających lekko biało-złote słońce. Od tej łagodnie radosnej atmosfery, od jasnych, suchych chodników,

pławiących się w świetle kamienic, dziwnie odbijały smutne, pełne niepokoju i przygnębienia twarze nielicznych przechodniów.

— Pozwoli pani wziąć się pod rękę? — spytał z pewną nieśmiałością. — Powinniśmy robić wrażenie pewnych siebie i sobą jedynie zajętych — —

Szliśmy lekkiemi, sprężystemi krokami, oboje młodzi i ładni. Było coś dziwnie smutnego i groźnego w tem wymijaniu niebezpieczeństw uśmiechami.

Jak zwykle przy nim, rozmyślałam z wesołą twarzą o bezgranicznym smutku mej miłości.

Nagle zadrżałam cała. Książę pochylił się ku mnie i, mówiąc coś, zajrzał mi w oczy zbliska i tak słodko, że serce załopotało we mnie z radosnej trwogi. Zaczerwieniłam się i szybko odwróciłam od niego głowę.

— Ach Boże, pani się pewnie rozgniewała — zaniepokoił się. — Przepraszam, doprawdy, ani mi przez myśl nie przeszło, że pani może się obrazić. Ale widzi pani, teraz z naszej roli wypływa ta *l'imitation de l'amour*...

Z wysiłkiem zbierałam smutne myśli.

— Ależ nie... Bardzo oryginalny jest ten flirt pod protektoratem bagnetów — —

— Tak niefortunnie zacząłem owo naśladowanie. Oto co z nas robi społeczna działalność — Z rycerzy stajemy się brutalami — —

Usiłowałam śmiać się także.

— Zdaje mi się — mówił dalej — że panią raziło też, gdy dziś na powitanie nazwałem panią towarzyszką Alicją i powiedziałem: wy —

— Przecież to jest powszechnie przyjęte — —

— Ale pani tego nie lubi — mam takie wrażenie. — Całym stylem postaci swej i zachowania odbija pani jaskrawo od powszechnego typu marksistki. Bardzo dużo jest w pani dawnych reminiscencyj, światowych nawyków, całej tej kultury zewnętrznej, która jednak posiada tyle wdzięku... Pani mimo uprzejmości swej — potrafi narzucić pewne oddalenie. Sam bardzo lubię tę właściwość pani, tę formę, z której treścią sympatyzować mi nie wypada — lubię ją zwłaszcza, gdy, jak dziś, może się ona stać bezpośrednio użyteczna. Ale zdaje mi się, że pani zmysłu społecznego nie posiada zupełnie, zainteresowanie się sprawą jest w pani czysto intelektualnej natury, narzuca sobie pani te rzeczy rozumowo. — Niekiedy nawet mam wrażenie, że jest to tylko kaprys przelotny, wesoła gra w niebezpieczeństwo...

— Jakże się pan myli — — rzekłam smutnie. — Przecież mnie pociągnęło do was takie wielkie, takie gorące ukochanie — —

Zdziwił się.

— Rzeczywiście? W takim razie umiała się pani opanować — — Przecież od pani bije wprost na daleką przestrzeń doskonały, konsekwentny chłód —

Patrzył na mnie z zaciekawieniem. Uśmiechnęłam się.

— Widzi pan — to tylko przyzwyczajenie z czasów mej smutnej młodości — —

W oczach naszych rewidowano przechodniów. Za każdym razem — przejęta mimowiednem zalęknieniem — przytulałam się delikatnie do silnego ramienia Księcia. Zaufanie budził we mnie jego spokój i swoboda.

— Czy pan się zupełnie nie boi? — zapytałam.

— Nie — — Posiadam tego rodzaju temperament, że trudno mi doprawdy wyobrazić sobie narazie konkretne niebezpieczeństwo. Później jednak, gdy na chłodno myślę o takiej chwili — to czasami aż blednę i oczy zamykam, by sobie nie przypominać — — Niema w tem ani trochę bohaterstwa, niestety...

Na jasnem niebie rozsunęły się delikatne chmury i czyste światło słońca lekko spadało na płyty betonu i lśniące dachy kamienic.

Książę kupił od ulicznej kwiaciarki mały pęczek fiołków ciemnych, prawie czarnych, bardzo mocno pachnących — i mnie je ofiarował.

— Dziękuję panu. — To dalszy ciąg *imitacji?* — spytałam.

— A czy inaczej nie przyjęłaby pani tych fiołków? — zapytał zkolei.

Milczałam, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi, i zaczerwieniłam się zupełnie nieświatowo.

— Co? no co? — powtórzył ze szczególnym uśmiechem.

— Nie wiem... nie wiem...

I chciałam powiedzieć: ach, jakże ja kocham ciebie, ty cudny, drogi, jedyny! — —

— Jestem tu już niepotrzebny — mówił Książę, patrząc w przestrzeń rozmigotanemi oczyma. — Wyjeżdżam do N. jutro rano.

— Na długo? — spytałam cicho.

— Nie wiem zupełnie. Ale tutaj nie wrócę w każdym razie. Od dwóch dni stale spotykam na ulicy pewną fizjognomję dosyć znajomą. Przez dłuższy czas nie mogę się tu pokazywać — — —

— I nie żal panu?

— Nie, dlaczego? — uśmiechnął się nawet. — Koleje życia obudziły we mnie atawistyczne instynkty nomada. Nie lubię nigdzie pozostawać dłużej nad parę miesięcy —

— Nie przywiązuje się pan do ulic, murów, ludzi?

— Mało... Zresztą wielu bliskich ludzi wyjeżdża tam też, niedługo po mnie. Żal mi będzie tylko tych godzin, które spędzam w miłej, abstrakcyjnej atmosferze domu pani — —

Boże, jak on to zimno powiedział. Stałam się nagle sztywna i oschła, sercu memu wstyd się zrobiło przede mną.

— Czy także Julja i Jan?

— Tego nie wiem, ale bardzo być może. W N. brak teraz ludzi. Za jakieś dwa tygodnie ma tam wyjechać kilkanaście osób.

Nie mówiłam nic. Spacerowałam po salonie, tłumiąc w sobie złość i płacz.

Książę jednak nie był zupełnie spokojny. Nie patrzył na mnie. Milczał przez chwilę, namyślając się nad czemś. Powoli zaczął mówić:

— Nie jest to zresztą jasne, słoneczne, wiosenne. Kryje się w tem dramat zasadniczy, nieodzowny. To, że ku ogromnej, marzonej, powszechnej miłości idąc, obrać musieliśmy drogę nienawiści, do powszechnego piękna — drogę brzydoty, do wolnego, szczęśliwego, nadewszystko ukochanego życia — drogę śmierci.

Zatrzymałam się zdziwiona.

— Więc — jednakże... Nawet pan — ?

— Pani już dawno odgadła: nie wierzę w jutro —

Serce drętwiało mi w poczuciu niepowetowanej utraty.

— Ale w walkę przecież, w walkę o nie — ? Mówił pan sam...

Książę przeczył głową.

— Nie w pożyteczność walki — —

— Boże mój — więc znowu w piękno bezużyteczności — zawsze — zawsze? —

— Przecież pani to tak dobrze rozumie... Z chwilą, gdyby osiągnięty został ostateczny cel — dobro, wolność, szczęście — te rzeczy, których ziszczenie

byłoby ich śmiercią... Cóż wtedy? — O jakże nie chciałbym zobaczyć tego dnia...

— Wprost uwierzyć nie mogę, by i pan wątpił — — Pocóż to wszystko w takim razie? — Rozmyślna mistyfikacja tłumów i narodów? Przecież to byłaby zbrodnia, samemu wątpiąc — — dla jakiegoś problematycznego, niewidzialnego słońca —

— Nie tak... Dlatego właśnie nie wątpię, że to ostatnie słońce jest niewidzialne. — I nie jako systemat naukowy pociąga mię ta idea, ale jako gigantyczny w swej utopijności rozumnej przejaw owej wiecznej, boskiej w nas tęsknoty do słońca niewidzialnego, jako wyłom prometejski w murze z głazów piramidowych, dzielącym nas od triumfu żyjących w nas potęg świętych, które w skromności magnatów zwiemy istniejącym gdzieś jeszcze poza duszą naszą — Bogiem... A czy za murem zwycięstwo już, czy cały system nowych murów — *n'importe!* — Niechaj błogosławiona będzie krwawa i królewska droga po ziemi okrągłej, droga do tego punktu marzonego w objawieniach ekstazy, punktu nieistniejącego, gdzie ziemia czarna i twarda styka się piersią swą z jedwabnym, promiennym namiotem nieskończonego nieba, gdzie leży konkretny horyzont, z którego oglądać można — ostatnie słońce —

Z pochyloną głową słuchałam formuły tej wiary, która odtąd będzie już jedyną moją wiarą. Upijałam się, jak narkotykiem, głosem, który hipnotyzował tłumy — i dusza mdlała mi z męki. Że utracę tego najmilszego człowieka, tę najbliższą duszę.

I długo, po raz ostatni wpatrywałam się w jego ukochaną głowę. Z bólem niewypowiedzianym konstatowałam przedziwną harmonję jego postaci, bajeczność nieuchwytną chmurnego i tajemniczego spojrzenia, niezapomniany wyraz ust, które tego wieczoru nie roześmiały się ani razu bez smutku.

— Może ty mnie kochasz, Jerzy, Jerzy — mówiłam w duszy na cały głos, po raz pierwszy nazywając go imieniem — i konałam z żądzy usłyszenia wyroku. Oczami zapytywałam głośno i wyraźnie. Nie odpowiadał. I przez cały czas pamiętałam, że jeżeli nie dzisiaj — to już nigdy.

Słyszałam, jak mówił jeszcze:

— Nie jesteśmy ludzie nowi. Należymy do starej, świetnej dynastji. Dlatego nie mam pogardy dla przeszłości i, odrzuciwszy ją, nie umiałbym już uklęknąć przed przyszłością. W posiadaniu naszem znajduje się krwawy spadek wszystkich rewolucyj, droga triumfalna, wyznaczona niezniszczalnemi, kamiennemi posągami Czynów — aż do dni ostatnich. I wszystkie kolosy jedną rozebrzmią pieśnią na powitanie wschodzącego słońca niewidzialnego. I wszystkie — aż do dni ostatnich — czekają napróżno wschodu — — — Ale nieugięte są i kamienne — i to, że stoją, wierzyć właśnie każe w to słońce niewidzialne, słońce bezimienne — bo tylko ono jedno mogło być źródłem tajemnem ich życia —

— A dla siebie, tylko dla siebie, co pan ma? — spytałam cicho po długiej chwili.

— Oprócz tych skarbów dynasty — jeszcze własne śliczne bogactwa: ogromnie kocham życie, fakt — niezupełnie zresztą dowiedziony — mego bytowania na ziemi. Każdy przejaw życia jest dla mnie rozkoszą, każda radość i smutek, triumf i lęk... Pomimo wszystko. Śmiech, spojrzenie, słowo — to wszystko, co skonstatować mi pozwala raz jeszcze, że żyję, wszystko, co z łańcucha zestawień i rozumowań pozwala mi wyprowadzić radosny wniosek: *ergo sum*... To jest dla mnie indywidualnie dostatecznym motywem i usprawiedliwieniem życia...

Słuchałam go bez zdziwienia, tylko ze smutkiem: że dla mnie nie ma nic...

— Jaki pan szczęśliwy — rzekłam banalnie.

Rozumiałam dobrze, że musi być szczęśliwy, skoro jest sobą, skoro nigdy ze sobą nie potrzebuje się rozstawać. Jakże ja sama byłabym szczęśliwą, gdybym zawsze mogła być z nim —

Odwróciłam głowę i brwi zmarszczyłam, by opanować łzy.

Pożegnaliśmy się przyjaźnie i chłodno. Stojąc u drzwi salonu, słyszałam, jak ubierał się w przedpokoju. Sekundy mijające uderzały mi w skronie, jak kamienie. Rozbrzmiał stłumiony zgrzyt zamku i zatrzaśnięcie drzwi.

I to było już nad moje siły.

Przez ciemny przedpokój jednym skokiem dopadłam drzwi wejściowych i otworzyłam je. Łzy, jak grad, sypały mi się z oczu.

Z czarnej jaskini klatki schodowej, nieco zdołu, zabrzmiały przyciszone, lecz wyraźnie niosące się słowa:

— Czy to pani?

Milczałam, tłumiąc płacz.

Powtórzył:

— Pani Alicjo, czy to pani?

Milczałam. Przeszedł parę stopni ku górze.

— Pani Alu — —

Otworzyłam usta, chcąc odpowiedzieć coś — i rozpłakałam się głośno.

Był przy mnie. Szukał mnie ostrożnie w ciemności, wziął za ręce.

— Pani Alu, co się pani stało? — pytał z niepokojem.

Czułam, że dokonywa się coś tak ogromnego, jak życie. Cicho wyszeptałam:

— Boże, Boże — czy pan nie wie — — —

Przelękłam się całego morza słodyczy i oddania, które było w tych słowach. Zamknęłam oczy, by nie widzieć nawet ciemności.

Przez szumiącą zasłonę z powietrza usłyszałam jeden wyraz tylko:

— Alu — —

Na ramionach i biodrach uczułam opasujące mię ręce i usta mocne, zwarte, śmiałe — na ustach moich. Delikatnie poruszyłam wargami, oddając ten pocałunek — —

Koniec.

Nigdy jeszcze nie był mi tak słodki ten dreszcz charakterystyczny lęku przed podróżą daleką.

Wczesnym, słonecznym porankiem wyjeżdżaliśmy z uśpionego miasta, przez nikogo nie żegnani. Miałam wrażenie, że w tej chwili dopiero naprawdę odchodzę od tych rzeczy, które już w duszy mej dawno umarły. I ani chwili żalu za porzucanemi bezpowrotnie dotychczasowemi formami życia, za jasnym, ładnym domem męża, za książkami i obrazami, za równą, spokojną drogą, za stylem i grą — ani jednej łzy.

Jechaliśmy w sześć osób. Z najbliższych mi znajdowała się między nami tylko Julka. Książę wyjechał już dawno, Teresa i Jan pozostali.

Wszyscy — prócz Julki — byliśmy dziwnie weseli. Po raz pierwszy uczułam się zupełnie z nimi zharmonizowana, zmieszana; dotąd miałam zwykle pewne wrażenie obcości, pozostawałam nazewnątrz. Teraz w zachowaniu mem nawet było coś z ich studenckiej dezynwoltury. W typie zbiorowym rozróżniać zaczęłam indywidua, odnajdywałam cechy, czyniące mi ich bliskimi. A duszę zapełniała mi radosna niecierpliwość bliskiej już końca tęsknoty, młoda ciekawość nowego życia, nowych słońc i nowej burzy.

I gdy po długiej, wielogodzinnej jeździe pośród równin łąk blado zielonych i malachitowych runi żytnich, zbliżaliśmy się do nieznanego, jak przyszłość kuszącego i tajemniczego miasta, gdy w tłumie nieznanych ludzi ujrzałam w białym blasku lamp oczekującego nas na peronie Księcia, zawołałam nagle:

— Julko, jaka ja będę szczęśliwa!

A ona objęła mię ręką, wolną od dźwiganej już walizy, pocałowała szybko — i cicho, tajemniczo prawie powiedziała:

— To nie jest szczęście, Alu, — to nie jest szczęście...

Pociąg zatrzymał się z gwizdem sygnałów i łoskotem. Prawie jednocześnie ujrzałam tuż przy sobie Księcia. Pierwszym porywem wiedziona chciałam rzucić się do niego, wyciągnąć obie ręce — lecz zesztywniałam nagle, skrępowana większem od radości zawstydzeniem.

W tym momencie, gdy w oczy jego spojrzałam, przypomniał mi się tak wyraźnie, że wprost fizycznie, czar niewypowiedziany tej nocy jedynej, nocy wyznania i pożegnania. Na piersi spadła mi duszność i słodycz nieogarniona. Ze spuszczonemi oczyma, z zasłoną rumieńców na twarzy, wyrzekłam gorącemi wargami:

— Dobry wieczór panu...

Za ręce prowadził mię przez cień wagonu i za innymi pomógł zejść ze stopni.

Przed dworcem rozdzieliliśmy się. Moi towarzysze podróży wraz z Julką odjechali naprzód. Do dorożki weszliśmy we dwoje z Księciem.

Bałam się chwili, kiedy ustaną kwestje z tragarzem, kwitami, adresem. Bałam się dowiedzieć, jak zdecydował Książę stosunek między nami. Nigdy jeszcze w tym stopniu nie zależałam od mężczyzny. Rolę moją, charakter mego znajdowania się tam — wszystko to on miał określić. Drżałam na myśl, że okaże się niedość subtelny i dobry. Bo wiadomo było przecież, że dla niego — do niego przyjechałam.

Konie ruszyły, dorożka potoczyła się lekko i cicho po nieznanej ulicy. Z obu stron rosły kasztany; niedawno rozwinięte liście świeciły się w płomieniach wtulonych w nie latarni. Niebo było blade, przecudnego koloru, drzewa pomimo zapalonych świateł zachowały szmaragdowość zieleni, ciemne kamienice wyciągały się w nieznajomą perspektywę. Wieczór był taki, że nawet w najodleglejszem wspomnieniu nie mógłby się wydać bardziej cudny.

Wtedy Książę powiedział:

— Będziemy zameldowani tutaj jako małżeństwo — czy to dobrze?

Milczałam.

— Jest pasport zagraniczny z nazwiskiem fałszowanem. Nominalnie przyjeżdżamy oboje prosto z Austrji. Przez te dwa tygodnie mieszkałem za miastem umyślnie. Tylko nie trzeba zapomnieć nazwiska. Dla wszystkich będziemy małżonkami Szwarc — dobrze?

Gdy nie odpowiadałam jeszcze, pochylił się ku mnie bliżej — i rzekł:

— Powiedz, Alu — —

Nie miałam siły podnieść nań oczu — i tylko wyszeptałam cicho:

— Dziękuję...

Jest mi tak, jakgdybym się znajdowała w obiecanej krainie miłości. W wieczory wolne od pracy chodzimy po pełnych mroku ogrodach i parkach tego miasta, po dalekich alejach i egzotycznych przedmieściach, gdzie stoją domki małe i błyszczą światła z drobnych okien przez siatkę liści szmaragdowych. Nad rzeką, płynącą w głębokiej dolinie, siadamy na trawie ślicznej, pełnej kwiatów, które u nas nie rosną, — i wodzimy młodemi, szczęśliwemi oczami po czarnej, cichej wodzie, szlakami przesuwających się w oddaleniu świateł łodzi i tratw. Od przystani, która leży nieco poniżej miasta, wiatr delikatny, prawie już letni, przynosi echo niezrozumiałe zmieszanych języków i półgłośną, daleką muzykę, dźwięczącą słodko na falach rzeki, jak perły, rzucane na taflę metalową. Czarny las przeciwnego brzegu dyszy cicho i kusi dziwną pewnością, która jest męką słodką największego szczęścia, że gdzieś, za wodami, istnieje konkretnie to coś, co na tym brzegu wyczuwać tylko możemy przez osłonę zmysłów, że tam rozkosz pocałunku można wziąć w rękę, jak kwiat, że tam muzyka, dająca upojenie cudniejsze jeszcze od miłości, dłonią dotykalną otworzy nam drzwi domu, zaczaro-

wanego śpiewem drzew legendowych, domu, gdzie ujrzeć będzie można i wziąć w siebie ten cud najdalszy, którego samo *nieistnienie na ziemi pojmowanie* daje już rozkosz większą, niżeli miłość — —

Siadamy do łodzi i płyniemy cicho po wodzie czarnej i świecącej. Z nieba opuszcza się na nasze upojone głowy cudna ciemność z aksamitu, olbrzymiemi, włochatemi łapami obejmuje nas, jak zwierzę łagodne, rozumne — —

Jestem szczęśliwa, jak wiatr, jak noc, jak natura — —

I wtedy pytam:

— Jerzy — Jerzy — czy to jeszcze jest życie?...

Wychodziłam w owej chwili przez otwarte drzwi sklepu z kwiatami, gdy złowrogo zaszumiał w powietrzu ten huk przeciągły, z niczem nie dający się porównać. Nie rozdzierał powietrza, tylko drżał w niem ciężko, jakby bijąc olbrzymiemi skrzydłami.

Zrozumiałam odrazu — i stałam bez ruchu, widząc w głębi ulicy wielką gwiazdę płomieni i słup dymu, sięgający dachów kamienic, wyczuwając całem ciałem ciężkie tętno powietrza. Miałam pewność, że znajduję się właśnie w obrębie tej straszliwej rzeczywistości, która się staje — i prędko, niecierpliwie, koniecznie czekałam, kiedy wreszcie już umrę. Nie bałam się ani przez chwilę — nie wiem dlaczego, — tylko było mi śmiertelnie smutno.

Gdy tylko zmilkł ten huk ogromny, matowy, majestatyczny — powietrzem zatargał zgrzyt bijących się szkieł i krzyk trwogi zbiorowej. Tłum wpadł w drzwi sklepu, wypełnił go i wepchnął mię w sam kąt, między słupy, wazony i pnącza egzotycznych kwiatów.

I wówczas zaczęło się to najgorsze. Raz po raz padał strzał — i ktoś tam, za ścianami walił się we krwi bulgoczącej — ktoś, co bał się i uciekał,

co w obłędzie nerwowego naprężenia stawał na samej krawędzi życia. I każdy nowy strzał wciąż nie był ostatni — długo, długo... Całą mocą dławiłam w sobie skowyt męki śmiertelnej.

Ze zgrozą pojmować zaczynałam, że jestem bardzo nazewnątrz tego, co się stało, że jestem bezpieczna zupełnie, gdy tam niedaleko umierają ludzie — i to samo czują, co jabym czuła, że oto myślałam o kwiatach dla kochanka—w tej samej chwili kupując je, gdy tam *także* człowiek szedł prosto w śmierć, jak w fascynujące płomienie, w każdym momencie mogąc przestać iść, szedł ze świadomością i wolą —

Nagle, blisko gdzieś rozległ się wrzask tak nieludzki i dziki, że nie mógł wydrzeć go z gardła żaden fizyczny ból. Do sklepu wprowadzono z dorożki jakąś panią drobną i delikatną. Nie była ranna zupełnie, tylko blada straszliwie i powieki miała mocno zaciśnięte. Wyprężonemi rękami odpychała otaczających ją ludzi i głosem dzikim, nienaturalnym krzyczała jeden tylko wyraz: *„widziałam“*.

Przedzierając się przez tłum, wyszłam ze sklepu. Nie strzelano już. Ulica była obstawiona i zamknięta. By dostać się do domu, musiałam obejść inną zupełnie dzielnicą.

I wtedy już wrażenie rzeczywistości odeszło ode mnie. Zaczęło się to, co jest w ulicznej opowieści tłumu, w dodatkach nadzwyczajnych pism, regestrach ofiar, schwytaniu lub ucieczce sprawcy, to wszystko, co jest chłodną grą pojęć oderwanych zupełnie, czystą fantazją na zadany, konwencjonalny, słowny temat.

Bo wszystko, co dzieje się daleko od nas, co dzieje się przed paru minutami lub za parę minut — wszystko takie dalekie jest od rzeczywistości. Zrozumiałam, że nie jest rzeczywistością to straszne zdarzenie, o którym wieść głośna w podskokach biegła po ulicach, któremu dała imię pospolite, dla wszystkich jasne. Rzeczywistością była ta potworność i niepojętość, co mi bladością jak maską ścisnęła twarz i w klatkę piersiową biła jak kamienie. Rzeczywistość była w tym krzyku: *„widziałam“*, który nie zawierał ani bólu, ani strachu, tylko *dotykalność skonstatowania*. Samo zrozumienie, jasnowidzenie parominutowe tego, co się staje — nie to, co się staje — jest rzeczywistością. Dlatego już teraz fantazją niezrozumiałą, obcą wydała mi się myśl, że w chwili, gdy dalekiemi, nieznanemi ulicami śpieszę do domu, plącząc się w sukni własnej, jak w sieci, w tej samej chwili ci tam leżą już zabici albo ranni szamocą się, chcąc oszukać śmierć, konają bez zapłaty, bez ostatniego słowa... Nie — nie rozumiałam już tego. I ogarnęło mię zdumienie, że w życiu tak mało jest rzeczywistości.

Myślałam już tylko o Jerzym. Biegłam prawie, by wcześniej go zobaczyć. Dawno już powinnam była wrócić do domu. Nie znając drogi, dwukrotnie zabłądziłam, mimo rozpytywania przechodniów.

Śmiertelnie znużona doszłam do domu. Przebiegłszy schody, otworzyłam drzwi.

Jerzy siedział w pierwszym pokoju, spokojnie, z głową pochyloną. Czytał książkę.

— Jakto? — nie wiesz, co się stało? — zapytałam, kładąc na stole przyniesione pomimo wszystko irysy.

— Wiem — odrzekł półgłosem.

Powoli podniósł głowę. Pod oczami miał dwa kręgi granatowego koloru. Szeroko rozwartemi źrenicami patrzył we mnie.

— Co ci jest, Jerzy? — ach Boże, Boże — mówiłam zdenerwowana.

Nie odpowiadał nic, nie ruszał się z miejsca. Z oczu jego, podrysowanych, jak farbą, nieruchomo wpatrzonych we mnie, z oczu, jakby powracających z nad krawędzi tamtego świata, zaczęły płynąć ogromne łzy.

I nagle uczułam dziki ból. Tym razem cała rzeczywistość, cała — — Zawołałam:

— Jezus Marja — ty — —?!

Wyciągnął obie ręce jak do obrony.

— Tylko nie mów — błagał najcichszym szeptem — tylko nie mów — — —

Z oczu rozsadzonych męczarnią nerwową, po granatowych kręgach i twarzy poszarzałej ciągle płynęły mu te łzy ogromne.

Przez dzień cały niebo zakryte było ciemnemi chmurami. Wieczorem dopiero zabłysło słońce przez smugę czystego lazuru, rozciągającą się nad widnokręgiem po stronie zachodniej. Na zasmucony świat spłynęła łaska.

Szłam z Jerzym przez most na rzece. Wracaliśmy do miasta. Słońce zachodziło za nami i różowawem światłem osypywało ogromny, roztaczający się przed wzrokiem naszym obraz. Na ciężkich, granatowych chmurach namalowane były dwie gigantyczne tęcze, podobne do zorzy, jaka się ukazuje w nieznanych nam, dalekich krainach. Pierwsza tęcza była żywa i jasna, druga delikatna, jak echo, utrzymana w półtonach, jakby dymem przesłonięta. Pod tęczami chaosem murów czerwonawych, błyszczących dachów, wieżyc matowych i złotych kopuł, kępami ciemnej zieleni i niezliczonością okien mieniło się w poziomych prawie smugach światła miasto. Rzeka, ciągnąca się w nieskończoność na prawo i na lewo, była ciemno-stalowa i cała zasypana czerwonawemi blaskami słońca. Pod mostem przepływały łodzie i berlinki z pochylonemi masztami. Nad samym brzegiem nieco wgórę rzeki bieliły się jasne,

ładne zabudowania przystani. Ponad miastem fruwało bezustannie stado gołębi. Były bardzo daleko i stawały się często zupełnie niewidzialne; tylko w niektórych nawrotach bezustannego lotu nadstawiały się słońcu, lśniły przez chwilę, jak pył srebrny na tle chmury granatowej, pod triumfalnym łukiem tęczy, i zaraz znikały znowu.

Zanim doszliśmy do miasta, słońce zaszło. Zaczęto zapalać światła.

Po ulicach skupiali się ludzie w niewielkich grupach. Odczytywali przyklejone na murach domów, zadrukowane arkusze papieru. W niektórych miejscach zdzierano odezwy. Martwe światło latarń rozpędzało soczysty, złoto-purpurowy zmierzch konającego dnia. Wkrótce zaczął padać deszcz.

Jerzy odprowadził mię do domu, przebrał się i poszedł. Coraz częściej powtarzają się noce, kiedy zupełnie nie wraca.

Bardzo wcześnie rano wpadł blady i zmieniony Bury.

— Książę jest? — bez przywitania zapytał.

— Niema.

Ciężkim ruchem opuścił obie zaciśnięte pięści na stół i głośno zaklął.

Spytałam zdziwiona:

— Co się stało?

— Nakryli wszystkich, cały komitet widać. Na miejscu, przy samej robocie... Myślałem, że Książę...

Urwał i rękę podniósł do szyi. Odetchnął głęboko, jakby zrzucić chciał ciężar nie do zniesienia.

— Wszystko znaleźli — dodał. — Taka wsypa —

Przyglądałam mu się napół przytomnie.

— Nie, nieprawda — rzekłam — przecież jegoby na pewno — powiesili — —

Burego nie przekonał ten argument. Nie odrzekł nic, tylko zaklął znowu. Stał w miejscu, bez ruchu i patrzył na mnie zupełnie dziko, zatopiony w nagłej zadumie. I dopiero w tych ponurych oczach zaczęłam czytać rzeczywistość...

Krzyknęłam z przerażenia i obiema rękami schwyciłam się za głowę. Przejął mnie nagle ból tępy,

jakby stary bardzo i tylko na nowo rozdarty. Zdumienie jakieś ciężkie i męczące, że dotąd nie wiedziałam, nie czułam tego dawno.

— Jerzy! — zaczęłam wołać — Jerzy! —

Ten wielki, brutalny robotnik przysunął się do mnie i miękkim, drżącym głosem mówił:

— No, dajcie pokój, dajcie pokój... coś się zrobi chyba...

Stał chwilę bezradnie. Potem cichemi krokami zwrócił się ku wyjściu. Od drzwi powiedział:

— Zaraz tu będzie towarzyszka Julja. Powiem jej.

Wyszedł i zamknął drzwi delikatnie.

Gdy zniknął, doznałam na chwilę wrażenia, że nic się nie stało. Zdawało mi się, że Bury wcale nie przychodził. Wierzyłam w to.

Rozejrzałam się po pokoju. Nagle z przedziwną jasnością skonstatowałam, że Księcia niema i że już nie wróci.

Uczułam, że powietrze rozsuwa się i płynie jasno, jak woda. Chciałam jeszcze uchwycić się czegoś — —

Nie pojmuję zupełnie, jakim cudem tak olbrzymie nieszczęście może przyjść z zewnątrz, to znaczy zupełnie bez zgody mej woli, bez mego upoważnienia. Nie pojmuję, kto śmie poddawać mię torturze, na której odczucie nie wystarczają już moje zmysły. Męka większa jest, niż moja zdolność reagowania na nią. I najstraszniejsza jest ta nadwyżka bólu, to coś potwornego, co zachodzi we mnie poza mą świadomością. To coś, czego nie rozumiem, czego nie czuję już, tylko przeczuwam, domyślam się wyobraźnią męki.

Błąkam się po tem obcem, nieznajomem mieście. Chodzę do dziwnych, niepojętych ludzi i staram się wytłumaczyć im to, czego sama dobrze nie rozumiem. Że przed śmiercią muszę mu powiedzieć coś najważniejszego, że, to jest takie konieczne, jak wszystkie prawa natury. Ale tych ludzi nie obchodzi to zupełnie.

Są bardziej zimni i twardsi, niż ten mur, tak dobrze strzeżony. Nie pozwalają mi nawet dotknąć tego muru.

Znają mię już — i wiedzą, że proszę napróżno — i jak żebraka nie dopuszczają nawet do drzwi. Stoi tam zawsze jeden człowiek. Może jest on inny za każdym razem — ale zawsze ma jednakowe ubranie,

jednakową broń i jednakowe serce, obojętne serce, do którego niema drogi.

Czasami stają się rzeczy potworne, oni śmieją się wtedy ze mnie, śmieją się wtedy, kiedy ja w obłęd wpadam ze śmiertelnego bólu. Śmieją się z mego krzyku i bezużytecznego uporu. — Odchodzę — głośno płacząc na ulicy — i gdzieś po drodze tracę przytomność i ktoś odwozi mnie do domu.

Nie widzę go, nie mogę go zobaczyć. I to jest tak straszne, że chwilami wydaje mi się jeszcze straszniejsze od samej tej śmierci. Wydaje mi się, że gdyby mi pozwolili go zobaczyć, to już później zgodziłabym się na wszystko, na wszystko — —

Ale to chyba dlatego, że jeszcze nie wzięłam w siebie całej prawdy tego *wszystkiego*...

Dziś przyszła do mnie śliczna, maleńka blondynka o surowo zaciśniętych usteczkach i owalu twarzy, jak na obrazach Burne-Jonesa.

Przyjechała świeżo z dalekiego centrum cywilizacji. Przyjechała zupełnie, jak anioł dobrej wieści. I tak dziwnie wygląda przytem ze swą dziecinną powagą i surowością.

Jest nadzieja, że Jerzy i żaden z tamtych nie umrze — — — Takie cudne...

Całowałam tę dziewczynę w jej zaciśnięte usteczka, jak nigdy dotąd żadnej kobiety. Jakgdyby to ona uczyniła, że jest możliwym ratunek. Za to tylko, że przyniosła tę wieść.

Ciężkie roboty i dożywotnie osiedlenie. Jakimż rajem wydaje mi się ta nadzieja na tle dni minionych!

Pojadę razem z nim — i wtedy staniemy się dla siebie wszystkiem. Młoda jestem i kochająca bez granic. Wszystkie moce duszy przekuję w żelazo. Boże mój — czemże są dla nas warunki zewnętrzne, oddalenie od ognisk kulturalnego życia? Z naszem ukochaniem dla piękności myślenia, ze zdolnością wyswobodzenia się z pęt czasu i przestrzeni, z umiejętnością przerzucania się jednem napięciem woli na

tamten brzeg szerokiej rzeki życia, gdzie niema radości dlatego tylko, że niema smutku, a dusze stapiają się w boskiej, syntetycznej, beznamiętnej ekstazie — my żyć tam będziemy obok nieskończoności, młodemi oczami zapatrzeni w wieczność. Ze ściągniętemi brwiami czytać będziemy mądre, wielkie księgi ludzkości, ewangelje wszystkich czasów i narodów — i weźmiemy w siebie wszystko, co nieśmiertelne.

A kiedyś — może — kiedy już przezwyciężymy w sobie ludzi — może jutrznia świata całego stanię się naszą jutrzenką —

Jakże cię kocham za tę nadzieję, śliczna, jasnowłosa dzieweczko, młodziutka i surowa towarzyszko Wiero. Żadna jeszcze kobieta bardziej nie wydała mi się siostrą.

Gdy w nierozumnej radości ściskałam ją za ręce, podniosła na mnie swe ciemne oczy, ujęte w skośne i jakby za ciasne powieki, jak u Japonek, i spytała:

— To wy może jesteście narzeczoną Księcia?

— Ja — odrzekłam — i zarumieniłam się z radości, że to wszystko jest rzeczywistość.

— Kochacie go bardzo? — spytała jeszcze i uśmiechnęła się po raz pierwszy, jasno i łagodnie, jak do dalekiego dnia —

— Tak — odrzekłam znowu.

Ona pomyślała chwilę, poprzednia surowość rozlała się na jej twarzy.

— A — no — wyobraźcie — mnie przed rokiem powiesili narzeczonego... Bardzo kochałam go — także —

Odsunęłam się od niej z przerażenia.

— I wyście to — przeżyli?...

— Chorowałam długo... I teraz już — — I jeszcze jedno zmieniło się we mnie: pierwej, jeżeli robiłam co, to z miłości — dla niego, dla nich, dla dnia jutrzejszego — a teraz nie kocham nikogo, ani ich, ani sprawy... Tylko przez zemstę — z nienawiści... Pojmujecie?...

Skinęłam głową, chociaż tak trudno było mi zrozumieć...

— Mówią, że nienawiść zło tylko rodzi... To nieprawda. Nigdy przedtem nie było we mnie tyle ognia, tyle ofiary i odwagi, nigdy tak bardzo nie umiałam zapomnieć o sobie... I jeszcze dla jednej rzeczy nie może być złą nienawiść: ponieważ rodzi się z wielkiej, wielkiej, zabitej miłości — —

Zamilkła. Rozumiałam już, dlaczego ma tak surowo zaciśnięte usta, chociaż oczy jej patrzyły na mnie smutno i niewinnie, jak oczy dziecka...

Przecież powinni znieść karę śmierci. To jest takie proste i naturalne, takie ludzkie.

Opowiadają tu straszne zdarzenie. W jednem z miast, leżących dalej na południe, schwytano pewnego pana i miano go na zasadzie jakichś podejrzeń rozstrzelać bez sądu. Żona jego natychmiast poczyniła odpowiednie starania u wyższych władz i uzyskała rozkaz, odwołujący tę egzekucję. Jednakże żołnierze, pomimo otrzymania rozkazu, zawlekli owego pana za miasto i uczynili symulację egzekucji, strzelając doń ślepemi nabojami. I człowiek ten oszalał.

Zdaje mi się, że wszyscy skazańcy w tym ostatnim momencie stają się obłąkanymi. I to jest zupełnie zrozumiałe. Gdyby minuty takie przeżywał człowiek normalny, to dla umożliwienia tej potworności cała ziemia musiałaby rozbić się w kawały.

Powinni koniecznie znieść karę śmierci. Nie dlatego, że pozostaje wtedy zasmucona rodzina, dzieci głodne albo młoda kochanka. Nie dlatego, że zabiera się społeczeństwu ludzi silnych. Że z zewnątrz, niekoniecznie, nienaturalnie narzuca się śmierć młodym, mogącym jeszcze żyć organizmom. Że dla drobnych, efemerycznych celów życia nie można po-

sługiwać się tem, co większe jest od życia i ogarnia je sobą. Ani, że śmierć jest ogólnym wrogiem istnienia i cała ludzkość żyjąca musi się ponad wszystko przeciwko niej jednej łączyć i bronić.

Nie dlatego — bo te rzeczy są konwencjonalną kombinacją najrozmaitszych abstrakcyjnych pojęć, których doprawdy nie rozumiemy, nieuchwytną fantasmagorją.

Powinni wziąć pod uwagę tę jedyną, prawdziwą rzeczywistość: męczarnię, przechodzącą siły ludzkie, męczarnię skazańca, który staje się obłąkanym, czarność niezatartą tej godziny w nieskończonościach czasu —

Czekałam wieści — jak życia, jak nieskończoności, jak Boga. Czekałam długo. Byłam poważna i spokojna. I nie myślałam, jaka będzie ta wieść — żeby jej nie przerazić. Byłam poważna, spokojna, mówiłam cicho i chodziłam na palcach — żeby jej nie przerazić. Żeby na złą nie zamieniła się po drodze — —

...I tylko zobaczyłam poczerniałą, jak ziemia, twarz Julki — i oczy rozszerzone trwogą dziką i bólem uwierzenia w niemożliwość...

Byłam już na samem dnie tych myśli przeklętych, zabijających. Oczy miałam zmęczone śmiertelnie od bezustannego patrzenia w ciemność nieprzebitą. Szłam w pogodny wieczór na brzeg uroczy tej rzeki czarnej, płynącej — tej samej — by sobie przypominać. Na kirach haftować białe kwiaty żałoby niewymownej, niepojętej, śmiertelnej.

Usiadłam na wilgotnej trawie, młodej i świeżej jak życie. Czesałam ją palcami, jak grzebieniem, wydelikaconemi zagłębieniami dłoni wyczuwając jej lepką aksamitność. Patrzyłam na wodę i las po tamtej stronie. I jak wtedy zapytałam cicho:

— Jerzy — czy to jeszcze jest życie?...

Łzy waliły mi się z oczu tym niezmęczonym, niewyczerpanym strumieniem, który mi wypija resztki wrażliwości na mękę dni potwornych. Ciemność taka sama, jak dawniej, brała mi głowę w swe wielkie, włochate łapy i łagodziła ogień, palący moje udręczone oczy.

Niedaleko mnie do łódki wsiadł mężczyzna, w którym z charakterystycznej sylwetki domyśliłam się towarzysza. Dziewczyna, która pożegnała się z nim na brzegu, szła teraz wolno w moją stronę —

nad samą rzeką. Przestałam płakać. Gdy zbliżyła się, poznałam Wierę.

Zgodnie z obowiązującym zwyczajem, nie przywitałyśmy się. Ona wyminęła mnie i poszła dalej, w stronę miasta. Po krótkiej chwili jednak wróciła się i w milczeniu siadła obok mnie.

— Jaka noc — rzekła półgłosem, z ową tęsknością, charakterystyczną dla jej narodowości.

Nic nie odrzekłam, by po głosie nie poznała płaczu, i delikatnie odwracałam twarz w inną stronę. Opanowawszy się zupełnie, powiedziałam w formie objaśnienia, jak najchłodniej:

— W tem miejscu siadaliśmy do łódki, żeby jechać na tamtą stronę.

Skinęła głową na znak, że zrozumiała.

Milczałyśmy długo. Od przystani dochodził gwar zmieszany i słodka, gorąca muzyka. Gdy umilkła — z nieprzebitej ciemności nocnej, z pod lasu, rosnącego na tamtym brzegu — powoli przypłynęła do nas daleka pieśń, smutna ogromnie.

Nowy napór żalu uderzył mi o piersi — i wybuchnęłam głośnym płaczem. Ale natychmiast znowu przestałam płakać. Wiera bez ruchu patrzyła na rzekę. Potem spytała:

— Czujecie, jak pachnie trawa i woda?

— Pachnie...

Znalazła w cieniu rękę moją, przegarniającą trawę, położyła mi na niej swoją maleńką, miękką dłoń, jak u dziecka. Ani jednego słowa pociechy i współczucia, żadnego z tych zapytań troskliwych, które

w sobie zawierają już odpowiedź straszną. Tylko głosem poważnym:

— Alicjo — —

Zadrżałam po samo serce i w męce bezgranicznej położyłam twarz na jej kolanach. Przez łzy płynące wyszeptałam:

— Siostro...

Dzień ten, na który długo czekali. Najstraszniejszy ze wszystkich dni.

Miasto opustoszałe, przerażone mury, okna zamknięte. Po ulicach tętnią dzikie tabuny przelatujących koni. Z oddalonych dzielnic miasta słychać strzały.

Słychać je od samego rana. Za każdym hukiem walą się ludzie i z ciał rozdartych płynie żywa, czerwona krew.

Wolną ulicą idzie wielki tłum, czarny, zmieszany. Niosą krwawy, porozdzierany emblemat cierpienia i wolności i śpiewają swoją tragiczną pieśń wojenną. Śpiewają wszyscy — mężczyźni, kobiety, mali chłopcy. Żydzi, o których słyszałam zawsze, że boją się wszystkiego, idą w pierwszych rzędach, śpiewając. I melodja ogromna, szeroka, niezgrana, pełna zgrzytów i dysonansów, płynie, hucząc, pod ciężkie chmury, jak nieobjęty, zbiorowy jęk rozpaczy, opowieść straszliwa, pomsty wołająca, o niewypowiedzianych cierpieniach, o zbrodni potwornej przeciwko jasnemu życiu.

Wiem już, że ból ten był dawno, dawno ogromnie. Widziałam go zawsze naokoło siebie. Odkąd wszedł we mnie, zrozumiałam jego potęgę.

Dziś już rozumiem ból głodu, kiedy wygląda przez pobielałe od żaru pieców oczy pracowników. Słyszę żelazny jęk fabryk, olbrzymów wziętych w niewolę i zamienionych okrutnie w piekielne, wyszukane narzędzia tortury, słyszę krzyk przerażenia, płynący z głębi kopalń, skąd konie nie wychodzą nigdy, a ludzie tylko w nocy, gdy niema słońca. Rozumiem ból straszny krwią oblanych, w kajdany spętanych miast. Czuję stłumione łkanie ziemi, pokrytej zbożem, trawą i kwiatami, ziemi pokrajanej i zabranej. Rozumiem dziką trwogę nocy, które patrzą na nędzę beznadziejną, ten grzech straszny przeciw radosnemu misterjum życia, — rozumiem smutek dni, oświetlających ślady potwornych wydarzeń, które zaszły pod osłoną nocy. Mam w sobie samej ogromny płacz natury męczonej, natury kochającej życie, a osaczonej zewsząd przez śmierć i zniszczenie — —

Szłam chłodnym, dżdżystym wieczorem, oszołomiona strasznemi scenami, oglądanemi przez dzień cały.

Od Julki dowiedziałam się, że przyjechał Jan. Mieli być wszyscy w zwykłym punkcie zbornym, na krańcu miasta, późnym wieczorem. Szłam do nich z innej zupełnie dzielnicy, kryjąc się instynktownie, unikając czarnych plam tłumu, zatykając uszy na ostry łoskot strzałów, dochodzących ze wszystkich stron.

Przechodząc przez jakiś niewielki placyk, znalazłam się nagle, zupełnie niespodzianie, wewnątrz dziwacznego zamętu, którego treść pojmowałam powoli. Czas jakiś biegłam z tłumem, nie widząc nic naokoło. Po chwili skonstatowałam, że jestem w małej grupie ludzi, w większej części złożonej z kobiet, która wpadła ogarnięta paniką w ulicę zewsząd zamkniętą. Dwa rzędy domów fabrycznych z okratowanemi, wysoko umieszczonemi oknami przecięte były parkanem z ciemnego, gładkiego drzewa. W ulicy tej, z której nie było wyjścia, paliła się jedna tylko latarnia z rozbitem szkłem i biegającym za wiatrem płomieniem, podobna do rozdartego serca. U wylotu ulicy słychać było tętent szybko biegnących, zbliżających się z każdą chwilą koni.

Czułam wszystkie serca pod samem gardłem, wszystkie oczy, wydzierane przerażeniem z orbit —

Biegliśmy jeszcze, wysiłkiem fizycznym dając sobie złudzenie możliwości ratunku. Ale stało się tak, że nie było już gdzie biec i poco —

Nagle krzyknął ktoś:

— Brama!

W wielkim murze czerwonym czernił się czworokąt bramy. Tłum rzucił się, napierając na wrota. Zamknięte!

Szarpią dzwonek, biją pięściami. Cisza. *Tam niema nikogo*. Cisza nieporuszona. Tylko tętent kopyt — coraz bliższy — bliższy —

I wszystko tak strasznie prędko się dzieje.

Pamiętam, jak Rachilde cisnęła się do nagiej skały, wierząc, że tam wewnątrz jest zamek — ludzie — zwodzone mosty. A to była tylko skała — gładka i nieprzenikniona — bez drzwi, bez okien —

Taka sama męka. Tłum piersią wpiera się w bramę, szarpany szaloną, nierozumną już żądzą — złamania płyt z żelaza. — Stróż uciekł widocznie w ogólnej panice. I jedno wiemy tylko: że *tam niema nikogo*.

I jest już teraz milczenie, jak kamień. Ucichły nawet półgłośne okrzyki przerażeń. Postacie podobne do wizyj, o twarzach białych z męki, stłoczone, rozpłaszczone na murze — —

I coraz bliżej jest ta chmura nieuchronna. Widać już małe zwierzątka o oczach rozumnych, prędko przebierające małemi nogami, jak przepiórki. A ponad zwierzątkami leci zupełnie niezrozumiały, strasznie dziki krzyk. A ponad krzykiem jakby niematerjalne, półokrągłe błyski w powietrzu, błyski odbite z tej latarni, podobnej do rozdartego serca.

Czekamy bezsilni, nieruchomi, wystawieni na twarde ostrza z żelaza, podkowy z żelaza, dusze z żelaza — —

Chwila jeszcze — a na barki skulone, na oszalałe z przerażenia głowy, pochylone tym gestem bezbronnym, którym ptaki w trwodze głowę chowają pod skrzydło, na ręce nagie, ciemne, elementarnym odruchem samoobrony uniesione wgórę lub zakrywające oczy zamknięte, delikatne — spadnie to coś potworne, nieludzkie, niepojęte — —

I wtedy od tłumu odłączył się człowiek, jeden czarny, nikły człowiek. I uczynił parę miarowych kroków naprzeciwko tego, od czego wszyscy inni uciekali. Stanął spokojnie, lewą rękę założył za siebie, prawem ramieniem zwrócił się ku nadjeżdżającym i gdy pogoń była już zupełnie blisko, powietrzem zatargał szereg strzałów. Gdy zmilkł, zagrzmiały inne. Wtedy czarny człowiek przewrócił się na ziemię.

Klęczałam nad umarłym i rękę trzymałam mu na czole. Czułam krew.

Tamci strzelili raz jeszcze i odjechali, wlokąc wolne konie i unosząc trupy.

Klęczałam i nie mogłam wstać. Widziałam dziwną twarz, oczy niedomknięte, bezgłośnym okrzykiem szeroko, nieco w bok, otwarte usta. Wierzyć nie chciałam, ale widziałam przecież: to był Bury.

Nikt nie płakał. Wkoło szumiały ciche słowa, których nie rozumiałam.

Dwaj mężczyźni zabrali ciało. Z początku szłam jeszcze za nimi. Ale wszyscy rozpierzchli się przy pierwszej przecznicy.

Siedziałam długo, skulona, ukryta za wyskokiem muru, bezsilna i nieprzytomna. Później wstałam i zaczęłam iść sama przez opustoszałe, grozą przejęte miasto. Dziwacznie i niepokojąco wydłużały się wokoło niepojęte perspektywy. Szłam, jak przez miasto umarłych. Nikt nie śmiał tej nocy ukazać się na ulicy, bo każdy powinien był być zabity. Szłam jak przez miasto zbrodni. Kryłam się po niszach bram i przytulona do cienia lustrowałam tunele ulic. Nie widząc nikogo, przebiegałam przestrzeń, dzielącą mię od następnej bramy. I znów się kryłam wyczekująca. Wciąż tak samo. Zdawało mi się, że do nieskończoności.

Łowiłam uszami tętno ciszy. A potem zrozumiałam, że jest to szmer daleki rytmicznych kroków. Zrozumiałam, że *idą*. Przytuliłam się do cienia niszy, wtuliłam w mrok. Trwoga przepełniła mi gardło i oczy. Zaczęłam cicho płakać, żeby mnie nie zabili.

Nie chciałam jednak umierać — nawet teraz. Chociaż smutek był przecież taki nieskończony, taki beznadziejny. Ale coś żałośnie jasnego stawało jeszcze pomiędzy mną a śmiercią: kochanie życia.

Oparta o mur zimny, patrzyłam cicho. Zbliżali się, węsząc oczami po stronach. Nie dojrzą może. Taka jestem mała. Taka strasznie maleńka, jak atom cienia.

Byli już blisko, ale szli jeszcze. Nagle rozległ się długi, przyciszony świst. I stanęli — prawie naprost bramy. Patrzyłam bez ruchu. Nie zobaczyli mnie jeszcze. Patrzyłam na zdarzenie dziwne.

Prócz nich i mnie znajdował się tu jeszcze jeden człowiek. Niemłody, tęgi pan stał na balkonie przeciwległej kamienicy, tuż nad ulicą. Stał spokojny, zaciekawiony, obserwując coś daleko w cieniu. I w tej chwili zrozumiałam, czego on nie zrozumiał: że to jego zobaczyli i dlatego stanęli. Nie zdążyłam krzyknąć, kiedy strzał padł. Niemłody pan upadł, zawadzając jeszcze głową o poręcz żelazną. Czernił się wielką masą między ozdobnie wyginanemi prętami. A oni jeszcze stali.

Była cisza. Nie krzyczałam zupełnie. W osłupieniu patrzyłam na nowego trupa.

Po chwili z otwartych drzwi balkonu wysunęła się ręka, tylko ręka, biała w ciemności, — i usiłowała wciągnąć ciało wewnątrz. I wtedy — Boże, Boże — oni strzelali jeszcze do tej ręki, do tej bladej, biednej, takiej okropnie przerażonej ręki.

Doczekałam, aż odeszli. I znowu iść zaczęłam przed siebie, chowając się w bramach, prześlizgując pod murami.

Weszłam do nich, jak do podziemi. Od wejścia otoczył mię smutek złowrogi — zwyciężonych. Stali grupami, nie patrząc sobie w oczy, mówiąc rzeczy twarde, nieprawdziwe, w które sami wzajemnie nie wierzyli.

Tylu przecież nie przyszło na umówioną godzinę.

Zapytywali mię o jakieś rzeczy. Odpowiadałam, lecz sama bałam się pytać.

Julka trzymała mię przy sobie, ściskała mi ręce.

— Tak się lękałam, że nie przyjdziesz — mówiła.

Gdzieś za wielkim stołem siedział Jan. Nie witał się po długiem niewidzeniu, tylko patrzył na mnie przerażonemi oczami. Zaczęłam wolno iść ku niemu — i z twarzy jego czytałam bacznie, głodnie wspomnienia najpierwsze — wieczór dawny, obrazy wyraźne zdarzeń — — Słowa jasne zagrały:

C'est l'étoile d'amour,
C'est l'étoile d'ivresse — —

— Wiecie, że Jerzy — zaczęłam mówić do Jana — i urwałam. — To wszystko ciągle jeszcze jest życie — zakomunikowałam mu ze zdziwieniem.

Chodziłam po tem mieście klęski i nicestwa. Bezludne ulice i place, domy napół zwalone, okna, jak wyłupione oczy. Na mokrym, ciemnym bruku snuje się wojsko grupami. Są wszędzie.

Po pustym placu, który był niedawno widownią masakru, błąkał się tu i owdzie wysoki, zgarbiony pan w długim saku z nastawionym kołnierzem, w binoklach na nosie, z długą, białą brodą.

Zdawał się uważnie oglądać zabłocone kamienie bruku — każdy zosobna.

Gdy go mijałam, podniósł na mnie wyblakłe, głupie i ufne, jak u owcy, oczy.

— Czy pani czasem... — zaczął. — Przepraszam, że się ośmielam — ukłonił się z błazeńską galanterją — — Ale czy pani czasem nie widziała mego kalosza? Przedwczoraj, kiedy tu się na tłum wysypała konnica — ja tu nic, ja tylko myślałem, że dostanę się na dworzec, bo mi było bardzo pilno do ...ńska. Żona, dzieci — czekają tam, niespokojni... W moich oczach starej kobiecie czaszkę na dwoje... i mózg... Gdyby pani wiedziała...

Mówiąc, z przerażenia obie ręce podniósł do głowy.

— Uciekałem z tłumem — naturalnie, nie mogłem uważać. — Czułem ich na plecach. Tłum pchał... Zgubiłem kalosz. Jeden mam, a drugi zgubiłem... I — czy pani szanowna da wiarę? — napróżno szukam tego kalosza już dwa dni. Chodzę, przepatruję każdy kąt, miejsce koło miejsca — i niema... Jeden jest, drugiego niema. Oni — wskazał żołnierzy — nic mi o to nie mówią, dobrzy są, tacy łagodni. — Szukaj sobie kalosza — powiadają — ty stary durniu. — I nic, żeby choć który co... A przecież mogliby strzelić — tak, bez niczego — niktby im za to przecież nie ten... A żaden nie strzela... Stoi, patrzy — nie strzela... Dobrzy tacy, wiedzą, co i jak... Bo ja, broń Boże, nie żaden jaki buntownik, ja tylko na dworzec, bo tam żona... A teraz szukam — —

Obejrzał się po ziemi.

— Czy pani czasem nie ten?... Szukam i niema... Jeden jest, a drugiego niema... A tak mi się przecież śpieszy do ...ńska... Żona tam każdego dnia, na każdy pociąg — boi się — — Ale bez kalosza przecież nie mogę...

Odeszłam prędko, nic nie mówiąc.

— Jerzy, boję się — rzekłam nagle prawie i głośno — i zaniosłam się od płaczu na ulicy. I szłam przed siebie, słaniając się od łkań, przez morze łez, wypatrując drogi do — muru, do tego muru — —

Robiło się ciemno i deszcz padał coraz większy. Chodziłam, jak zwykle, wokoło gmachów więzienia, znajdując jakieś najsłabsze echo radości w tej myśli, że Jerzy jest na pewno w obrębie czworoboku, który nakreślam swemi krokami. Rozstawione u bram warty nie zwracały już na mnie uwagi, podobnie, jak na owego warjata, który szukał kalosza.

Szłam z głową pochyloną, zapatrzona w płynące po chodniku strugi wody. Ubranie miałam przemokłe i było mi strasznie zimno. Przelotnie pomyślałam, czy to, co czynię, nie jest równie głupie i nieprzytomne, jak szukanie kalosza. Spostrzeżenie to wydało mi się jednak mało ważne.

Ktoś minął się ze mną. Nie widziałam tego człowieka, tylko słyszałam jego ciężkie stąpania. Przechodząc koło mnie, powiedział coś prędko, czego nie zrozumiałam w pierwszej chwili. Gdy uszłam parę kroków, dźwięki usłyszane powiązały się wyraźnie w te słowa:

— *Jerzy R. pozdrawia panią...*

Stanęłam zdumiona i przerażona. Patrzyłam za siebie. Daleko przesuwała się czarna figura między rosnącemi tu olbrzymiemi drzewami. Jednocześnie bliżej jękła przeciągle więzienna brama. Warty majaczyły w ciemności nieruchome, jak skamieniałe. Cicho pluskał deszcz.

...Co to się stało? Kto powiedział te słowa?... Czy to Jerzy naprawdę przesłał mi przez żywego człowieka swe pozdrowienie ostatnie, głos ukochany z tego murowanego grobu?... Czy to — *było?*

Chciałam wrócić się i gonić za tym człowiekiem, chociaż nie było tam nikogo, prócz żołnierzy. Ale nie mogłam iść. Powietrze znowu rozsunęło się, wielkie, rozkołysane światło płynęło z łoskotem zabijającym, drzewa kiwały się, jak ogromne głowy — — Nie mogłam uciekać...

Marzą mi się wszystkie złote, jasne, królewskie legendy — te cudowne ułaskawienia w ostatniej chwili, przed samą egzekucją. Na koniu zdyszanym giermek jasnowłosy wiezie list, życie wieszczący. I przeżywam dreszcz radości nieludzkiej, rozsadzającej piersi...

A później te inne — smutne, czarne — gdy giermek jasnowłosy nie zdążył, gdy koń biały, drżący nogę cienką złamał na kamienistej drodze — i wieść o chwil wielkich kilka przyszła za późno —

Dziś — o godzinie piątej i pół.

Nie śpię, jak ty, jedyny. Zamknięta jestem na klucz w pokoju — sama, jak ty, — i tylko zegarek jest ze mną — żebym wiedziała.

Nie śpię przez całą noc, by przeżyć taką samą, taką samą mękę — chociaż wiem, że nie potrafię. Przez cały czas myślę o tobie, kochany, maleńki mój — i tylko smucę się, że ty nic o tem wiedzieć nie możesz. I tak płaczę, jakgdybym dotąd jeszcze wcale nie płakała i miała wszystkie swoje łzy.

Myślę, że teraz żywy jesteś jeszcze i że to czujesz, o czem nawet oddalonego wyobrażenia ja znieść nie mogę. I o twoich oczach myślę i o ustach — i o tem, że jesteś przecież taki ładny. I pamiętam, że ty nie jesteś takim niezrozumiałym bohaterem z opowieści dawnych, który z uśmiechem pańskim, łaskawym, wita śmierć dla idei. Wiem, że jesteś taki zupełnie, jak każdy żywy człowiek, że nadewszystko, że tak ogromnie lubisz życie. I dlatego taka ludzka, taka rzeczywista jest dzisiaj twoja męka, maleńki — i dlatego żałuję tak ciebie, jakbym siebie żałowała.

Patrzę na zegarek — wiem w każdej chwili, która jest godzina. I sama nie pojmuję już, czemu pragnę,

by ta noc trwała jak najdłużej — bo przecież sekunda każda tej nocy, przez ciebie przeżyta, przechodzi wszystko, co w obłędzie maligny najpotworniejszego stworzyć może wyobraźnia — —

— Jerzy — maleńki mój... Ja myśleć o tem nie mogę... Ty teraz płaczesz może z żalu za życiem, z trwogi przed *tem,* — ty może łudzisz się jeszcze, cudu czekasz — może płaczesz sam w tym ciemnym, małym pokoju — i paznokciami w bezradnej rozpaczy drapiesz cegły twarde, które nieporuszone stoją tak mocno pozlepiane — i patrzysz wgórę na blade, zakratowane niebo nocy wiosennej i łowisz uchem rytm kroków chodzącego żołnierza — i czekasz próżno, czekasz bezustannie wybawczej, zmieszanej burzy głosów ludu zbuntowanego — — Bo wobec twojej męki, Jerzy, żadna ofiara nie byłaby za wielka... I nie wiesz, nie wiesz, żeśmy już wszystko zrobili — i więcej już nie można. I że już do samego rana, do samej tej strasznej, niepojętej godziny — nie stanie się już nic — nic — —

Gdybym ci choć jedno słowo posłać mogła... Ach — nachylić się teraz nad tą najukochańszą głową twoją, czoło, rozpalone męką, objąć chłodnemi, delikatnemi rękami — — To szczęście niesłychane, które tylu ludzi codzień, które ja kiedyś miałam w ręku — — W twoje oczy patrzyłam kiedyś, Jerzy, — był taki dzień — był na tym samym świecie, co noc dzisiejsza, taki dzień — —!

Jezus Marja — Jezus Marja —

Jerzy — czy to już jasno się robi — —? Taka bliska godzina —

Przyszłość i przeszłość nie istnieją zupełnie. Jest tylko ta chwila jedna, ta, która jest. Przyszłość i przeszłość równają się sobie i są nicością. A o tej chwili — jesteśmy jeszcze oboje na jednym świecie. Ach — gdybym ci chociaż to jedno mogła powiedzieć, Jerzy —

To nic, że idą wskazówki. To tylko straszny, zwyczajny straszny sen... Rozumiem przecie doskonale — — W tem miejscu, na małym zegarku, leży twoja śmierć, Jerzy, — taka prawdziwa —

Już tak blisko — Czy to możliwe? Co to, co to się stało? Czy to jest ziemia jeszcze i wszystko to samo??

Nie — nie — nie! Nigdy jeszcze, nigdy tak strasznie, rzeczywiście nie widziałam. Słyszysz godzinę? Słyszysz kroki? — — Wiem, już wiem! Wchodzą po ciebie... Zabrać już przyszli. I ksiądz. Nie spowiadasz się, gardzisz — ostatnia przyjemnostka — jakież to małe strasznie wobec tamtego... Czy to w tej chwili się staje, czy to jest teraźniejszość, Jerzy? Czy czas istnieje naprawdę — i twardy jest, jak kamień — —?

Jerzy — ty krzyczysz, ty się boisz — — Ach, Boże, Boże, poco cię tak przerażają? Czemu ta liberja pogrzebna? Czemu te potworne akcesorja śmierci — przecież tak to jeszcze straszniejsze. — Zdaje ci się, że to widzenia gorączkowe, duszące halucynacje maligny — i dopiero teraz rozumiesz, że to prawda, dopiero teraz uwierzyłeś. Nazbyt już podobne to jest

do życia — — Nie idź, wyrywaj się, krzycz, Jerzy! Ty śpiewasz jeszcze tę cudną, tę triumfalną pieśń... Ach Boże, przecież nie wierzysz już w to w tej chwili... Czemu nie krzyczysz, nie tarzasz się po ziemi — Czemu w tej chwili jeszcze zadręczasz się tą komedją nadludzką —

I teraz właśnie suną tak wolno — w tem miejscu, gdzie leży twoja śmierć —

Czy to już wszystko skończone? Na szyję twoją, którą całowałam... Jerzy — usłysz mię, zedrzyj z szyi — Ach, widzę — ręce masz związane, ręce drogie, święte, masz związane, żebyś już nie mógł żyć... Jerzy — co ty czujesz? Jerzy — Boże mój — maleńki, biedny... Nie możesz się obronić — Mów im, mów im prędko, że ty chcesz żyć — tak jak oni — że chcesz jeszcze zostać — zrozumieją przecież — Słuchaj mnie!

Czy to już wszystko skończone? Ach — jeszcze niema pięciu minut... Ponad głową mógłbyś jeszcze pochwycić rękami, gdyby nie były związane... Uwierzyć, uwierzyć nie mogę — — Jerzy — może ty się męczysz... Jerzy — jedyny mój na całej ziemi — przecież ty umierasz teraz właśnie — przecież ja ciebie już nigdy — — ?!

Jak dziwnie wali się cały ogromny świat — Jak dziwnie ziemi pęka serce z przerażenia —

Jerzy — sam — biedny — maleńki — maleńki —

A teraz taka wielka cisza — i już śmierć —

— Dlaczego tak strasznie płaczesz, Alu — cicho, cicho — Przyszedłem —

Jerzy przyszedł.

— Więc wszystko nieprawda, wszystko sen i gorączka — A ja przeczuwałam, Jerzy, przeczuwałam, że takie rzeczy nie mogą być na ziemi — i nie wierzyłam...

Objął mię delikatnie, jak bardzo chore dziecko. Płaczę jeszcze, ale coraz ciszej. Taka jestem zmęczona...

— Jakie szczęście... Jakie szczęście... I widzisz — ja taką straszną mękę przeżyłam... Tak cię strasznie zobaczyć chciałam — i nie dali... Mów coś do mnie — — Dlaczego żyjesz? Czy ty żyjesz naprawdę?

— Ależ tak. Kocham cię i tęskniłem za tobą. Jestem przy tobie —

Całował mię we włosy.

— Jakie to dziwne — mówiłam — takie ogromne szczęście. Teraz dopiero poznałam, jak cię kocham. Nie umiałabym cię utracić. Teraz rzucimy już to wszystko, będziemy żyli dla życia. Będziemy żyli jak zwyczajni ludzie, którzy nie lękają się niczego. Przecież za mądrzy jesteśmy, by na serjo kochać ideję, by być bohaterami —

— Tak, tak, masz rację, Alu. Dlaczego jednak masz włosy takie siwe?

Spojrzałam w lustro. Nad czołem bieliły mi się całe fale zupełnie siwych włosów. Ale nie zasmuciłam się tem wcale.

— Widzisz, Jerzy, to dopiero ta ostatnia noc. Myślałam, że dziś właśnie cię powieszą, myślałam na pewno. I właśnie taki cud — — Boże — jacyśmy szczęśliwi —

Tuliłam się do niego — za całą tę mękę, za cały ten obłęd katuszy —

— Rzucimy to i wyjedziemy — mówił Jerzy. — Uciekniemy daleko, jak małe ptaki — Na południe, do jasnego, spokojnego kraju, na wyspę, gdzie rośnie trawa pachnąca i wysokie drzewa — — I tylko kochać się będziemy —

— Boże — po takiej nocy taki ranek — —

— Nie myśl już o tamtem — mówił.

— Takie szczęście — takie szczęście — — —

Patrzyłam mu w oczy — jak kiedyś, w jasny dzień naszej miłości — —

— Jakiś ty cudny, Jerzy, jak ja kocham ciebie...

Zamknęłam powieki i juz nie mogłam ich otworzyć. Ale ciągle jeszcze wyraźnie widziałam go przed sobą.

— Czemu jednak jestes taki wysoki, Jerzy? — spytałam nagle.

Uśmiechnął się z zażenowaniem i odtąd nie przestał się uśmiechać. Kiwał głową olbrzymią, jak drzewo w deszczową noc.

— Jezus Marja — co to znaczy?

Chciałam otworzyć oczy, ale nie mogłam. Zimny dreszcz strachu przeszedł mi po krzyżu, w głowie uczułam tępy ból.

— Czemu bijesz mię tak mocno, Jerzy...

Milczał i wydawał mi się coraz wyższy. Kawałkiem żelaza bił mię w głowę.

— Nie bij, to boli tak strasznie — błagałam. — Przecież kochasz mię jeszcze — Przecież to wszystko prawda.

Ból dziki — jakgdyby znów się zaczynało tamto —

— Jerzy — Jerzy — — !

Słyszałam łomot straszny. Wyważyli drzwi. Wziął mię z ziemi na ręce i nie bił już. Otwierałam oczy —

— Alu — Aleńko — —

Tuż nad twarzą widziałam wielką głowę i oczy krwią nabiegłe, zapuchłe od płaczu —

— Alu, to ja, Julka. Wszystko przenieść trzeba —

Patrzyłam na nią chwilę w milczeniu i rzekłam surowo:

— Gdzie Jerzy?

Julka krzyknęła głośno, ale nie wypuściła mnie z rąk. Za nią stał Jan i mówił:

— Obowiązkiem waszym jest dalej prowadzić rozpoczęte przez niego dzieło —

Obejrzałam się po pokoju. Było widno.

— Gdzie Jerzy? — powtórzyłam.

Po chwili milczenia Jan rzekł surowo:

— Nie wolno poddawać się — — —

Więcej nie słyszałam już nic.

— Umarło?...

— Nie, nie... Żyje... Syn...

Radość blada, śmiertelna, ostatnia.

— Podobny? pokaż...

— Zupełnie podobny —

Z niewyraźnej, maleńkiej twarzy spojrzały oczy — oczy, jak z bajki, oczy z bronzowego aksamitu....

— Już... Nie mogę...

Cisza — znowu. Nicość.

Wyrazy — jakby z za grobu, jakby z innego świata — tam, z góry — do otchłani.

— Znowu nieprzytomna?

— Tak.

— Gorączka ciągle?

— Tak samo...

I cisza — wielka, jak nieskończoność, powoli, ciężko dysząca.

Po całych godzinach:

— Julko...

— Co? co? — słucham, dziecino — —

— Dziwiłaś się kiedyś, że z tego słońca padają pioruny... Julko — tyś naprawdę nie wiedziała dotąd, że słońca niema?...

— Ach — Boże — —

Na samo dno otchłani spada stamtąd ciche szłochanie — milknące, milknące... Spokój senny, zamierający, jak fale wielkiej, uchodzącej do jasnego morza rzeki...

— Dziś jeszcze umrę...

Widać tylko źrenice smutne, szafirowe, zalane łzami.

— Nie — nie — —

— Dlaczego? I tak nie mogłabym żyć... Czekałam na to tylko, by jemu oddać swoje życie... Wiedziałam, że będzie, jak on...

Szerokie rozkołysane fale — coraz ciszej...

— Nie słyszę. — Czy mówisz co jeszcze, Julko?...

— — zobaczy dzień, do którego tęskniłyśmy...

Odchodząc już:

— Nie, nie — niech tęskni także.... Życie jego poświęcam słońcu niewidzialnemu — słońcu niewidzialnemu — — —

KONIEC